

Latem

GDĄSK
MIĘDZYWOJENNY

miesięcznik społeczno-kulturalny wybrzeża

rok XI, nr 5 (125)

GDĄSK, maj 1972

Cena 5,- zł

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna

FILIA Nr 28

CZYTELNIKA KRAKOWA, CZYTELNIKA GDAŃSKA

GDĄSK, ul. Długa 12



Michał Urbanek — zasłużony działacz polski w byłym Wolnym Mieście Gdańsku

Fot Krzysztof Kamiński



STAŃCZYK
1971

GDAŃSK MIĘDZYWOJENNY

- SZKOŁA MACIERZY (Rozmowa w redakcji)

Henryk Stępnik
TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUKI I SZTUKI
W WM GDAŃSKU

Andrzej Romanow
Z DZIEJÓW ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH
„DRUKARNIA GDAŃSKA”

Franciszek Mamuszka
POLONIA SOPOCKA 1918-1939

Leonard Bak-Leszczyński
RODZINA LESZCZYŃSKICH

SPRAWY I LUDZIE

Stanisław Pestka
TURYSTYKA OTWARTA

Jerzy Sarota
GNIEW NA WIATR, ŻE WIEJE...

LITERATURA

Michał Misiorny
WYDAWNICTWO MORSKIE W CZERWIE I JUTRO
ROZMOWA Z E. MAZURKIEWICZEM

POEZJA MŁODYCH

Stanisława Fleszarowa-Muskat
ZANIM NARODZI SIĘ KSIĄŻKA

Ewa Moskalówna
POWIEŚCI CZY SŁUCHOWISKA?
WYWIAD Z K. RADOWICZEM

NAUKA

Tadeusz Bolduan
W POSZUKIWANIU METRYKI GŁÓWNEGO MIASTA
Z DR. ZBIERSKIM W PODZIEMIACH RATUSZA

SZTUKA

Ewa Moskalówna
ZAKŁADNIK I THERMIDOR

LEKTURY

Lech Mokrzecki
SZKOLNICTWO Powszechne w Polsce

Michał Misiorny
KAPITAN LAURENT

Ewa Borkowska
MORZE I O MORZU

Bogusław Pomorski
GROMADA LUDZI ODWAŻNYCH

Tadeusz J. Żółciński
JAŁOWCOWE ŻNIWA

Bogusław Pomorski
„LITER” NA TLE CZASOPISM REGIONALNYCH

T.B.
OBSERWATORIUM METEOROLOGICZNE
W GDAŃSKU

Paweł Śpiwak
STRACONA SZANSA

ZAPISKI WYDAWNICZE

INFORMACJE © KOMENTARZE ©
POLEMIKI

W 50 rocznicę utworzenia Gimnazjum Polskiego Macierzy Szkolnej w Gdańsku redakcja „Liter” zaprosiła do redakcyjnego stołu grono nauczycieli, uczniów i wychowanków tej niezwykłej uczelni, aby choć w części przypomnieć, utrwalić i upowszechnić jej dorobek dydaktyczny i pedagogiczny, zarysować jej miejsce, funkcję i rangę w rodowodzie polskiego szkolnictwa, w historii Gdańska i tradycji kultury narodowej. W tym jubileuszowym spotkaniu uczestniczą nauczyciele: polonista mgr Michał Urbanek, polonista doc. dr Zbigniew Rynduch, matematyk prof. zw. dr Eustachy Tarnawski, germanista mgr Bernard Janik, romanistka mgr Barbara Mielcarzewicz, nauczyciel wf mgr Konrad Wojanowski oraz uczniowie — doc. dr inż. Roman Wieloch, Alojzy Makurath, Roman Bellwon i Edgar Milewski.

Szkoła Macierzy

Michał Urbanek — Wobec tych wielkich wydarzeń, jakie dzieją się dziś nie tylko w świecie, ale i w Polsce, a także w Gdańsku, mógłby ktoś pomyśleć, po co zaprzętać sobie głowę takim drobiazgiem jak powstanie Gimnazjum Polskiego Macierzy Szkolnej w Gdańsku przed 50-ciu laty. A jednak już redaktor Milewski wyraził pogląd, że gimnazjum gdańskie było wyjątkową szkołą, że zaznaczyło się ono nie tylko na terenie Gdańska, ale i w kulturze polskiej i ja podzielał to zdanie. Gimnazjum nasze było potrzebą społeczną, potrzebą praktyczną, bo chodziło o to, aby zapewnić młodzieży napływowej z Polski ukończenie gimnazjum, a co ważniejsze, aby umożliwić polskiej młodzieży gdańskiej dostanie się do polskiego gimnazjum i później na wyższe studia. Jeden cel to praktyczny, drugi powiedziałbym polityczny, bo trzeba uświadomić sobie sytuację i czas, w jakim gimnazjum to powstało. Traktat Wersalski przyznał nam skrawek wybrzeża, no i ustanowił Wolne Miasto Gdańsk. Wydawało się, że prorocstwo Mickiewicza: Gdańsk — miasto niegdyś nasze znowu będzie nasze, spełniło się, ale jak wiemy, Gdańsk nie był ani wolnym ani polskim. Szkoła nasza była wysepką na morzu niemieckim, wysepką, o którą stale rozbijały się fale niemieczyny. I zdaje mi się, że to polityczne znaczenie gimnazjum było równie ważne, o ile nie ważniejsze od tego praktycznego. Chodziło bowiem o to, aby dać jakiś ośrodek kulturalno-oświatowy polskiej społeczności Gdańska — ośrodek, który mógłby się przeciwstawić niebezpieczeństwu, które może pierwszy sprostargł Żeromski. Jak wiadomo, Żeromski — wielki miłośnik naszego morza — w jakimś przemówieniu czy artykule powiedział, że Śląsk potrzebny nam jest dla naszego ciała, a Pomorze potrzebne jest dla naszej duszy; zwrócił uwagę na groźbę niemieckich zakusów i wzywał do obrony tego skrawka gdańskiego, skropionego krwią Polaków starających się w czasach zaborów utrzymać tu ducha polskiego i mowę polską. Oczywiście Polonii gdańskiej i całego społeczeństwa polskiego były skierowane na ten ośrodek. Wymagano od nas nie tylko tego, żeby przygotować młodzież pod względem umysłowym i fachowym, żeby dać uczniom rzetelną wiedzę, ale przede wszystkim, ażeby z tego gimnazjum wychodzili bojownicy, którzy każdej chwili byłiby gotowi przeciwstawić się niebezpieczeństwu grożą-

cem naszemu Gdańskowi i dostępowi do morza. I dlatego może najważniejszą myślą, najważniejszym uczuciem, które przepajało nas wszystkich, był patriotyzm, był kult mowy polskiej, było dążenie do tego, aby racja polska na terenie Gdańska coś naprawdę znaczyła.

Czy szkoła ten cel spełniła? Czy w ogóle możliwy był do zrealizowania? Czy szkoła była ogniskiem, które promieniowało na Gdańsk i jego polską ludność? Czy wobec przygaszonego, przytłoczonego patriotyzmu gdańszczyzny spełniła swoją rolę? Czy gruntowała patriotyzm, czy dodawała nadziei na lepszą naszą przyszłość, czy umacniała uczniów, aby czuwać, bo są na placówce? Mnie się wydaje, że tak i to nie tylko dzięki dobrej organizacji, ale dzięki konsolidacji sił, dzięki niezwyklej harmonii, jaka panowała w naszej szkole pomiędzy dyrekcją, gronem nauczycielskim i młodzieżą. Dyrektor Jan Augustyński — człowiek wyjątkowo jakby powołany do tego, aby być dyrektorem takiej szkoły, człowiek o wybitnych zdolnościach pedagogicznych, o żelaznej energii, z konsekwencją przeprowadzający swoje zamierzenia, człowiek, który nadał Macierzy Szkolnej rozmach i przyczynił się do rozwoju całego szkolnictwa gdańskiego...

Grono nauczycielskie rekrutowało się z ludzi najlepszych, czego dowodem, że wielu naszych nauczycieli mogło objąć i obejmować katedry na wyższych uczelniach, wiemy, że dzisiaj jeszcze niektórzy z nich pracują w szkolnictwie wyższym, ludzie, którzy mogli dać młodzieży rzetelną, głęboką wiedzę. Ale to mało — byli to ludzie wielcy duchem, prawdziwi społecznicy, wyróżniali się pracą w Gminie Polskiej i później w Związku Polaków. Działali w dziesiątkach organizacji, wygłaszali setki, a może tysiące odczytów, organizowali uroczystości, zakładali świetlice, jedyną ośrodek oświatowo-kulturalne na wsi. Byli wszędzie. Przede wszystkim jednak byli to wielcy wychowawcy, nie urzędnicy zapisujący noty, lecz pedagodzy starający się pozyskać sobie zaufanie młodzieży, być jej przewodnikiem i przyjacielem. Dokonali rzeczy rzadko osiąganą nawet w najlepszych polskich szkołach (a miałem okazję w 1934 roku gruntośnie zapoznać się ze szkolnictwem warszawskim i innych regionów kraju), takiej atmosfery rodzinnej, jaka u nas była, nie widziałem się

nigdzie, nie mówiąc o szkołach niemieckich, bo tam panował duch pruski, powiedziałbym — militarny. Pod adresem nauczycieli trzeba by wygłosić hymn, bo jeżeli gimnazjum gdańskie było wyjątkowo wielkie, to dlatego, że duszą tej szkoły był nauczyciel.

Rodzice włączali się w tę atmosferę, niosąc nie tylko pomoc materialną. Chciałbym przypomnieć, że ze składek rodziców rozbudowywaliśmy szkołę i ze składek rodziców zaopatrywaliśmy najbiedniejszych uczniów. Chciałbym podkreślić w tym miejscu zasługi naszego kolegi, profesora Behrendta — „Wielkiego Jałmużnika Szkoły” — zamordowanego w Stutthofie. Rodzice brali udział we wszystkich ważniejszych wydarzeniach szkoły, nie tylko w uroczystościach i zabawach ale i w zebraniach połączonych z odczytami, tak że modna dzisiaj pedagogizacja rodziców była u nas już praktykowana. Młodzież była niewątpliwie taka jak wszędzie, trudna do prowadzenia, ale dobra. Nie wystarczało jej to, co dawaliśmy na lekcjach, żywiołowo rozwijały się kółka samokształceniowe, kółka rozszerzające horyzonty. Spośród organizacji, którą najlepiej znałem, bo ją prowadziłem, wymienię harcerstwo — żadna organizacja nie była tak ściśle związana ze szkołą jak harcerstwo. To nie była organizacja elitarna, bo do niej przyjmowało się wszystkich zgłaszających, ale harcerzem mógł być tylko wzorowy uczeń, nie pod względem stopni, ale wzorowy pod względem pracowitości, odpowiedzialności, uspołecznienia i innych zalet charakteru. Harcerstwo cieszyło się poparciem szkoły, rodziców i społeczeństwa, spełniało ważną rolę na terenie szkoły, a także miasta i kraju i nawet poza granicami. W codziennych wędrówkach wydeptaliśmy wszystkie kąty gdańskie, w czasie ferii jeździliśmy po kraju. Młodzież poznała Polskę od Bałtyku po Tatry, zwiedziliśmy kopalnie i huty, niezapomniane wrażenia robił widok ślepego konia na głębokości czterystu metrów pod ziemią, widok pracy górnika, większe bodaj jeszcze wrażenie wywierała praca robotników wytapiających w martenowskich piecach stal — młodzież sama potem mówiła: czym jest nasze przeciążenie w szkole wobec tej ciężkiej pracy?

Z działalności pozaszkolnej wspomnę dwa momenty — rok 1929, Międzynarodowy Zlot Harcerstwa w Anglii — były trudności z wyjazdem, wysoki koszt 600 guldenów przypadający na jednego ucznia i jeszcze koszty wyposażenia, namiotów itp. Zgłosiło się 13 uczniów, utworzyliśmy dwa zastępy, które przygotowali dwaj pedagodzy: Gustaw Niemiec i Roman Truszczyński. Zjawienie się naszych zastępów na tym zlocie było — co przyznała też prasa angielska — rewelacją, świat dowiedział się o istnieniu polskiego harcerstwa w Gdańsku. Nasi harcerze władali językiem angielskim, francuskim, niemieckim, byli tłumaczami zlotu. Efekt propagandowy potwierdziły wizyty ambasadora RP Skirmuta, oraz twórcy skautingu Baden Powella i następcy tronu angielskiego, księcia Walii.

Moment drugi, jaki nasuwa mi pamięć, to utworzenie w 1931 roku pierwszej harcerskiej drużyny morskiej. Chodziło o zbliżenie młodzieży do morza nie w formie pogadanek, lecz w sposób autentyczny, bezpośredniego zetknięcia się z morzem pozwalający kształtować charakter, wyrabiać cechy potrzebne marynarzom. Młodzież powitała to z entuzjazmem, ale były trudności ze zdobyciem nie łodzi żaglowych, bo te posiadaliśmy od początku, lecz pełnomorskiego, niestety kosztownego jachtu. Drużynie przyszedł z pomocą jeden z najlepszych obywateli gdańskich, którego ja przynajmniej wysoce ceniłem, Franciszek Kręcki. Kiedyś anonimowo dał tysiąc guldenów na nasz sztandar, teraz na zebraniu u ministrowej Papee, gdzie znaleźli się wszyscy polscy potentaci finansowi, także dał pokaźną sumę, nie wiem jaką, bo się nie przyznał — za te pieniądze zdobyto jacht. Wkrótce mieliśmy 3 kapitanów jachtowych: Prechitko, Olszewski, Witkowski, uczniowie odbywali rejsy po Bałtyku — do

BUDYNEK BYŁEGO GIMNAZJUM POLSKIEGO MACIERZY SZKOLNEJ W GDAŃSKU PRZY ULICY AUGUSTYŃSKIEGO 1 (PRZED ROZBUDOWĄ) — OBECNIE SIEDZIBA TECHNIKUM MECHANICZNO-ELEKTRYCZNEGO



Finlandii, Łotwy, Kopenhagi, Sztokholmu, brali udział w międzynarodowych regatach.

Czyśmy osiągnęli jakieś wyniki wychowawcze? Nasi wychowankowie walczyli w obronie Poczty Polskiej w Gdańsku, walczyli w Szarych Szeregach w Gdyni, walczyli na barakadach powstańczej Warszawy, ginęli w Stutthofie — to wszystko o czymś świadczy. Nasi wychowankowie pracują dziś na wysokich i ważnych stanowiskach w naszej gospodarce narodowej — to także o czymś świadczy. No i rzecz miła — nie zapominają o naszej szkole.

Jest jeszcze problem, którego nie sposób pominąć: jaki był stosunek Komisariatu Generalnego RP do naszej szkoły — bądź co bądź oficjalnego przedstawicielstwa rządu? Na ogół — powiem — przychylny, spotykaliśmy się nieraz z obroną, bo przecież byli niebezpieczeństwa ze strony Niemców. Ale przytoczę dwa znamienne przykłady: W 1934 roku Polska zawarła traktat z Niemcami — udaliśmy się we trzech do ministra Papee, aby mu przypomnieć, że szkoła nasza walczy o polskość Gdańska. Minister powiedział: — No cóż, pracujcie dalej tak, jak pracowaliście, jeżeli jednak wejdziecie w konflikt, nie będziemy mogli wam pomóc. W parę lat potem, 29 sierpnia 1939 roku, we czterech udaliśmy się do Komisariatu Generalnego z podobnym, ale już dramatycznym pytaniem, co robić ze szkołą? Wszystkie szkoły niemieckie na terenie Gdańska były już zamknięte. Wiedzieliśmy także o tym, że przed kilkoma dniami pod Gimnazjum Polskie w Kwidzynie podjechały auta hitlerowskie i wywoziły w nieznanym kierunku wszystkich uczniów i wszystkich nauczycieli. Minister Chodacki był zajęty „ważniejszymi sprawami”, przyjął nas radca Zalewski, i radził szkołę zamknąć, a nam na krótki czas przenieść się do Gdyni.

Doc. dr Zbigniew Rynduch — W nawiązaniu do świetnej wypowiedzi naszego nestora, profesora Urbanka, chciałbym raz jeszcze podkreślić, że nie ma żadnej przesady w tym tradycyjnym już stwierdzeniu, że gimnazjum nasze było czołowym bastionem polskości w Gdańsku, że konsekwentna i uparta praca nad utrzymaniem i pogłębianiem patriotyzmu oraz krzewieniem umiłowania języka ojczystego stanowiła istotne naczelné zadanie szkoły, zadanie realizowane wysiłkiem jej kierownictwa, grona nauczycielskiego, samej młodzieży i jej rodziców. Była to niewątpliwie kontynuacja historycznych wiekowych zmagani wokół utrzymania polskości i języka narodowego, wkładu pracy dawnych gdańskich patriotów i pedagogów, w tym także słynnego Gimnazjum Akademickiego.

Gimnazjum nasze, założone w maju 1922 roku, powstało wysiłkiem ogólnie mówiąc całej Macierzy Szkolnej. Ale trudno tu nie wspomnieć jednego choćby nazwiska, entuzjasty sprawy, przebywającego wówczas w Gdańsku, Stanisława Przybyszewskiego, który — pomijając już to że służył własnymi funduszami — organizował wspaniałe akcje, rozsyłał dziesiątki listów i artykułów po całej ówczesnej Rzeczypospolitej. Pierwsze lata szkoły, skromne, rozwojowe, cechowała zrozumiatała fluktuacja grona nauczycielskiego, cechowały spory, nieufność, związane z żywo jeszcze odczuwaną po okresie rozbiorów dzielnicowością. Od roku 1925

szkoła wyraźnie rozrosła się liczebnie i co ważniejsze, zmieniła swoją jakość. Hartowały się charaktery jego wychowanków w trudnym i wrogim otoczeniu, rosła siła oporu i gotowość do nierównej walki, no a kiedy przyszła najstraszliwsza z wojen, wielu jego nauczycieli, absolwentów i uczniów krwią i życiem własnym dało wyraz prawdzie swych przekonań. Egzekucje i obozy koncentracyjne uśmierciły około 20 nauczycieli i więcej niż drugie tyle wychowanków szkoły. Piękna karta gimnazjum nie zamknęła się w dniu jej przetrwania 29.VIII.1939 roku, ani martyrologią młodzieży i wychowanków. Dziś, po z górą ćwierć wieku istnienia i rozwoju Polski Ludowej, w jakże korzystnych warunkach politycznych, społecznych i kulturalnych podkreślić wypada fakt, że większość tych, którzy przetrwali, zarówno uczniów jak nauczycieli, stanęło do pracy nad odbudową, w głębi kraju i tu w wyzwolonym, choć tak bardzo ówczesnie zniszczonym ale już na zawsze złączonym z Macierzą Gdańsku. Młodzi, którym wojna uniemożliwiła zdobycie matury, zdawali ją w 1945 roku w I Gimnazjum w Gdańsku oraz w liceum we Wrzeszczu, które otrzymało, jakże słusznie, imię dr. Władysława Pniewskiego, jednego z najbardziej zasłużonych profesorów gimnazjum, wybitnego badacza regionu pomorsko-kaszubskiego, męczennika sprawy narodowej rozstrzelanego w Stutthofie. Istniejące od 1957 roku Koło Wychowawców i Wychowanków b. PGMS w Gdańsku skupia ludzi zajmujących dziś wybitne stanowiska w wielu dziedzinach. Wyrażają oni przy różnych okazjach swój wielki szacunek dla swojej dawnej szkoły. I to byłoby najogólniejsze racje, dla których warto przyjrzeć się bliżej dorobkowi tej szkoły, zanim ukaze się opracowywana zbiorowo monografia pt. „Gimnazjum Polskie Macierzy Szkolnej 1922—1939”.

Pełny rozkwit tej szkoły przypada na lata 1925—39. W okresie tym wyróżniamy chyba w aspekcie gdańskim szczególnie ciężkie i mroczne lata reżimu hitlerowskiego, poczynając od roku 1933. W życiu wewnętrznym szkoły widzieć wypada w innym aspekcie cezurę roku 1935, kiedy to w wyniku stale wzrastającej liczby uczniów i nieznośnej już ciasnoty pomieszczeń powzięto decyzję budowy skrzydła budynku w dwóch nasób zwiększającego kubaturę szkoły, a ostatecznie ukończoną w połowie 1938 roku.

Jeżeli w procesie dydaktyczno-wychowawczym najważniejszą rolę spełniał nauczyciel, to całokształt życia szkoły, jej stan organizacyjny i rozwój zależny był w największej mierze od osobowości jej dyrektora, a właśnie z dniem 1.IX.1925 r. objął to stanowisko i sprawował do końca Jan Augustyński. W tym okresie szkoła stała się czołową placówką Polonii gdańskiej, zakładem wychowawczym znanym i cenionym w całej Polsce. Jan Augustyński — Małopolanin, filolog klasyczny — jako dyrektor objawił środowisku gdańskiemu niezwykłe zalety umysłu i charakteru. Człowiek dużej wiedzy, przyjaciel młodzieży, którą zdobywał znanstwem jej psychiki, konsekwencją postępowania, talentem i pracowitością, wielostronnymi zainteresowaniami. Nie przesadzę jeśli powiem, że znał każdego spośród 600 uczniów szkoły. Pod jego egidą, choć nie zawsze mogło to

być dziełem jednego człowieka, wypracowa-
no pełny program nauczania godzący wymo-
gi władz polskich i władz gdańskich, a
przede wszystkim uwzględniający potrzeby
młodzieży gdańskiej — gimnazjum nie pod-
legało bowiem kuratorium. Szczytował on bez
niczyjzego pośrednictwa najlepsze siły peda-
gogiczne z całej Polski.

O gronie profesorskim mówić nie będę z
wyjątkiem niezjących już, a należących do
najbardziej zasłużonych. Niebawem zresztą
ukazą się odrębne artykuły poświęcone m. in.
profesorowi Adamowi Czartkowskiemu —
biologowi i sekretarzowi powstałego w 1922
roku, a więc obecnie także obchodzącemu 50
rocznicę założenia Towarzystwa Przyjaciół
Nauki i Sztuki, dzisiaj Gdańskiego Towarzy-
stwa Naukowego. Po wojnie prof. Czartkow-
ski był profesorem i dziekanem Akademii
Medycznej w Łodzi, aż do zgonu w roku 1958.

Dr Marcin Dragan — ceniony historyk,
prezes GTPNiS w ówczesnym Gdańsku, po
wojnie docent, dyrektor a później dyrektor
honorowy Państwowego Archiwum Wojewódzkiego
w Gdańsku, które jest w dużej
mierze jego dziełem (zmarł w 1963 r.). Trud-
no nie wspomnieć dr. Kazimierza Jeżewej —
geografa i publicysty (zmarła w 1957 r.), po
wyzwoleniu kustosa Biblioteki Gdańskiej
PAN. O dr. Władysławie Pniewskim była już
mowa. We wrześniu ubiegłego roku dobiegła
nas wieść, że w Mediolanie zmarł Edwin
Jędrkiewicz, ceniony profesor filologii klasycznej,
wybitny tłumacz dzieł Erazma z
Rotterdamu, Andrzeja Frycza Modrzewskiego,
Karola Ogiera i innych, pierwszy po wyzwoleniu
prezes Związku Literatów Polskich w
Gdańsku.

Prof. Urbanek mówił dużo i jak zawsze
z sercem o młodzieży. Trudno nie powtórzyć
się po to, aby obiektywnie stwierdzić, że był
to element na ogół, a raczej w znakomitej
przeważce, pozytywny i wartościowy, ale
społecznie i ekonomicznie ogromnie zróżni-
cowany. Uczniowie polscy obywatelstwa
Wolnego Miasta rekrutowali się z rodzin u-
boższych, robotniczych, ekonomicznie często
uzależnionych od Niemców, wobec czego jak-
że często fakt posyłania syna do polskiej
szkoły powodował utratę pracy, szkany,
akty napaści i gwałtu, zwłaszcza w latach
szalejącego w Gdańsku hitlerizmu. Taka sy-
tuacja stawała się w efekcie źródłem wzma-
gania się świadomości i dumy narodowej, ale
łamała słabszych, tonących w morzu niem-
czyzny, zapominających niekiedy języka,
zwłaszcza w małżeństwach mieszanych. Stąd
potrzeba walki o każde polskie dziecko. Wie-
le wysiłku wkładano w ciągłe ulepszanie
nauki języka polskiego, dostosowując go do
potrzeb i warunków gdańskich. I była to
sprawa nie tylko polonistów, ale wszystkich
nauczycieli. Jakże pomocne były artykuły ję-
zykoznawcze i literaturoznawcze ogłaszane
w prasie gdańskiej, głównie w „Straży Gdań-
skiej” przez dr. Pniewskiego, nie mówiąc
już o jego podręcznikach. Ogromną rolę speł-
niało upowszechnianie czytelnictwa. Już od
1925 r. działało Koło Miłośników Języka
Ojczystego, wzorujące się na tradycjach fi-
lomackich i filareckich, dążące również do
zawierania przyjaźni, prezentowania prób
twórczości własnej uczniów.

Procesu dydaktycznego nie sposób odłą-
czyć od wychowania. Zabiegiem wychowaw-
czym można by poświęcić osobne studium.
Najważniejsze wydaje się to, że umieli-
my odwoływać się do samej młodzieży, jej
inicjatywy, pomysłowości w podejmowaniu
zadań. Zadaniem opiekunów klasowych było
dogłębne poznanie każdego ucznia, jego u-
zdolnień i zainteresowań, a przede wszystkim
warunków domowych, sytuacji materialnej,
stanu zdrowia. Kontakty z rodzicami nie o-
graniczane do urzędowych wywiadówek,
wspólne narady, ujawniały bolączki i po-
trzeby, powodowały akcje pomocy. Opieku-
nowie klasowi tworzyli komisje wychowaw-
cze, a za całość pracy wychowawczej, za jej
konceptję i zasadniczą linię działania odpow-
iadał tak zwany wychowawca szkoły (byli
nimi Eustachy Tarnawski i Michał Urbanek).
W ostatnim z corocznie publikowanych

sprawozdań szkoły pisał J. Augustyński, cy-
tuje: „Powodzenie, względnie niepowodzenie
szkoły od opiekunów przede wszystkim zale-
ży. Jasne więc, że muszą to być ludzie o
wysokim poziomie moralnym, o szerokich
horyzontach umysłowych, skrzystalizowanych
poglądach w zakresie zadań i metod wycho-
wawczych, ludzie owiani entuzjazmem i mi-
łością dla młodzieży, darzący ją zaufaniem
i szacunkiem, bezinteresowni, sprawiedliwi,
umiejący porwać młodzież za sobą ku
szczytnym ideałom.”

Od siebie chciałbym dodać, że lata przepra-
cowane w gimnazjum gdańskim (1934—1939)
są dla mnie nie tylko niezwykle cennym
wspomnieniem i źródłem doświadczeń. Jasne,
że w ówczesnym Gdańsku chyba nikt z nas
dobrze czuć się nie mógł. Trudno było nawet
podziwiać istotne piękno architektury gdań-
skiej, coraz częściej a później już co dzień
szpeconej chorągiewami z emblematami hitle-
rowskimi. Ale chciałem podkreślić, że w
szkole czułem się jak w domu, nie tylko dla-
tego, że w gimnazjum tym pracowała także
moja żona, Stefania, ucząc matematyki, że
wśród uczniów znajdowało się jej rodzeń-
stwo — brat i siostra, ale przede wszystkim
z tych powodów, o których mówił prof.
Urbanek, tej harmonii, życzliwości, pomocy,
której jako młody jeszcze nauczyciel dozna-
łem od starszych kolegów. I niech mi wolno
będzie wyrazić czy może wypomnieć panu
Urbanekowi, że zaraził mnie bakcylem pracy
społecznej i na tamten czas i na czas po-
wojenny. Chyba i za to wypada mi najser-
deczniej podziękować.

I jeszcze jedno — kiedy angażował mnie
dyrektor Augustyński, w krótkiej ale pełnej
treści rozmowie wyjaśnił mi, jak tutaj w
Gdańsku trzeba łączyć pracę w szkole z
pracą społeczną i jak nieraz nie wiadomo co
jest w danej chwili ważniejsze. Powiedział
wtedy: robimy tu wszystko, aby Gdańsk po-
wrócił do Polski. Zabrzmiało to wtedy jak
marzenie, uderzyło entuzjazmem, i zacho-
wałem to we wdzięcznej pamięci.

Prof. Eustachy Tarnawski — Chciałbym
przekazać ostatnie chwile dyr. Augustyń-
skiego. Spotykałem się z nim na terenie o-
kupowanej Warszawy, niemal co dzień, choć
oba byliśmy poszukiwani przez gestapo.
Pewnego dnia nadszedł list adresowany do
gestapo z donosem na Augustyńskiego, który
począta warszawska przekazała jednak nie na
aleję Schucha, lecz do rąk Augustyńskiego.
Augustyński zlekceważył ostrzeżenie. Po
pewnym czasie w mieszkaniu Augustyńskie-

go zjawił się gestapowiec w mundurze, któ-
ry przekazał Augustyńskiemu obciążający go
materiał wrzucony do skrzynki gestapo przy
alei Schucha. Ten gestapowiec okazał się
wtyczką naszego ruchu oporu. Zdumiewają-
ce, jak Augustyński wychodził z wszystkie-
go obronną ręką. Zachowywał się swobod-
nie, czytał niemal jawnie prasę podziemną,
perorował na ulicy o rychłej klęsce Niemiec.

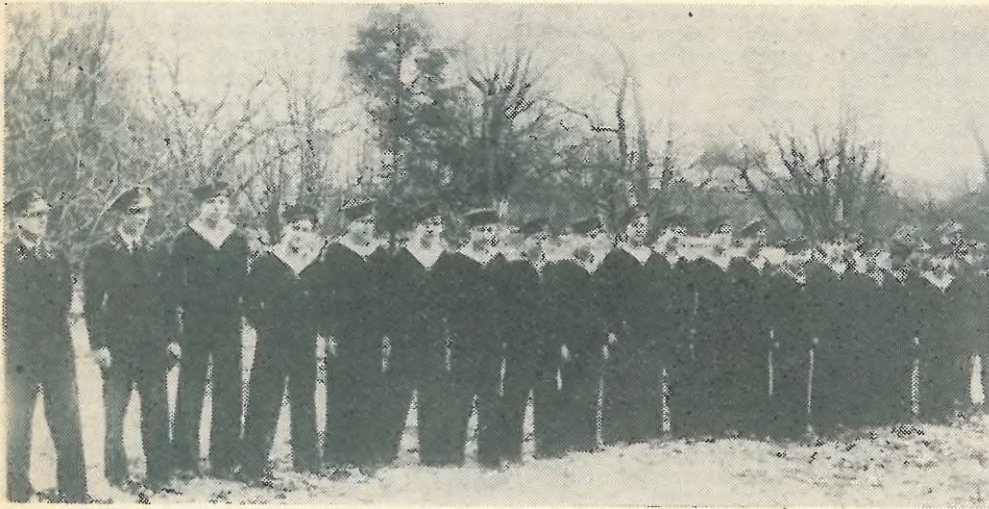
Przypominam sobie inny jeszcze moment
charakteryzujący tego człowieka. Augustyń-
ski przed śmiercią uległ paraliżowi, miał po-
rażoną całą lewą stronę ciała. Kie-
dy go odwiedzałem, rozmawiał tylko jed-
ną stroną ust, jeżeli to można nazwać roz-
mową, wypowiadał właściwie tylko pojedyn-
cze słowa. W takiej sytuacji nadeszła wia-
domość o wyładowaniu wojsk alianckich na
Sycylii, którą mu przekazałem i wtedy zo-
baczyłem jak uśmiechnął się szeroko, jak
niegdyś, całą twarzą — szczęśliwy, że na-
reszcie jest tak, jak sobie wymarzył.

Chciałbym też zachować pamięć innych o-
sób niegdyś w Gdańsku działających. Na
przykład dr Tadeusz Adamczyk — przez czas
pewien był prawą ręką Augustyńskiego w
sprawach wychowawczych, później przeszedł
do pracy w ministerstwie w Warszawie,
gdzie w czasie okupacji tragicznie zginął.
Najpierw zmarła jego żona na białaczkę i on
został sam. Nadeszło powstanie. On mieszkał
koło placu Zbawiciela, skąd go wyprowadzo-
no, tak jak wszystkich wyprowadzano.
Adamczyk zdołał zmylić uwagę eskorty, po-
wrócić na chwilę do mieszkania, aby zabrać
suknię żony, którą pragnął zachować na pa-
miątkę. Rozstrzelano go w alei Schucha.

Padło tu słowo konsolidacja — sprawa
konsolidacji w Gdańsku to bardzo istotne za-
gadnienie. Ono na terenie gimnazjum nie
występowało, nie było kwestii, czy ten jest
stąd, czy stamtąd, z tego czy innego regionu
kraju, ale już pan Bellwon wspominał „o
Polakach z ciepłych stron” — tak jest, tak
mówiono wówczas w Gdańsku. Pewien na-
turalny antagonizm, który po okresie zabo-
rów musiał w Gdańsku się ujawnić pomię-
dzy tymi, którzy byli tu zasiedziali od po-
koleń, a tymi, którzy przybyli tu po roku
1918, to była kwestia bardzo wielu nietak-
tów urzędników, zwłaszcza urzędników wy-
sokich, którzy przybywając do Gdańska nie
mieli pojęcia o tutejszych stosunkach, żadne-
go rozeznanie społeczne. Celowała w tych
nietaktach pani ministrowa Papee, która by-
ła siostrą żony Becka i pierwszy prezes Związ-
ku Polaków Muszkat-Królikowski. To nietak-



JEDNA Z WIELU PAMIĄTKOWYCH FOTOGRAFII SZKOLNYCH — GRONO WYCHOWANKÓW PROFESORA
BEHRENTA.



UCZNIOWSKA DRUŻYNA MORSKA IM. ZYGMUNTA AUGUSTA. (FOTOREPROD. ROMAN WYROBEK)

towne postępowanie znalazło wyraz w tworzeniu nowej organizacji — Związku Polaków. Znalezionej ofiarze w doktorze Jeżu i on przez rok starał się z tej sprawy wywinąć. Nastąpił ogromny ferment w społeczeństwie, bo Gmina Polska, to był inny zespół ludzi. Ten ferment zwrócił wreszcie uwagę Warszawy, że tak dalej być nie może. Ministra Papee odwołano i w tym czasie miałem sposobność wziąć udział w tej tak zwanej zgodzie w charakterze „kleju”. Sytuacja była trudna, bo trzeba było łączyć i tych i tamtych. Jakoś znoszono moją przy tym obecność w charakterze roboczego wiceprezesa. Wspomnę w tym miejscu postać Lendziona, który w moim przekonaniu jest jednym z najwybitniejszych obywateli gdańskich. Nie wiem, czy ktoś z państwa słuchał go przemawiającego, z jaką odwagą i bezkompromisowością mówił do ludzi i jak był przez nich doskonale rozumiany. Staraliśmy się o tę konsolidację na wszystkie sposoby. Nieraz kończyliśmy nasze „nocne rodaków rozmowy” na dworcu gdańskim, przy kuflu piwa w polskiej restauracji pana Szmeltera. Pamiętam, jak zapytałem tam kiedyś współdziałaczy — bójcie się Boga, czy to rok musiało trwać? I taką posłyszałem odpowiedź — a tak, bo inaczej nie byłoby zgody.

Chciałbym jeszcze zatrzymać się na postaci radcy Komisariatu Generalnego, Antoniego Zalewskiego. Profesor Urbanek wspominał o tej delegacji u niego, ja wspomnę inny moment — rozmawiałem z nim niemal co dzień i zdarzało się, że razem oglądaliśmy niemieckie filmy z paradami hitlerowskimi. Jak dziś widzę jego ściśnięte w kulak dłonie. Przecież on był przedtem konsulem polskim w Olsztynie. Kiedy zawinął krajoznawcę „Schleswig-Holstein” w „odwiedziny” do Gdańska, byłem w tym momencie w Komisariacie i zapytałem go, jak można dopuścić do czegoś takiego?! A on powiedział: — przecież z ministerstwa dzwoniło dziś, że wojny nie będzie. Ten człowiek tak głęboko przeżył klęskę wrześnią i upadek państwa, że na emigracji wstąpił do klasztoru. Proszę państwa, on nie miał nic wspólnego z bigotyzmem, ja u niego nigdy żadnego tak zwanego świętego obrazka nie widziałem. O tym jego załamaniu psychicznym wspomina w swojej książce też Melchior Wańkowicz. Po wojnie nie nawiązywałem z nim już żadnego kontaktu — spokoju ludzi nie trzeba mieć.

Jeśli chodzi o pozaszkolną działalność gimnazjum i jego ludzi, to na co dzień wyglądała ona tak: gdy trzeba było gdzieś coś zrobić, pojechać, wykonać, wygłosić, zająć jakieś stanowisko, to robił to nie kto inny, tylko nauczyciel. Była tu mowa o GTPNiS, ale tych organizacji polskich na terenie Gdańska była masa i na wszystkich frontach byli nauczyciele naszego gimnazjum.

Roman Wieloch — Ludność polska Gdańska międzywojennego charakteryzowała się tym, że każdy palił się do roboty społecznej. Pamiętam, jak matka moja wracała do do-

mu późnymi wieczorami i jak kiedyś wróciwszy szczególnie późno, powiedziała nam, z wielką satysfakcją i ogromną radością, że została po raz trzeci wybrana skarbniczką Towarzystwa Polek. Tak, najistotniejsze z tego, co wynieśliśmy z naszych domów i z naszej szkoły, jest chyba ten entuzjazm dla pracy społecznej, poczucie solidarności i wzajemnego pomagania sobie.

Chciałbym drobnym przykładem scharakteryzować postać wybitną, dziś dopiero przypominaną, postać Stanisławy Przybyszewskiej — literatki i córki sławnego pisarza Stanisława Przybyszewskiego, tak bardzo związanego z naszą szkołą. To była osoba wówczas prawie nieznana. Jej mąż, Panieński, który uczył nas fizyki, przyszedł kiedyś do mnie i powiedział: — Wieloch ten twój kolega B. jest słaby z fizyki, może ty go namówisz, żeby przyszedł do mojej żony, ona mu da parę lekcji. Namówiłem kolegę i poszliśmy do przyszłolnego baraku, w którym mieszkała, jakże skromnie, Przybyszewska. Proszę sobie wyobrazić, że ona dawała kole-dze lekcje z fizyki przez pół roku całkowicie bezinteresownie.

I jeszcze jedna piękna sprawa w naszym gimnazjum — tolerancja. Do szkoły chodzili Żydzi, ewangelicy, prawosławni i oczywiście najliczniej katolicy — wszystkim udostępniono naukę religii w ich wyznaniach, niebywała rzecz, jak na owe czasy.

Bernard Janik — Powracam do zasadniczego pytania, które postawił profesor Urbanek: — Czy gimnazjum nasze spełniło swoje zadania? Myślę, że pomocna będzie tu następująca statystyka — przez 17 lat istnienia gimnazjum przewinęło się przez szkołę parę dobrych tysięcy uczniów i nawet jeśli nie wszyscy ukończyli szkołę, to każdy otrzymał tu zaatek wiedzy o Polsce. Liczba maturalzystów stoi w dużej dysproporcji do ogółu uczniów gimnazjum, ale przecież struktura społeczna i stopień upowszechnienia oświaty były wówczas zupełnie inne — nie wszystkich stać było na kosztowną, wieloletnią naukę, większość po małej maturze szła do pracy zarobkowej, do praktycznego zawodu, a nawet wśród tych, którzy mieli środki, nie było tak powszechnego pędu do nauki, jak dziś.

Odpowiedź na postawione pytanie znajduje się przede wszystkim w postawie naszych wychowanków w czasie II wojny światowej — to była postawa humanistyczna i patriotyczna w największym heroicznym wymiarze. Nasi uczniowie byli wśród tych, którzy walczyli i ginęli za wolność i za polskość Gdańska. Także wychowawcy zdawali egzamin wobec swojej młodzieży i swojego narodu — 16 nauczycieli oddało swoje życie, 17-tym był woźny szkoły Aleksander Mock, który do ostatniej chwili bronił szkoły, w jej murach został aresztowany i za nią zginął w obozie w Ravensbrück. Wspominaliśmy tu dziś najbardziej zasłużonych, pełną imienną listę poległych i zamordowanych opublikowały „Litery” już w „Rapsodzie

wrześniowym” w trzydziestą rocznicę hitlerowskiej agresji („Litery”, nr 9, IX.1969). Może warto dziś także, w tym niejako autobiograficznym zarysie dziejów naszej szkoły, wymienić tych nauczycieli i wychowawców, którym dane było przetrwać i podjąć w Gdańsku, po roku 1945, pracę dla nowej rzeczywistości. Oto ich garstka, w układzie alfabetycznym: Marian Antoniuk, Aleksander Jabłoński, Bernard Janik, Zofia Łozińska, Barbara Mielcarzewicz, Stefania Ornas-Rynduch, Jan Pastwa, Helena Rakowska, Zbigniew Rynduch, Janina Ślaczka, Marian Szyszko-Bohusz, Eustachy Tarnawski, Michał Urbanek, Konrad Wojanowski, Jadwiga Zalewska.

Konrad Wojanowski — Wychowanie fizyczne? Nie było w całym Gdańsku takich sal gimnastycznych, jakie myśmy posiadali. Osobne sale dla dziewcząt, osobne dla chłopców, natryski, nowoczesne wyposażenie, funkcjonalne rozwiązania architektoniczne — wszystko to, wraz z naszą piękną aulą i jej artystycznymi malowidłami, zostało zniszczone przez hitlerowców. Wyjątkową sprawą był fakt egzaminu maturalnego z wychowania fizycznego, obowiązującego w naszej szkole od roku 1934 — chłopcy startowali w konkurencjach biegowych na 3 tys. m i 100 m, w skoku w dal i wżwyz oraz pchnięciu kulą 5 kg. Dziewczęta zdawały z biegu na 1 tys. m i 60 m, w skokach w dal i wżwyz oraz pchnięciu kulą 4 kg. Przy egzaminie brano pod uwagę całokształt wyników wychowania fizycznego, zwłaszcza w gimnastyce i tańcach narodowych, a także wybitne osiągnięcia wyczynowe, na przykład w sporcie żeglarskim. Nie mogę pojąć, dlaczego współczesne szkoły nie nawiązują do tych wypracowanych tradycji i ze zdumieniem słyszę, że wprowadza się pisemne klasówki z wychowania fizycznego. Wspaniałą rzeczą były nasze piesze wędrówki po całej ziemi gdańskiej, od Żuław, przez Kaszuby, po półwysep helski. Utrzymywaliśmy żywe kontakty z krajem poprzez wycieczki sportowe i obozy wakacyjne, rejsy żeglarskie i ćwiczenia przysposobienia wojskowego. Po roku 1928 w ramach wychowania fizycznego powstał sport o charakterze bojowym, była to konieczność obronna dla samej młodzieży narażonej na narastające szkany. Młodzież uczyła się boks i strzelania z broni małoskalibrowej, ostre strzelania przeprowadzaliśmy w Tczewie i Orłowie, a czasem nawet, pod moją opieką, na strzelnicy policji gdańskiej, co było uzasadnione tym, że program niemieckich szkół w Gdańsku przewidywał takie strzelanie. Później w obozie koncentracyjnym Stutthof był to dla mnie poważny argument przeciwko zarzutowi, że przygotowywałem młodzież militarnie; odpowiadalem, że realizowałem jedynie program wychowania fizycznego obowiązujący od dawna w niemieckich szkołach w Gdańsku. Na szczęście gestapo nie wiedziało, że w szkoleniu młodzieży pomagało nam Wojsko Polskie.

Nasza młodzież — jaką mi się wydawała? Nie miałem z nią żadnych kłopotów, była to młodzież pełna radości życia, wzajemne sympatie przetrwały klęskę, obozy koncentracyjne, wojnę. Przetrwały do dziś. Taka jest moja opinia i nie mogę jej zmienić.

Barbara Mielcarzewicz — Zanim o nauce języków obcych, które wykładałam, parę słów dopełnienia wypowiedzi kolegi Wojanowskiego, charakteryzujących stosunek rodziców do naszej szkoły. Oni od samego początku starali się poprawić warunki wychowania fizycznego, sami budowali skocznie, porządkowali boisko szkolne i opodatkowali się na rozbudowę sal gimnastycznych.

Byłam najmłodszą nauczycielką tuż po studiach romanistyki na Uniwersytecie Poznańskim, przyjechałam do gimnazjum gdańskiego na trzymiesięczne zastępstwo, a zostałam do końca. Od razu dano mi ogromny program 30 godzin tygodniowo w przekroju całego gimnazjum, od seksty do primy. Miałam 23 lata i pamiętam, że w najstarszych klasach byli dojrzałsi ode mnie uczniowie. M.in. uczeń Zygmunt Grimsmann, syn redaktora naczelnego „Gazety Gdańskiej”, przera-

stający mnie wzrostem i wiekiem. Wszyscy profesorowie pracowali poza szkołą społecznie — ja w Związku Polaków uczyłam języka polskiego w robotniczej dzielnicy na Oruni, gdzie miałam słuchaczy z paru pokoleń, od babci po wnuków, ale jakże wdzięczne i sympatyczne było to audytorium, choć praca nieraz syzyfowa. Języki obce zastałam w gimnazjum na bardzo wysokim poziomie. Każdy język — francuski, angielski, niemiecki miał swoje pracownie i swoje biblioteki. Do wybitnych pedagogów zaliczam prof. Słazkównę i Frankowską — ich absolwenci władali biegle nauczaniem językami; wyjeżdżając za granicę, czy pracując w instytucjach portowych Gdańska i Gdyni, posługiwali się swobodnie obcymi językami. Wydaje mi się, że o wysokim poziomie wykładów języków obcych w naszym gimnazjum decydowały takie elementy, jak dobrzy wykładowcy, zdolna młodzież oraz portowy charakter miasta. Większość naszych absolwentów szła przecież do pracy w porcie.

Alojzy Makurath — W tym gronie do pierwszych uczniów gimnazjum należy kolega Wieloch i ja. Społeczeństwo gdańskie interesowało się sprawą powołania gimnazjum znacznie wcześniej, niż przed 50 laty. Stworzona została nawet komisja szkolna, która miała zająć się tą sprawą. Dążenia ożyły z chwilą oficjalnego już utworzenia Macierzy Szkolnej. Zgłoszenia uczniów napływały początkowo bardzo powoli, rzecz o tyle zrozumiała, że ci, którzy byli już w wyższych klasach niemieckich szkół gdańskich, nie chcieli zmieniać szkoły przed maturą. Takich było wielu i nie sądzę, abyśmy mieli do nich jakiegokolwiek pretensję. Ja z paroma kolegami chodziłem do Rechtstatische Mittelschule, która graniczyła poprzez koszarę z polskim gimnazjum. Zaglądaliśmy więc do niego ciekawie, jaka jest ta nasza szkoła. Rechtstatische Mittelschule była szkołą dużą, miała około 900 uczniów, aulę wyposażoną w organy. To nie wszystkie szkoły posiadały. W polskim gimnazjum na początku nie było nawet dziedzińca. Plac zabudowany był barakami, w którym mieszkali nasi nauczyciele, Behrenst, Wojtaszewski, ks. Miszewski i siostry dominikanki, które urządziły kaplicę gimnazjalną. Pierwsze dni nauki, to było wzajemne wyczuwanie, kto jest kto. Po czapkach poznawaliśmy szkoły gdańskie, czapek szkół polskich była taka rozmaitość kolorów i form, że trudno nam było zorientować się, kto jest z warszawskiego Reya, a kto z poznańskiego Bergera. Słowem mieszanina gdańska i polska. Wyposażenie szkoły nieporównywalne z tym, jakim dysponują dzisiaj uczniowie „tysiąclatek”. Gabinety fizyczne, chemiczne, przyrodnicze pozbawione możliwości eksperymentów, biblioteka szkolna, pamiętam, otrzymała w darze od jakiejś księżniczki 200 egzemplarzy „Pana Tadeusza”, ale innych lektur było brak. Odczuwaliśmy szczególnie trudności wynikające z różnic programów szkolnych i polskiej terminologii nauk ścisłych. Będę trochę w opozycji w stosunku do tego, co tu mówiono o różnicach i tarciach dzielnicowych. One jednak istniały w szkole, były zresztą nieuniknione, wynieśliśmy je przecież z domów, z doświadczeń naszych rodziców. Ale rzeczywiście trwały krótko, niwelowane wielkim darem i trudem naszych pedagogów, atmosferą i codziennym życiem szkoły. Trudności pedagogiczne pogłębiały różnice społeczne. Młodzież gdańska była z reguły uboższa od dzieci urzędników polskich przybyłych z głębi kraju po roku 1918 do utworzonego Wolnego Miasta. Wiadomo, dziecko patrzy na śniadanie, i widzi, że jeden ma bułkę z szynką, a drugi tylko chleb z masłem, że jedno posiada kieszonkowe, a drugie tych pieniędzy nie posiada. To tworzy podziały na posiadających i nie posiadających. Nauczyciele nasi musieli tak różnicować element szkolny doprowadzić do wspólnego mianownika. Pamiętam postać prof. Suchanka, który uznawał za swój obowiązek pokrywać koszty naszych częstych wycieczek szkolnych z własnej kieszeni, płacąc za nasze śniadania i obiady, fundując nam czekolady i pomarańcze. Rodzicom po-

zostawał jedynie koszt przejazdu. W życiu szkoły wycieczki, jakie odbywaliśmy do Warszawy, Krakowa, Wieliczki miały ogromne znaczenie. Pozwalały na kontakty z młodzieżą szkolną całego kraju. Niezapomnianym przeżyciem, tak osobistym jak szkoły, była pierwsza matura w roku 1927. Pamiętam patriotyczne kazanie ks. Miszewskiego wygłoszone w kościele Św. Józefa, którego proboszcz ks. Zawadzki był raczej nieprzychylnie ustosunkowany do polskiej ludności, ale na uroczystości szkolne zezwalał, gdyż należeliśmy do jego parafii. Jego postawy nie zmieniał fakt, że doskonale widział siedząc w swoim konfesjonale, jak kościół był zawsze nabit Polakami przy nikłej frekwencji nabożeństw niemieckich.

Odnosiłam te początkowe trudności dla historycznej ścisłości obrazu szkoły — następne lata przyniosły jej imponujący, wszechstronny rozwój, były pod wieloma względami łatwiejsze, choć niosły też zapowiedź dramatu.

Roman Bellwon — Należę do najmłodszych w tym gronie uczniów gimnazjum, a w roku 1936 przeszedłem do Polskiej Wyższej Szkoły Handlowej w Gdańsku. Wielkim dorobkiem gimnazjum było to, że nauczyło nas ojczyściej mowy, większość z nas nie znała przecież literackiego języka polskiego. Umiejętnością i cierpliwością wyróżniał się polonista prof. dr Władysław Pniewski, z którym miałem zaszczyt znaleźć się w obozie Stutthof. Nie byłam niestety przy jego śmierci, bo w tym czasie stawałam przed komisją narodowościową, która nakłaniała mnie do podpisania folkslisty. Oczywiście odmówiłem i przesiadziłam w obozie do końca wojny. Wydaje mi się, że gimnazjum odegrało też poważną rolę w procesie integracji ludności polskiej Gdańska, w procesie szczególnie trudnym, po wiekach zaboru. Umie-

jętnościom naszych pedagogów zawdzięczać należy fakt, że bardzo prędko przestaliśmy przeżywać się od „bosych Antków” i że konflikty dzielnicowe naszych rodziców nie przeszły już do naszej świadomości. Do kryteriów oceny szkoły chciałbym dołączyć kryterium może najprawdziwsze — w obozie siedziałem z wieloma kolegami z ławy szkolnej i przez całe lata martyrologii nie usłyszałem, aby ktokolwiek z nas skarżył się na szkołę, że niepotrzebnie nauczyła nas patriotyzmu i moralności.

O poziomie naukowym trudno mi się wypowiadać, prymusem raczej nie byłam, ale tego, czego mnie nauczono, starczyło na to, abym teraz poprawiając synów, nie musiał zaglądać do książek. I jeszcze jedna rzecz drobna, ale charakterystyczna. Rodzice nasi nie musieli dowiadywać się na wywiadówkach o tym, co robimy, gdyż spotykali się poprzez pracę społeczną niemal codziennie z nauczycielami gimnazjum i mieli dokładne o swoich dzieciach raporty.

Edgar Milewski — Pozostaje mi jako uczniowi i jako redaktorowi najserdeczniej podziękować wszystkim współautorom tej niejako autobiograficznej monografii naszej szkoły, a także podkreślić na łamach „Liter” społeczną potrzebę przyspieszenia prac nad krytyczną analizą i pełną syntezą jej niezwykłych dziejów i trwałego dorobku. Cennym wkładem do tego dzieła będzie też niewątpliwie rozpoczynająca się w dniu 3 czerwca br. w murach naszej dawnej szkoły przy ulicy imienia Jana Augustyńskiego 1, obecnej siedzibie Technikum Mechaniczno-Elektrycznego, sesja popularnonaukowa, dedykowana 50-leciu Gimnazjum Macierzy Szkolnej i 25-leciu tej nowej szkoły. Na sesji spotkamy się wszyscy, jak na żywej lekcji historii i współczesności. ■

Henryk Stępnik

Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Wolnym Mieście Gdańsku

W powołanym decyzją traktatu wersalskiego (28.06.1919) i konwencji paryskiej (9.11.1920) Wolnym Mieście Gdańsku żyła wielotysięczna grupa Polaków. Przetrwiała ona ponad wiek trwającą niewiele pruską. W wyborach do Volkstagu (sejmu gdańskiego) w 1920 r. Polacy uzyskali 10 tys. głosów polskich. W 1923 r. na ogólną ilość 367 tys. mieszkańców Wolnego Miasta, było 12 tys. Polaków, a w 1929 r. na ogólną ilość 392 tys. mieszkańców, Polacy stanowili prawie 36 tys. Stanowiło to 9,1 proc. ogółu ludności Wolnego Miasta. Ludność polska w olbrzymiej większości składała się z rzeszy robotniczych i zamieszkiwała w miastach (Gdańsku i Sopocie), lub na przedmieściach. Ludność polska wiejska rozproszona była w zachodniej i południowo-zachodniej części terenu Wolnego Miasta i stanowiła większość w następujących miejscowościach: Piekło (między Wisłą a Nogatem), Postołowo, Elganowo, Wielkie Trąbki i Kleszczewo.

Szereg aktów prawnych, w tym większość o charakterze międzynarodowym, zapewniało obywatelom polskim i ludności pochodzenia polskiego równe prawa w Wolnym Mieście Gdańsku. Tego rodzaju postanowienia zawierały traktat wersalski (art. 104, ust. 55), konwencja paryska, decyzje organów Ligi Narodów, konstytucja gdańska (z 14.06.1922) oraz dwustronne umowy polsko-gdańskie. W codziennej praktyce władze gdańskie stosowały jednak najróżnorodniejsze utrudnienia i terror wobec Polaków.

W tych warunkach ludność polska od początku rozumiała potrzebę zorganizowania

się dla skuteczniejszej obrony swoich praw i interesów. Odradzają się więc polskie organizacje istniejące w Gdańsku przed wojną oraz powstają nowe. W połowie listopada 1918 r. utworzona została Polska Rada Ludowa. Z jej inicjatywy powołano 26.11.1921 r. Gminę Polską jako organizację wszystkich Polaków w Wolnym Mieście Gdańsku, która stawiała sobie bardzo wszechstronne cele zaspokojenia potrzeb kulturalnych i społecznych, niesienia pomocy materialnej i prawnej Polakom oraz uczestniczenia w wyborach do gdańskich ciał komunalnych i ustawodawczych. Ożywił swą działalność istniejący na terenie Gdańska związek zawodowy pracowników fizycznych i umysłowych — Zjednoczenie Zawodowe Polskie.

W 1926 r. Gminie Polskiej udało się rozciągnąć swój wpływ na inne towarzystwa i organizacje polskie. Utworzono wówczas Związek Towarzystw Polskich w Wolnym Mieście Gdańsku, z Radą Główną na czele i wybieranym przez nią prezydium. W skład Rady Głównej wchodził prezes lub wiceprezes albo delegaci polskich towarzystw, działających w Wolnym Mieście. Istniało w tym czasie w Gdańsku około 60 organizacji — towarzystw polskich, wśród których wiele było takich, które powstały dla ambicji osobistych, niepotrzebnie różpraszając zwartość akcji społecznej. W następnych latach ilość organizacji polskich wzrastała: w 1930 r. istniały już 84 organizacje, a w 1932 r. — 103.¹⁾ Spośród wielu polskich towarzystw działających w Wolnym Mieście Gdańsku, na uwagę zasługuje działające od 1922 r. Towarzy-

stwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku (TPNiS), którego kontynuatorem jest obecnie **Gdańskie Towarzystwo Naukowe**.

Zebranie inauguracyjne Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki odbyło się 11 lipca 1922 r. w hotelu „Continental” w Gdańsku, z inicjatywy księdza dr. Kamila Kantaka. W pierwszym plenarnym zebraniu Komitetu Członków Założycieli wzięli udział: dr K. Kantak, dr Jan Kanty Pomierski, Konstanty Kukowski, red. Władysław Cieszyński, Maria i Walenty Scheffsowie, Jan Kwiatkowski, dr Michał Szuc i Stanisław Kuhnert. Zebraniu inauguracyjnemu przewodniczył dr J. Pomierski. Referat o celach i zadaniach towarzystwa wygłosił K. Kantak. Zaproponował utworzenie towarzystwa w oparciu o statut poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki, z uwzględnieniem potrzeb lokalnych. Na podstawie wspomnianego referatu i dyskusji ustalono główne zadania towarzystwa, którymi być winny:

1. badania naukowe z historii oraz innych dziedzin, ze specjalnym uwzględnieniem zagadnień gdańskich i pomorskich oraz stosunków naukowo-kulturalnych pomiędzy Gdańskiem a Polską;
2. wzbudzanie artystycznego zmysłu, zainteresowania nauką i sztuką oraz wymiana kulturalna polsko-gdańska;
3. zorganizowanie wielkiej biblioteki i czytelni publicznej;
4. stworzenie Uniwersytetu Powszechnego Ludowego w Gdańsku.²⁾

Na pierwszym posiedzeniu do towarzystwa zapisało się 36 członków. Opracowaniem statutu zajął się K. Kantak. Statut towarzystwa składał się z 8 punktów (paragrafów), w których sprecyzowano zadania towarzystwa, sposób przyjmowania członków, ich uprawnienia i obowiązki, sposób powoływania i kompetencje władz, zasady działania. Statut rozróżniał członków zwyczajnych (czynnych) i honorowych. Każdy członek otrzymywał bezpłatnie roczniki wydawnictwa („Rocznik Gdański”) i miał prawo do zniżkowej prenumeraty innych publikacji (§ 3). Składki roczne wyznaczano na walnym zebraniu (początkowo 1000 marek niem. rocznie, a od 1924 r. 6 guld. gd., następnie od 1934 r. — 12 guld. rocznie). Podjęte większością głosów uchwały miały moc prawną przy obecności przynajmniej 20 członków zwyczajnych. Zarząd towarzystwa powoływał wydziały, które miały odbywać posiedzenia przynajmniej raz w miesiącu. Na posiedzeniach tych miały być omawiane zagadnienia naukowe. Wydawnictwa do druku zatwierdzać miała komisja wybrana przez wydział. Na czele wydziału stali wybierani na pierw-

szym zebraniu po Nowym Roku przewodniczący, zastępca i sekretarz. O wynikach wyborów w wydziale powiadamiano zarząd (§ 5). Zarząd składał się z pięciu członków: przewodniczącego, dwu zastępców, sekretarza generalnego i skarbnika. W zebraniach zarządu uczestniczyć mogły zarządy wydziałów, jednak bez głosu decydującego (§ 6). Statut ten obowiązywał do 1934 r., kiedy to uchwalono nową ustawę towarzystwa, zmienioną w 1939 r.

W dniu 18 listopada 1922 r. Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki zostało zarejestrowane pod nr. 277 rejestru towarzystw w sądzie gdańskim, jako pierwsze polskie towarzystwo prywatne; do oficjalnej nazwy dodano litery „e. V”. (eingetragens Verein — stowarzyszenie zarejestrowane). W dniu 4 grudnia 1922 r. tymczasowy zarząd zwołał Walne Zebranie Towarzystwa, na którym wybrano Zarząd Główny w składzie: dr Jan Kanty Pomierski — prezes, dr Kamil Kantak — wiceprezes, Stefan Lalicki — II wiceprezes, red. Władysław Cieszyński — sekretarz generalny, Witold Kukowski — skarbnik.

Ożywioną dyskusję wywołała sprawa wydziałów. W tym celu rozpisano ankietę do członków, aby zadeklarowali, w jakich wydziałach chcą pracować. Na podstawie odpowiedzi członków, postanowiono na zebraniu nadzwyczajnym w dniu 24 marca 1923 r. utworzyć początkowo trzy wydziały: 1) historyczno-literacki, 2) artystyczny (sztuki, muzyki i malarstwa), 3. ekonomiczno-prawniczy.

Od czerwca 1923 r. w pracy tych wydziałów uczestniczyli m. in.: w wydziale historyczno-literackim — Stanisław i Jadwiga Przybyszewscy, dyrektor Gimnazjum Polskiego w Gdańsku Urbanicki i Helena Jarmulenska, w artystycznym — Tadeusz Tylewski, Maria Majchrzakówna i Jan Panieński, w ekonomiczno-prawnym — Marcelli Scheffs Karol Wiewiórski, Piotr Bresiński.

W kwietniu 1923 r. Zarząd TPNiS przedstawił przybyłemu do Gdyni prezydentowi RP, Stanisławowi Wojciechowskiemu, memoriał w sprawach towarzystwa, m. in. w sprawie poparcia finansowego, pomocy wydawnictw i bibliotek krajowych w zorganizowaniu w Gdańsku biblioteki naukowej i czytelni. W marcu 1924 r. nowo wybrany zarząd (dr J. Pomierski — prezes, ks. dr K. Kantak — wiceprezes, Stefan Grabski — II wiceprezes, red. W. Cieszyński — sekretarz, Kazimierz Szymański — skarbnik) został przyjęty przez Komisarza Generalnego RP, dr. H. Strasburgera, który chętnie przyjął godność członka honorowego i protektora towarzy-

stwa. Towarzystwo liczyło wówczas około 100 członków. Zebrania i odczyty odbywały się przy ul. Wałowej (dawniej Wallgasse 15—16) oraz przy ul. Świerczewskiego (dawniej Neugarten 7). Siedziba towarzystwa mieściła się od założenia w gmachu Gimnazjum Polskiego w Gdańsku.

Zasadniczą zmianę w działalności TPNiS przyniósł rok 1926. Po śmierci dr. J. Pomierskiego (7.III.1926) prezesem towarzystwa został (29.IV.1926) dr Marcin Dragan — profesor historii i geografii w Gimnazjum Polskim w Gdańsku. Do towarzystwa wstąpiło wielu nauczycieli i profesorów tegoż gimnazjum. W 1926 r. do pracy włączył się dr Władysław Pniewski — nauczyciel języka i literatury polskiej w wyżej wymienionym gimnazjum. Początkowo pełnił funkcję kierownika wydziału językoznawczego, a od 1927 r. II wiceprezesa zarządu. W TPNiS dr W. Pniewski był jednym z głównych filarów pracy naukowo-wydawniczej. W 1929 r. do zarządu — na stanowisko zastępcy sekretarza generalnego, a w rok później na stanowisko sekretarza generalnego — został wybrany prof. Adam Czartkowski, który był inicjatorem i realizatorem większości prac naukowych towarzystwa, a głównie jego działalności wydawniczej. Jego zasługą było skupienie wokół TPNiS grona wybitnych literatów, historyków, etnografów i filozofów z całej Polski.

Nowy zarząd powołał do życia, w charakterze sekcji, sześć wydziałów: historyczny pod przewodnictwem dr. M. Dragana, historii sztuki (ks. Wysocki), przyrodniczy (prof. B. Gawel), językoznawczy (dr. W. Pniewski), prawno-ekonomiczny (radca Kalkstein) oraz biblioteczny (Z. Nowicki).

O ile w pierwszym pięcioleciu (1922—1926) TPNiS ograniczało się wyłącznie do urządzania odczytów, organizowania wystaw i wieczorów muzycznych, a więc do działalności popularyzatorskiej, to w następnym okresie (1926—1939) przyjęło charakter ośrodka naukowego. W okresie tym w działalności towarzystwa zaznaczyły się wyraźnie następujące kierunki: 1. działalność w zakresie upowszechniania nauki i kultury, 2. popieranie nauki i współpraca z innymi ośrodkami naukowymi w kraju, 3. podejmowanie badań naukowych, szczególnie w zakresie dziejów Gdańska i stosunków polsko-gdańskich oraz rozwijanie związanej z powyższymi badaniami działalności wydawniczej.

W zakresie upowszechniania nauki organizowano spotkania z pracownikami naukowymi Uniwersytetu Poznańskiego, Uniwersytetu Krakowskiego, Warszawskiego i innych ośrodków naukowych. Na uwagę zasługują m. in. odczyty z serii „Czwartki uniwersyteckie w Gdańsku”. W 1936 r. towarzystwo wzięło udział w zorganizowaniu cyklu wykładów o Gdańsku, w ramach Kolegium Międzynarodowych Wykładów Akademickich w Gdyni.

W 1938 r. zorganizowano, przy współudziale powstałego niedawno Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Gdyni, kilkudziesięciogodzinny „Kurs wiedzy o Gdańsku”. Pozyskano licznych profesorów uniwersytetów polskich, specjalistów poszczególnych zagadnień. Ogółem w latach 1924—1936 towarzystwo zorganizowało ponad 150 odczytów naukowych, które wygłosili członkowie towarzystwa i pracownicy nauki z ośrodków uniwersyteckich w Polsce.

W 1929 r. powołano komisję sztuki. Jej przewodniczącym został prof. A. Czartkowski. Komisja miała się zająć urządzeniem polskich przedstawień teatralnych, koncertów i wystaw. W skład komisji weszli przedstawiciele Macierzy Szkolnej, Koła Miłośników Sceny, Polskiego Towarzystwa Muzycznego, Okręgu VI Pomorskiego Związku Kół Śpiewaczych. Wynikiem prac komisji było przygotowanie i wystawienie w 1929 r., pod firmą Teatru Macierzy Szkolnej, następujących przedstawień: „Grube ryby” M. Bałuckiego (19.X), „Pan Damazy” Blizińskiego (21.X), oba w wykonaniu Teatru Nowego z Poznania), „Spadkobierca” A. Grzymały-Siedleckiego, w wykonaniu Koła Miłośników Sceny w Gdańsku, przy współpracy W. Sto-



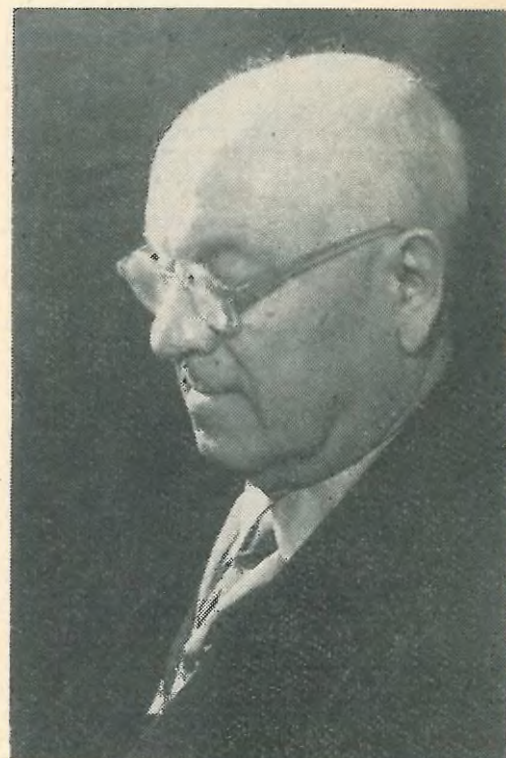
OTWARTIE WYSTAWY WOJCIECHA I JERZEGO KOSSAKÓW W GDAŃSKU (1935)



KAZIMIERA PASZKOWSKA-JEZOWA



WŁADYSŁAW PNIEWSKI



MARCIN DRAGAN

my i K. Sarneckiej z Bydgoszczy. Przygotowywano również wystawienie w gmachu Teatru Gdańskiego „Halki” S. Moniuszki w wykonaniu Opery Poznańskiej, na co Senat gdański nie wyraził zgody.

W kwietniu i maju 1930 r. zorganizowano w salach Muzeum Miejskiego wystawę sztuki polskiej n.t. „Polski krajobraz i lud”. W październiku i listopadzie 1930 r. została zorganizowana przez władze kulturalne Wolnego Miasta wystawa n.t. „Goethe i Wschód”. W ramach powyższej wystawy Polska miała zorganizować dział n.t. „Goethe i Polska”. Zadanie powierzono TPNiS. Powołano komitet, w skład którego weszli m. in. dr M. Dragan, dr W. Pniewski, prof. R. Czartkowski, dr T. Bierowski i prof. F. Kazanecki. W przygotowaniu wystawy uczestniczyło wiele ośrodków naukowych i kulturalnych w kraju. Program imprezy obejmował ponadto wygłoszenie odczytu na temat: „Goethe i Polska” (przez prof. dr. S. Wukadinowca) i opublikowanie go w postaci broszury. Na odczyt (4.X.1930), wygłoszony w jęz. niemieckim w sali hotelu „Danziger Hof”, przybyli m. in. minister dr H. Strasburger — Komisarz Generalny RP, hr. M. Gravina — Wysoki Komisarz Ligi Narodów i przedstawiciele Senatu WM Gdańska. Głosy prasy gdańskiej, niechętniej zazwyczaj temu, co polskie, tym razem były przychylne. Wystawę zwiedziło ponad 3 tys. osób. Była ona jednym z momentów kulturalnego zetknięcia się ze sobą dwóch narodów, pomiędzy którymi panowało rozdrażnienie i nieufność.

W czerwcu 1931 r. została zorganizowana wystawa pod nazwą „Polskie morze i Ziemia Pomorska”, a w lutym 1935 r. zorganizowano w salach byłej Dyrekcji Okręgowej PKP wystawę obrazów Wojciecha i Jerzego Kossaków. Również i tę wystawę zwiedziło około 3 tys. osób.

W 1925 r., na ogólnopolskim zjeździe historyków polskich w Poznaniu, powstała myśl utworzenia w Gdańsku placówki o charakterze stacji naukowej, której zadaniem byłoby umożliwienie wykorzystania dla celów badawczych znajdujących się w Gdańsku zasobów archiwalnych, bibliotecznych i zabytków muzealnych, pracownikom nauki z polskich ośrodków naukowych. Cztery lata później, powyższa myśl doczekała się realizacji. W dniu 1 grudnia 1929 r. zarząd towarzystwa uruchomił Polską Stację Naukową, mieszczącą się początkowo w siedzibie towarzystwa, w latach 1932—1934 przy Kaszubskim Rynku 21, a od 1934 r. w gmachu

byłej Dyrekcji Okręgowej PKP. Stacja była czynna cały rok. Uczni korzystali z niej bezpłatnie. Przy stacji zaczęto tworzyć czytelnię i bibliotekę, która w 1939 r. liczyła ponad 3 tys. tomów. Zbiory biblioteki pochodziły z wymiany wydawnictw z ośrodkami naukowymi w kraju i za granicą, oraz od ofiarodawców prywatnych i instytucji państwowych. W latach 1932—1938 z Polskiej Stacji Naukowej i jej czytelnicy skorzystało 64 pracowników naukowych polskich i obcych.

W celu przyjęcia z pomocą młodym pracownikom nauki, staraniem towarzystwa utworzono w Gdańsku (1935) fundusz stypendialny im. Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Stypendium w wysokości 600 zł rocznie na wniosek towarzystwa przyznawał Komitet Wykonawczy The British and Polish Trade Bank A.G. w Gdańsku — fundator stypendium.

Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki podejmowało również próby w zakresie koordynacji badań naukowych, dotyczących Pomorza i Gdańska. W tym celu z inicjatywy zarządu towarzystwa odbył się 9 marca 1930 r. w sali Klubu Polskiego w Gdańsku (Neugarten 7), zjazd przedstawicieli zarządów instytucji i towarzystw naukowych, zajmujących się badaniem spraw dotyczących Pomorza, Gdańska i morza polskiego. Na zjeździe opracowano regulamin Naukowych Zjazdów Pomorzoznawczych, których organizację w następnych latach powierzono Instytutowi Bałtyckiemu w Toruniu.

Bardzo istotnym odcinkiem pracy TPNiS w latach 1927—1939 była działalność wydawnicza. W 1927 r. ukazał się pierwszy tom „Rocznika Gdańskiego”; do 1939 r. wydano 12 tomów, w których opublikowano 59 artykułów-rozpraw naukowych, 58 recenzji i polemik, 25 prac materiałowych i 4 publikacje przyczynkarskie. W skład Komitetu Redakcyjnego „Rocznika Gdańskiego” wchodził m. in.: dr M. Dragan, dr W. Pniewski, prof. A. Czartkowski, dr T. Bierowski, dr R. Wodzicki, dr K. Jeżowa, A. Siebeneichen, E. Reucker. Od 1931 powiększono jeszcze Komitet Redakcyjny przez zaproszenie do jego składu wszystkich pracujących naukowo członków towarzystwa. Głównym celem tego wydawnictwa było: zgromadzenie prac naukowych polskich nad zagadnieniami gdańskimi, gdańsko-polskimi, niemiecko-polskimi oraz dotyczącymi wybrzeża polskiego; pogłębianie badań nad tymi zagadnieniami w róż-

nych dziedzinach nauki oraz krytycznym ich naświetlaniu; prowadzenie krytycznej ewidencji badań na temat powyższych zagadnień oraz literatury politycznej, szczególnie tej, która uprawia wrogą Polsce agitację, w celu wytworzenia atmosfery sprzyjającej wydaniu jej dostępu do morza.

Przeglądając 12 tomów „Rocznika Gdańskiego” można stwierdzić, że powyższe cele wydawnictwo to w pełni realizowało. W 1930 r. rozpoczęło, z inicjatywy prof. A. Czartkowskiego, seryjną publikację „Biblioteka Gdańsko-Pomorska”, a w r. 1937 serię „Studia Gdańskie. Monografie z dziejów Gdańska i stosunków polsko-gdańskich”. W pierwszej serii ukazały się trzy pozycje: „Morze polskie i Pomorze w pieśni. Antologia ułożona przez W. Pniewskiego i S. Brzecz-kowskiego” (Gdańsk 1930), R. Pollak — „Marcin na Borzymach Borzymowski Mor-ska Nawigacja do Lubeka” (Gdańsk 1938), S. Helsztyński — „Stanisław Przybyszewski. Listy” (t. I—III 1789—1927, Gdańsk — Warszawa 1937—1939). Druk tomu III został przerwany na skutek działań wojennych w 1939 r. W serii „Studia Gdańskie” wydano Ł. Kurdybacha „Stosunki kulturalne polsko-gdańskie w XVIII w.” (Gdańsk 1937), W. Pniewskiego „Język polski w dawnych szko-łach gdańskich” (Gdańsk 1938). Osobno wydano pod redakcją W. Pniewskiego księgę pamiątkową pt. „Krzysztof Celestyn Mron-gowiusz 1764—1859. Księga pamiątkowa ku czci zasłużonego badacza i miłośnika języka polskiego w Gdańsku z końca XVIII i pierw-szej połowy XIX w., ostatniego lektora jęz. polskiego w dawnych szkołach gdańskich”. Dalsze pozycje towarzystwa, to cykl 22 po-pularnonaukowych broszur w polskim i ob-cych językach, na temat stosunku ówczes-ne-go portu gdańskiego do Gdyni, problemów polsko-gdańskich i polsko-niemieckich. Głównym celem tych wydawnictw było przeciw-działanie wrogiej propagandzie w tym za-kresie w Niemczech i innych państwach Eu-ropy zachodniej. Temu celowi służył również obszerny dział recenzji w „Roczniku Gdań-skim”, w których nie szczędzono surowej oceny prac niemieckich, podejmujących pro-blematykę polską. Na szczególną uwagę za-sługują podjęte przez zarząd TPNiS (1933) z inicjatywy prof. A. Czartkowskiego i dr. Stanisława Bodniaka przygotowania publika-cji źródeł do dziejów Polski na morzu, zatytułowanej „Monumenta Poloniae Maritima”, czyli „Pomniki spraw morskich Polski”. W memoriale napisanym przez S. Bodniaka.

Leona Koczego i Kazimierza Lepszego 11 stycznia 1934 r. czytamy: *Wydawnictwo to unaocznia naszemu społeczeństwu, jak silne były związki naszych przodków z Bałtykiem i jakie z morza czerpało korzyści; zagranicę zaś udokumentuje i w sposób oczywisty i przekonujący uzasadni prawa Polski do przystępu do morza... Monumenta Poloniae Maritima służyć muszą zarówno wymogom propagandy jak i celom nauki. Ma z nich korzystać przeciętny czytelnik, dziennikarz, publicysta, poseł, mąż stanu i naukowiec, swój i obcy...*

W marcu 1933 r. powołano tymczasowy Komitet Redakcyjny, w skład którego weszły cztery osoby: dr S. Bodniak, dr M. Dragan, dr L. Koczy i dr K. Lepszy. W następnym roku rozpoczęto gromadzenie materiałów. W 1935 r. zorganizowano nowy Komitet Redakcyjny. Przewodniczącym został M. Dragan, sekretarzem dr M. Pelczar, a funkcję członków komitetu przyjęli: dr S. Bodniak, dr Karol Górski, dr L. Koczy, dr A. Wala-wender. W 1938 r. do komitetu wszedł dr Władysław Czapliński, a w 1939 r. wycofał się dr K. Górski. Powołano również 13-osobowy komitet honorowy i 26-osobowy komitet finansowy. Wydawnictwem zainteresowały się ośrodki naukowe w kraju oraz instytucje państwowe i prywatne. Popłynęły wpłaty. W 1938 r. planowano wydanie I tomu serii, obejmującej materiały źródłowe do dziejów Słowian nadbałtyckich i dziejów nadmorskich Polski do XII w., w opracowaniu dr L. Koczego. Ponadto prawie gotowy materiał do wydania mieli: S. Bodniak — do okresu dwu ostatnich Jagiellonów, W. Czapliński — do epoki Władysława IV, K. Lepszy — do czasów Stefana Batorego, M. Pelczar gromadził materiały do czasów Kazimierza Jagiellończyka. Wybuch wojny przeszkodził w realizacji tak cennych dla nauki polskiej zamierzeń. Sprawa edycji „Acta do dziejów Polski na morzu” była jedną z głównych spraw TPNiS po drugiej wojnie światowej i jest nią obecnie, ale to już nie mieści się w ramach niniejszego artykułu.

Andrzej Romanow

Z dziejów Zakładów Graficznych „Drukarnia Gdańska”

Drukarnia Gdańska¹⁾ to jedno z najstarszych i najbardziej zasłużonych sprawie polskiej przedsiębiorstw, jakie do 1939 r. znajdowały się na terenie Gdańska. Wiele zawdzięczały jej istnieniu Polacy, mieszkający na Pomorzu Gdańskim w czasach pruskiego zaboru, kiedy to w niesłychanie trudnych warunkach spowodowanych szykanami władz pruskich, drukowano w niej od 1891 r. polskie książki i pismo, stojące o obronie praw polskiej narodowości, utrwalające wśród ludu pomorskiego polską tradycję i kulturę ojczystą.

O dziejach drukarni w tym okresie, a właściwie o dziejach przedsiębiorstwa wydawniczego „Gazeta Gdańska”, obejmującego także drukarnię oraz o ludziach z nim związanych, pisali obszernie w swych pracach: prof. A. Bukowski (Regionalizm kaszubski, Poznań 1950), prof. T. Cieślak (Z dziejów prasy polskiej na Pomorzu Gdańskim w okresie zaboru pruskiego, Gdańsk 1964). Wiele interesujących danych znaleźć można także w licznych artykułach (Zob. m. in. K. Trzebiatowski, Prasa i organizacje polskie w regencji gdańskiej na przełomie XIX i XX w., „Rocznik Gdański” t. XXVII) i w wydawnictwach okolicznościowych (np.

Fundusze na działalność wydawniczą i statutową otrzymywało towarzystwo od Komisariatu Generalnego RP w Gdańsku, Szefa Wydziału Wojskowego przy Komisariacie Generalnym, z Funduszu Kultury Narodowej przy Radzie Ministrów w Warszawie, Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Dyrekcji The British and Polish Trade Bank w Gdańsku, od prywatnych ofiarodawców oraz ze składek członkowskich.

W grudniu 1938 r. Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku obchodziło jubileusz XV-lecia swojego istnienia. W uroczystości (4.XII) wzięły udział delegacje towarzystw naukowych z kraju, Polskiej Akademii Umiejętności, uniwersytetów, przedstawiciele Ministerstwa Wyznań Rel. i Ośw. Publ., Funduszu Kultury Narodowej przy Prezydium RM. Przyjazd do Gdańska kilkudziesięciu przedstawicieli poważnych instytucji i towarzystw naukowych, ich przemówienia oraz setki depesz i listów nadesłanych z kraju przez inne instytucje, towarzystwa i przez przedstawicieli świata nauki polskiej były dowodem pozytywnej oceny działalności Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki. W ramach uroczystości dr W. Pniewski wygłosił w Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie okolicznościowy wykład na temat wkładu Polonii gdańskiej do skarbcza kultury i nauki polskiej. TPNiS zrzeszało w tym czasie 150 członków.

Przedstawione wyżej wyniki działalności TPNiS w Gdańsku są zasługą kilkunastu ofiarnych, a zarazem utalentowanych działaczy, spośród których na szczególną uwagę zasługują między innymi: prof. A. Czar-kowski, dr W. Pniewski, dr M. Dragan, dr Kazimiera Paszkowska-Jeżowa i inni. ■

1) WAPGd. TPNiS III, 355/9. Spis polskich towarzystw na obszarze Wolnego Miasta Gdańska w r. 1927; WAP Gd. Senat I, 260/1097, wykaz polskich towarzystw w WM Gdańsku na dzień 15.VIII.1932 r.
2) Artykuł opracowany na podstawie materiałów archiwalnych WAPGd. TPNiS III, 355 oraz „Rocznika Gdańskiego” t. I—XII w l. 1927—1939 — Kronika Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku.

Gdańsku, spowodowały, że w 1920 r. Jan Kwiatkowski, właściciel przedsiębiorstwa wydawniczego „Gazeta Gdańska” (obejmującego oprócz czasopisma o tymże tytule również księgarnię i oficynę drukarską) zdecydował się na założenie spółki akcyjnej. Założenie spółki miało wpłynąć na zwiększenie operatywności firmy oraz przyczynić się do uzyskania środków na modernizację zakładu drukarskiego. Zebranie konstytucyjne nowo powstałej spółki wydawniczej odbyło się 2.VI. 1920 r. Jej dyrektorem wybrany został dotychczasowy właściciel firmy „Gazeta Gdańska”, J. Kwiatkowski.

W grudniu tegoż roku, po zakupieniu nowych, obszernych pomieszczeń przy Stadt-gebiel 12 (obecnie ul. Jedności Robotniczej) na Oruni, przeniesiono tam mieszczące się dotychczas w niewielkim lokalu przy Vor-städtischer Graben 49 (Grobla Przedmiejska) biura redakcji „Gazety Gdańskiej” i drukarnię, do której zakupiono nowoczesne maszyny drukarskie.

Połączenie w listopadzie 1921 r. wydawnictw „Gazety Gdańskiej” i „Dziennika Gdańskiego” oraz zlecenie druku powstałej w ten sposób „Gazety i Dziennika Gdańskiego” Drukarni Zjednoczonego Wydawnictwa²⁾, wpłynęło ujemnie na sytuację ekonomiczną drukarni, w której była dotychczas drukowana „Gazeta”. Niebawem też jej akcje wykupił Bank Związku Spółek Zarobkowych z Poznania, organizując nie mające już żadnego związku z połączeniami wydawnictwami Zakłady Graficzne „Drukarnia Gdańska” — Towarzystwo Akcyjne³⁾. Dyrektorem Zakładów Graficznych pozostał nadal J. Kwiatkowski, którego wybrano do Rady Nadzorczej przedsiębiorstwa. 31.VII.1922 r. Towarzystwo Wydawnicze Pomorskie z Bydgoszczy, które przejęło w międzyczasie „Gazetę Gdańską” (18.I.1922 r.), powierzyło druk tegoż pisma Drukarni Gdańskiej. Pracami stanowiącymi podstawę utrzymania drukarni były w tym czasie — obok druku „Gazety Gdańskiej” — druk „Oreodownika Rady Portu i Dróg Wodnych w W.M. Gdańsku”, „Dziennika Zarządzeń Dyrekcji Kolei Państwowych w Gdańsku” oraz kolejowych rozkładów jazdy. Od listopada 1925 r. zlecono drukarni druk subwencjonowanego przez polskie MSZ czasopisma „Baltische Presse”.

Pomyślny rozwój przedsiębiorstwa został zakłócony z chwilą przejścia „Gazety Gdańskiej” z dniem 1.V.1926 r. na własność Drukarni Bydgoskiej. Przeniesienie druku „Gazety” do Bydgoszczy nie zaważyło co prawda w decydujący sposób na ekonomice przedsiębiorstwa, gdyż powstałe straty wyrównywały częściowo opłaty za druk „Baltische Presse”. Jednakże z momentem wykupienia pisma możliwości produkcyjne drukarni nie były w pełni wykorzystywane. Zaistniała sytuacja zmusiła kierownictwo zakładów do szukania nowych zamówień wśród działających na terenie Wolnego Miasta polskich urzędów i instytucji.

Najpoważniejszym klientem drukarni spośród polskich urzędów w Gdańsku była, z racji częstości i wielkości zamówień, Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych. Drukarnia już w 1925 r. występowała o przekazanie jej całości prac drukarskich potrzebnych DOKP w Gdańsku. Pertraktacje w tej sprawie pomiędzy DOKP a kierownictwem drukarni kontynuowane były bez widocznych rezultatów aż do kwietnia 1929 r. Wówczas to J. Kwiatkowski, wobec grozących przedsiębiorstwu kłopotów finansowych, spowodowanych częściowym pogorszeniem się koniunktury, jakie nastąpiło w obliczu nadchodzącego kryzysu gospodarczego, zdecydował się na podjęcie za pośrednictwem Komisarza Generalnego Rzeczypospolitej w W.M. Gdańsku, energicznej akcji mającej na celu przywrócenie drukarni dawnej pozycji ekonomicznej. Liczne pisma wysyłane w owym czasie przez dyrektora drukarni do Komisariatu Generalnego i odpowiednich ministerstw w Warszawie, a dotyczące przede wszystkim sprawy zapewnienia Zakładom Graficznym dostatecznej ilości zamówień na druki, motywowane były „ustawicznym twierdzeniem, oddolnych przedstawicieli władz centralnych,

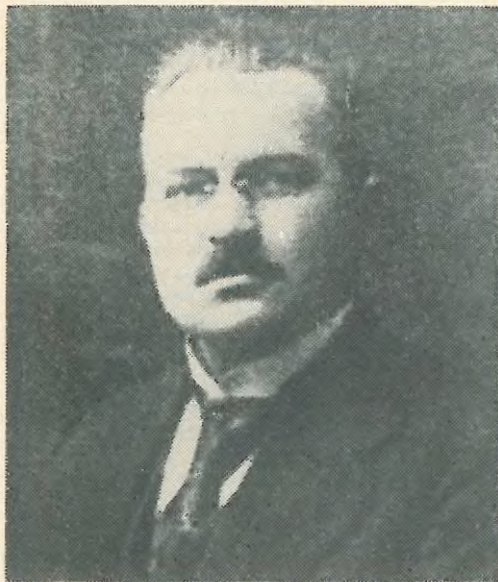
„Gazeta Gdańska” — 75 rocznica powstania. Materiały z sesji popularnonaukowej, Gdańsk 1968). Cennym źródłem do poznania dziejów drukarni są też wspomnienia J. Kwiatkowskiego, byłego właściciela przedsiębiorstwa wydawniczego „Gazeta Gdańska” i długoletniego dyrektora Zakładów Graficznych „Drukarnia Gdańska” T.A., obejmujące lata 1913—1918 (J. Kwiatkowski, Polski Gdańsk w czasie przełomowym, Gdynia-Orłowo 1935, 1937, cz. I i II).

Tak duży wybór literatury spowodował, iż w artykule tym pominięto omawianie dziejów drukarni w l. 1891—1918, ograniczając się do opisanie mniej znanych jej losów w czasach W.M. Gdańska. Z okresu tego przedstawione i zasygnalizowane zostały mianowicie te wydarzenia, które — zdaniem autora — miały szczególne znaczenie w dziejach przedsiębiorstwa „Drukarnia Gdańska” i które wywarły widoczny wpływ na losy pracujących w nim ludzi.

Rozwój życia społeczno-organizacyjnego Polonii gdańskiej, jaki nastąpił po zakończeniu I wojny światowej, oraz wzrastająca konkurencyjność „Dziennika Gdańskiego”, wydawanego od lipca 1919 r. nakładem Towarzystwa Wydawniczego Pomorskiego w



JAN KWIATKOWSKI



WILHELM GRIMSMANN



ROMAN SZEFLER

że gospodarność Gdańska należy koniecznie popierać.

Niestety, efekty, jakie przyniosły opisywane wyżej zabiegi kierownictwa drukarni, były tak minimalne, że Komisarz Generalny H. Strasburger zdecydował się wystosować do MSZ pismo następującej treści: *Nie podobna mi nie wspomnieć o takiej na pozór paradoksalnej sytuacji, jaka się dla firm polskich w Gdańsku wytworzyła i jaką często przedstawiają mi zainteresowani Polacy gdańscy. Mianowicie twierdzą oni, i słusznie, że gdyby instytucje tego rodzaju jak DOKP, Dyrekcja Poczty i Telegrafów itd., były w ręku niemieckim, to firmy gdańsko-polskie, wprawdzie w mniejszym stopniu jak firmy gdańsko-niemieckie, byłyby przy zamówieniach uwzględniane, podczas gdy dzisiaj, mimo że instytucje powyższe są w rękach polskich, zupełnie są pomijane.*

Jedną z przyczyn trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się Drukarnia Gdańska w latach trzydziestych, była też likwidacja z dniem 30.VI.1931 r. drukowanego tam czasopisma „Baltische Presse”. Jak już wspomniano, wpływy za druk tego wydawnictwa, subwencjonowanego przez MSZ, były od chwili przeniesienia „Gazety Gdańskiej” do Bydgoszczy, podstawą egzystencji przedsiębiorstwa. Toteż wiadomość o pertraktacjach pomiędzy kierownictwem zakładów, a Komisarzem Generalnym w sprawie zaprzestania druku „Baltische Presse”, wzbudziła zrozumiałą niepokój wśród pracowników drukarni. W maju 1931 r. przesłali oni władzom polskim petycję, w której pytali: *Dlaczego zatem nas właśnie, tych cichych lecz gorliwych pracowników chce Ojczyzna pozbawić chleba i rzucić na pastwę wrogich nam współobywateli? Nie żądamy przecież podarunków, lecz pracy dla firmy a tym samym i dla nas.*

Rozmowy J. Kwiatkowskiego z Komisarzem Generalnym w sprawie odroczenia terminu likwidacji „Baltische Presse” chociaż do dnia wygaśnięcia umowy na jej druk, tj. do 1.X.1931 r., nie przynosiły pożądanego rezultatu... Obietnice Komisarza Generalnego o zapewnieniu drukarni dalszego bytu oraz zrekomensowaniu strat poniesionych z powodu zwinienia „Baltische Presse” przez wzrost zamówień na prace zlecane, jakie miały być składane przez polskie instytucje państwowe, zostały przez dyrektora Kwiatkowskiego potraktowane jako niemożliwe do przyjęcia. Decyzję odrzucenia propozycji Komisarza uzasadnił J. Kwiatkowski przykrymi doświadczeniami, jakie wyniosło kierownictwo drukarni z wcześniejszej próby zapewnienia przedsiębiorstwu stałej pracy tym właśnie sposobem. Postawy dyrektora drukarni nie zmieniła nawet niedwuznaczna groźba Komisarza Generalnego, iż *...takie nieustępliwe stanowisko wobec dezyderatów władz polskich... może odbić się niekorzystnie na interesach Drukarni Gdańskiej i spowodować, że straci ona nie tylko druk „Baltische Presse”, ale także może stracić w przyszłości pomoc w formie zamówień instytucji rządowych na druki... Mimo takiego właśnie stanowiska, jakie zajął Komisarz Generalny w sprawie drukarni z polecenia MSZ, w relacji z rozmowy przeprowadzonej z dyrektorem Kwiatkowskim pisał on do swych władz zwierzchnich: *Jeżeli stan funduszy jest tego rodzaju, że należałoby zamknąć wydawnictwo dziennika (tj. „Baltische Presse”) już z dniem 1.VI.1931 r., to z drugiej strony jesteśmy związani kontraktem... Jakiegokolwiek represje wobec Drukarni Gdańskiej lub próba obejścia umowy, byłaby tu nie na miejscu, ponieważ jest to rzeczywiście jedno z ostatnich poważniejszych przedsiębiorstw polskich walczących ciężko o swą egzystencję... i zatrudniającym pokaźną grupę rodzin polskich pod względem społecznym i narodowym uświadomionych i aktywnych.**

Zabiegi J. Kwiatkowskiego o utrzymanie druku „Baltische Presse” chociażby do terminu wygaśnięcia kontraktu, odniosły połowiczny sukces; MSZ po konsultacji z Komisarzem Generalnym i w porozumieniu z właścicielami drukarni zgodziło się na przesunięcie terminu zaprzestania druku pisma do dnia 30.VI.1931 r. Od tej chwili podstawą u-

trzymania Drukarni Gdańskiej, pozbawionej stałej pracy, miały być dorywcze zamówienia na druki dla polskich urzędów państwowych, firm prywatnych i organizacji polonijnych z terenu W.M. Gdańska.

Tymczasem 11.VII.1931 r. H. Strasburger otrzymał z MSZ poufne pismo, w którym powiadomiono go o niemożności udzielenia przedsiębiorstwu polskiemu w Gdańsku zwiększonej ilości zamówień ze strony urzędów państwowych. Minister Spraw Zagranicznych J. Beck nie mógł — jak informowano — przedstawić powyższej sprawy na Radzie Ministrów z tej przyczyny, że była ona właśnie w tym czasie zajęta omawianiem problemu zwiększenia dochodów m. in. Kolei Państwowych oraz Poczty i Telegrafów, a na te resorty, jak wiadomo, miały w dużej mierze spaść ciężary wynikłe z proponowanego przez H. Strasburgera i J. Kwiatkowskiego rozwiązania pilnej kwestii zamówień. W tej sytuacji zalecono H. Strasburgerowi, aby przeprowadził takie *taktyczne posunięcia, „które by mogły jeszcze na czas dać rezultat i dla Drukarni Gdańskiej.* W razie zrealizowania w określonym terminie owych *taktycznych posunięć, przez które rozumiano czasowe zapewnienie egzystencji drukarni wszelkimi możliwymi środkami, wyłączając jednakże subwencje rządowe, minister Beck obiecywał poparcie dla postulatów H. Strasburgera, dotyczących wspomnienia przez rząd Rzeczypospolitej polskich przedsiębiorstw w Wolnym Mieście.*

Wkrótce też z MSZ zażądano od Komisarza Generalnego przedstawienia swego punktu widzenia na możliwości przeprowadzenia sanacji polskich przedsiębiorstw graficznych w Gdańsku. W odpowiedzi H. Strasburger jeszcze raz powtórzył swój pogląd o konieczności udzielenia pomocy państwowej w formie zwiększonej ilości zamówień na druki. W myśl jego postulatów zamówienia rządowe, skierowywane do polskich drukarni w W.M. Gdańsku, winny zostać podwyższone do wysokości 220 tys. zł rocznie. Z sumy tej 200 tys. przypaść miało Drukarni Gdańskiej, a 20 tys. drukarni J. Czyżewskiego.

Propozycje Komisarza Generalnego zostały uwzględnione w uchwale Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów z dnia 9.X.1931 r. Podjęcie tej uchwały poprzedziło przesłanie do Komitetu Ekonomicznego przez J. Becka nagłego wniosku z projektem udzielenia zamówień rządowych polskiemu przedsiębiorstwu w Gdańsku *...nawet w tym wypadku, gdyby ich oferty będąc konkurencyjnymi w stosunku do cen firm gdańskich, były jednak droższe od ofert firm osiadłych w Polsce.* W punkcie czwartym wniosku J. Beck wnosił, aby powyższe zasady były zastosowane w roku budżetowym 1931/32 i to jak najrychlej, w stosunku do S.A. „Drukarnia Gdańska” przy zamówieniach Dyrekcji PKP w Gdańsku na sumę zamówień 200 tys. zł.

9.X.1931 r. Komitet Ekonomiczny rozpatrywał wniosek ministra Becka i podjął uchwałę zatwierdzającą zawarte w nim dezyderaty, z tym jednak zastrzeżeniem, że oferty polskich firm gdańskich, miały być uwzględniane przez polskie urzędy państwowe w Gdańsku jedynie *...w miarę możliwości finansowych... Powyższe zastrzeżenie stwarzało drogę obejścia zawartych w uchwale decyzji i w zasadzie pozostawiało urzędowi polskiemu w Gdańsku „wolną rękę” w sprawie podejmowania składanych im ofert. Nadarzącą się okazję wykorzystała natychmiast DOKP w Gdańsku, która — jak wiadomo — partycypowała w największej ilości zamówień składanych Drukarni Gdańskiej. Interpretując mianowicie na swą korzyść uzależnienie wysokości przyjętych ofert od możliwości finansowych zamawiającego urzędu, zaniżyła znacznie liczbę kierowanych do Drukarni Gdańskiej zamówień, wybierając o wiele tańsze oferty drukarni krajowych.*

Wpływy z ograniczonej liczby zamówień Dyrekcji Kolei Państwowych nie pokrywały nawet kosztów własnych drukarni. W związku z tym dalsze jej utrzymanie, jako przedsiębiorstwa deficytowego, z czysto ekonomicznego punktu widzenia stało się nieopłacalne. Wobec tego, że interwencje następcy H. Strasburgera na stanowisku Komisarza

Generalnego Rzeczypospolitej w Wolnym Mieście, K. Papée, w Dyrekcji Kolei, spowodowane częstymi monitami ze strony kierownictwa drukarni, a mające na celu wyegzekwowanie zwiększenia ilości zamówień, nie odnosiły skutku, właściciel drukarni, tj. Bank Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu, powziął decyzję o jej likwidacji. W piśmie do Komisarza Generalnego, informującym o podjętym postanowieniu, Zarząd Banku, kierując się zrozumieniem, iż „likwidacja drukarni ma nastąpić w momencie napięcia politycznego, zgadzał się jednocześnie na terminowe zawieszenie swej decyzji, pod warunkiem wykorzystania przez władzę polskie wszelkich możliwości jej zapobieżenia.

Grożba zamknięcia przedsiębiorstwa zmobilizowała Komisarza Generalnego do podjęcia jeszcze jednej próby zmuszenia DOKP do przyjmowania ofert Drukarni Gdańskiej. Tym razem interweniował on bezpośrednio u władz zwierzchnich Dyrekcji Kolei, tj. w Ministerstwie Komunikacji. Akcentując konieczność utrzymania Drukarni Gdańskiej, w liście do Ministra Komunikacji K. Papée pisał: *Rozchodzi się w pierwszym rzędzie o wpływ moralny, niewątpliwie ujemny, jaki wyrzucić może likwidacja drukarni dając wrażenie wycofywania się i osłabienia tempa życia polskiego w Gdańsku.* Jednakże i ta interwencja Komisarza Generalnego, podobnie jak i poprzednia w DOKP, nie odniosła rezultatu — Ministerstwo Komunikacji odpowiedziało, iż uważa zlecenie zamówień wyłącznie Drukarni Gdańskiej, z pominięciem znacznie tańszych drukarni z terenu Polski, za niemożliwe. Dopiero interwencja K. Papée za pośrednictwem MSZ, które sprawę istnienia drukarni polskiej na terenie gdańskim uważało za „jeden z zasadniczych fragmentów ogólnej polityki Rządu Polskiego względem Gdańska, zmierzającej ku intensywnemu podtrzymaniu i rozwinięciu polskich warsztatów pracy i polskiej własności na terenie Wolnego Miasta, doprowadziła do wyrażenia zgody Ministerstwa Komunikacji na powierzenie Drukarni Gdańskiej zwiększonej liczby zamówień, pod warunkiem obniżenia ceny o około 30%, na co kierownictwo drukarni wyraziło zgodę.

Z chwilą zrealizowania „wymuszonych” na DOKP zleceń, sprawa likwidacji drukarni na skutek niepodejmowania składanych Dyrekcji Kolei kolejnych ofert, ponownie stała się aktualna. *Kto wie, czy propaganda tak przecież droga nie zostanie tym wydarzeniem (tj. likwidacją drukarni) osłabiona bardziej aniżeli zyska skarb — pisał do ministra Komunikacji zirytowany postawą Dyrekcji Kolei K. Papée. — Propaganda celem odrobienia niekorzystnego wrażenia wywołanego podobnymi wydarzeniami może okazać się kosztowniejsza.*

Kłopoty związane z niemożnością zapewnienia Drukarni Gdańskiej wystarczającej ilości koniecznych do jej utrzymania zamówień na druki, spowodowały, że zaczęto brać pod uwagę także inne możliwości wydzignięcia przedsiębiorstwa z trudnego położenia. Pod koniec 1932 r. właściciele drukarni wysunęli projekt przeniesienia jej warsztatów do Gdyni. Posunięcie to obniżyłoby znacznie koszty handlowe firmy, a pozostawienie w Wolnym Mieście biura drukarni zmniejszyć miało na zewnątrz, w myśl projektu, znacznie przeniesienia przedsiębiorstwa na teren Polski. Projekt ten zresztą, popierany nawet w pewnym okresie przez Komisarza Generalnego, został wkrótce na skutek wysokich kosztów jego realizacji zarzucony.

Posunięciami mającymi na celu wprowadzenie maksymalnego obniżenia kosztów utrzymania drukarni były także redukcje pracowników oraz systematyczne zaniżanie ich pborów. Jeśli w 1930 r. personel drukarni składał się z 63 osób, to już w roku następnym liczba pracujących obniżyła się do 54, a w r. 1932 stan personelu drukarni wynosił 43 ludzi. W rozmowie z Komisarzem Generalnym, zalecającym dalsze zaostrożenie środków oszczędzania, dyrektor J. Kwiatkowski stwierdził, że sugerowane posunięcia uważa za bezskuteczne z punktu widzenia handlowego i niezdrowe ze względów społecznych.

Położenie drukarni pogarszał zaostrzający się spór pomiędzy władzami Wolnego Miasta a rządem polskim w sprawie utrzymywania na terenie Gdańska Dyrekcji Kolei Państwowych. Strona gdańska domagała się mianowicie utworzenia odrębnej od Polskiego Zarządu Kolejowego instytucji, która sprawowałaby administrację wyłącznie nad liniami kolejowymi znajdującymi się w granicach W.M. Gdańska. W tej sytuacji z inicjatywy MSZ, monitowanego bezustannie przez Komisarza Generalnego koniecznością jak najszybszego zadecydowania o losach drukarni, 28.II.1933 r. odbyła się konferencja z udziałem przedstawicieli Komitetu Ekonomicznego oraz delegata Ministerstwa Komunikacji, na której — licząc się z możliwością usunięcia z Gdańska Dyrekcji Kolejowej — ustalono plan sanacji przedsiębiorstwa. Zgodnie z tym planem Referat Gdański MSZ zwrócił się do Drukarni Państwowej z żądaniem wyznaczenia eksperta, który przeprowadziłby kontrolę całokształtu gospodarki Drukarni Gdańskiej. W oparciu o wyniki kontroli ekspert miał określić kwotowe minimum koniecznych rocznych zamówień państwowych dla drukarni oraz wysokość subwencji Skarbu Państwa na jej rzecz. Jednocześnie Referatowi Gdańskiemu MSZ zlecono zasięgnięcie informacji u wszystkich zainteresowanych ministerstw o cyfrowej wysokości możliwego ich udziału rocznego w zamówieniach dla drukarni. Ze względów taktycznych postanowiono jednak nie wspominać przy tym o wyższych, niż w kraju cenach Drukarni Gdańskiej.

Powołany na eksperta dyrektor Drukarni Państwowej w Poznaniu, A. Cejrowski, stwierdził obok pozytywnie ocenionego stanu technicznego, poważne niedociągnięcia w organizacji pracy administracji przedsiębiorstwa. Zlikwidowanie tych niedociągnięć, polegających zdaniem eksperta na nieodpowiedniej gospodarce finansowej, spowodowałyby znaczne obniżenie kosztów utrzymania drukarni. Po otrzymaniu sprawozdania A. Cejrowskiego, Zarząd Banku Związku Spółek Zarobkowych, w piśmie skierowanym do Komisarza Generalnego, widząc w osobie dyrektora drukarni J. Kwiatkowskiego głównego oponenta w sprawie dalszych redukcji personelu i plac, stwierdził, iż jedną z ważniejszych przyczyn wzrostu kosztów handlowych firmy stanowią jego pbori (1250 guld. mies.). Rzecz jasna ów zarzut miał dyskredytować J. Kwiatkowskiego w opinii K. Papée i zarazem zasugerować mu, iż jedną z podstawowych przeszkód na drodze do sanacji przedsiębiorstwa jest — zdaniem Zarządu Banku — osoba jego dyrektora. Tymczasem starania Referatu Gdańskiego MSZ, mające na celu zapewnienie drukarni dostatecznej ilości zamówień, dały tak nikłe rezultaty, że z chwilą przeniesienia Dyrekcji Kolei do Torunia (I.X.1933 r.) zdecydowano za pośrednictwem Komisarza Generalnego powiadomić Zarząd Banku, iż Rząd Rzeczypospolitej nie widzi możliwości zapewnienia drukarni zamówień koniecznych do jej utrzymania. Innymi słowy — było to wyrażenie zgody rządowych czynników polskich na likwidację przedsiębiorstwa. K. Papée, kierując się względami politycznymi i prestiżowymi, postanowił jednak wstrzymać się z powiadomieniem właścicieli o decyzji rządowej i zdecydował się na podjęcie jeszcze jednej próby zażegnania groźby zamknięcia drukarni przez zmniejszenie jej deficytowości drogą reorganizacji wewnętrznej. Przeprowadzona w tej sprawie rozmowa z J. Kwiatkowskim dała pewne rezultaty; dyrektor przychylił się do propozycji Komisarza Generalnego, aby obniżyć wydatki na opał, światło, gaz, telefony itd., a także sam wyraził zgodę na zmniejszenie swej pensji o 50%. Sprawę dalszej redukcji personelu (w tym czasie pracowało w drukarni już tylko 31 osób), przy której to decydować miał stopień uświadomienia narodowego pracownika, odłożono na czas późniejszy. Plany K. Papée i J. Kwiatkowskiego nie dały oczekiwanych wyników. Zarząd Banku biorąc pod uwagę fakt, że proponowane oszczędności zaledwie o 1/4 obniżyłyby deficyt zakładu, postanowił przeprowadzić

„wewnętrzną likwidację” drukarni, przez co rozumiano usunięcie dotychczasowego jej dyrektora J. Kwiatkowskiego, stojącego — jak uważano — na przeszkodzie wszelkim dalszym posunięciom reorganizacyjnym.

Niebawem przedstawiciele banku zwrócili się do Komisarza Generalnego z prośbą o wyjaśnienie „czy czynnikom rządowym szczególnie zależy na zatrzymaniu p. Kwiatkowskiego w charakterze kierownika drukarni, na co K. Papée odpowiedział, że „o ile sam p. Kwiatkowski niewątpliwie zasługuje na poparcie, to jednak interes utrzymania polskiej drukarni w Gdańsku uważać należy w każdym razie za pierwszorzędny i decydujący.

Wymijająca odpowiedź Komisarza Generalnego udzielona J. Kwiatkowskiemu, że w korespondencji z Zarządem Banku nie ma najmniejszej wzmianki o planach „wewnętrznej likwidacji” drukarni, była zgodna z prawdą, przemilczała jednakże fakt, iż komisarz po bezpośredniej rozmowie z właścicielami firmy już od dawna zorientowany był, na czym polegać ma owa „wewnętrzna likwidacja”. Wobec stanowiska, jakie zajął komisarz w powyższej sprawie, bank dłużej się nie wahając, zerwał umowę z J. Kwiatkowskim.

Nowym dyrektorem Drukarni Gdańskiej mianowany został dyrektor oddziału gdańskiego Banku Związku Spółek Zarobkowych, J. Radke. Informując MSZ o motywach zerwania umowy z dotychczasowym dyrektorem drukarni, K. Papée pisał: *...powodem zwolnienia p. Kwiatkowskiego... była chęć utrzymania warsztatu drukarskiego w ruchu, a nie jego likwidacja, która na razie przestała być aktualna.*

Nowy dyrektor pełniący swą funkcję honorowo, z miejsca przystąpił do „reorganizacji” zakładu. Zaczął ją od redukcji personelu, nie kierując się bynajmniej przy tym, jak mówiło wcześniej polecenie Komisarza Generalnego, *względami uświadomienia narodowego.* I tak w pierwszej kolejności zwolnieni zostali: W. Grimsmann, zasłużony działacz gdańskich organizacji polonijnych oraz ich aktywni członkowie: L. Jabłoński, bracia Cywińscy, J. Kłosowski i in. Polityka personalna dyrektora wzbudziła oburzenie pozostałych polskich pracowników drukarni. Załoga podejrzewała J. Radkego o świadome, antypolskie nastawienie i celowe zwalnianie z pracy zasłużonych w polskiej drukarni.

W grudniu 1933 r. z inicjatywy pracowników Drukarni Gdańskiej R. Szefflera i F. Belinga, przy Polskim Zrzeszeniu Pracy w Gdańsku utworzona została samodzielna Sekcja Drukarzy i Pokrewnych Zawodów. Skupiała ona wszystkich Polaków zatrudnionych w miejscowych drukarniach polskich⁴). Jednym z motywów zorganizowania sekcji była — obok konieczności przeciwstawienia się antypolskiej działalności „Arbeitsfrontu”, założonego przez hitlerowskie władze Wolnego Miasta po zlikwidowaniu przez nie związkowych organizacji robotniczych — potrzeba zapobieżenia dalszym, krzywdzącym pracowników Drukarni Gdańskiej, zarządzeniom jej właścicieli.

Przewodniczącym nowo zorganizowanej Sekcji PZP wybrany został R. Szeffler. Sekcja natychmiast wystąpiła w obronie zwolnionych kolegów, domagając się od kierownictwa Drukarni Gdańskiej ponownego przyjęcia ich do pracy. Odpowiedzią J. Radkego na żądanie sekcji były następne zwolnienia. M.in. wypowiedzenie otrzymał R. Szeffler, który „naraził” się dyrektorowi jako inicjator wszelkich akcji podejmowanych przez sekcję przeciw jego decyzjom. Tym razem energiczny protest Sekcji Drukarzy PZP, poparty przez liczne gdańskie organizacje polonijne, spowodował cofnięcie redukcji pracowników drukarni. Zanim jednak doszło do tego, większość zwolnionych znalazła pracę w innych zakładach i instytucjach, a część w poszukiwaniu pracy opuściła nawet terytorium Wolnego Miasta. Posunięcia J. Radkego, w oparciu o nadsyłane przezeń sprawozdania, zupełnie inaczej niż personel drukarni oceniał Komisarz Generalny. Nowy kierownik drukarni speł-

niający swe funkcje honorowo — donosił K. Papée w piśmie do MSZ — oddał się pracy reorganizacyjnej z zapałem, umiając w krótkim czasie przeprowadzić wiele oszczędności, które J. Kwiatkowski określał jako niemożliwe. Jakim sposobem „wygospodarowano” owe oszczędności, wyjaśniono powyżej.

Pomimo sukcesów, jakimi niewątpliwie było wywalczone przez Sekcję Drukarzy PZP o unieważnienie wymówni oraz spowodowanie zwolnień zatrudnionych w Drukarni Gdańskiej Niemców wrogo nastawionych do Polaków, a mianowicie kierownika technicznego przedsiębiorstwa i przewodniczącego Rady Zakładowej, niezadowolone z prowadzonej przez dyrektora Radkego gospodarki zakładem utrzymywało się wśród załogi nadal. Odzwierciedlenie tych krytycznych nastrojów znalazło wyraz w wystosowanym do władz polskich w październiku 1935 r. *Memoriale polskich pracowników graficznych w Gdańsku*, w którym ostrej krytyce poddano m.in. działalność J. Radkego jako dyrektora Drukarni Gdańskiej. Jedyne możliwości naprawienia zaistniałej sytuacji widzieli autorzy *Memoriału* w założeniu (w formie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością) nowych polskich zakładów graficznych w Gdańsku. Wyposażenie przedsiębiorstwa w myśl tego projektu miało być zakupione za pożyczkę uzyskaną przez założycieli spółki od rządu Rzeczypospolitej. Pod *Memoriałem* złożyli podpisy członkowie Sekcji Drukarzy PZP: R. Szeffler, P. Grzegorzewski, B. Cywiński, A. Cywiński i F. Bellings⁴⁾. Projekt drukarni z racji wysokich kosztów jego realizacji uznano w Komisariacie Generalnym za niemożliwy do zrealizowania. Sam *Memoriał* potraktowano jednak jako dokument ukazujący nastroje panujące w środowisku drukarzy polskich, zatrudnionych w Drukarni Gdańskiej.

Także ze strony właścicieli i Komisariatu Generalnego podjęto w tym czasie nowe starania zapewnienia przedsiębiorstwu stałej pracy i tym samym chociaż częściowo, uniezależnienia egzystencji firmy od nieregularnych zamówień i subwencji państwowych. M. in. sugerowano konieczność wydawania w Wolnym Mieście tygodnika drukowanego w języku niemieckim o profilu zlikwidowanej w 1931 r. „Baltische Presse”. Wystąpiło także z propozycją drukowania w Gdańsku redagowanego tu działu „Gazety Gdańskiej” pt. „Wolne Miasto”. Zamiary te, podobnie zresztą jak i wszystkie poprzednie, z braku dostatecznej ilości potrzebnych na inwestycje funduszy pozostały jedynie w sferze projektów. Na pogarszający się z roku na rok stan przedsiębiorstwa, a tym samym na położenie zatrudnionych w nim ludzi, wpłynęło także zaostrenie antypolskiej atmosfery w Wolnym Mieście, ...przejawiającej się w prześladowaniu polskiego elementu gospodarczego, dyskryminacji rzemiosła, bojkocie handlowym, szykanach w sprawach zatrudnienia ludności polskiej oraz nasilającej się akcji napaści i prowokacji wobec ludności polskiej⁵⁾.

W tej sytuacji nowy Komisarz Generalny Rzeczypospolitej w Wolnym Mieście, M. Chodacki, mając na uwadze los drukarzy polskich w Gdańsku, w październiku 1938 r. rozesał okólnik, w którym powodowany ciężkim położeniem drukarzy ...skazanych na długotrwałe bezrobocie... zalecał, by przy rozdawaniu zleceń na wykonanie druków uwzględniano przede wszystkim miejscowe drukarnie.

Była to bodajże ostatnia próba przed tragicznym wrześniem 1939 r., zmobilizowania polskich instytucji i urzędów do podejmowania ofert polskich drukarni z terenu Wolnego Miasta.

Masowe aresztowania Polaków, jakich dokonywali w Gdańsku hitlerowcy pierwszego dnia wojny, objęły także pracowników Drukarni Gdańskiej. Wkrótce większość z nich przewieziono do obozu koncentracyjnego w Stutthofie. Pozostałych zesłano na przymusowe roboty w głąb Rzeszy. Nie powrócili już z obozowych drutów zamordowani przez hitlerowców byli drukarze, a zarazem aktywni działacze polonijni: zastępcy

dyrektora Drukarni Gdańskiej H. Wieczorkiewicz, red. W. Grimsmann, K. Belling, B. Garnecki, P. Jakubowski, J. Jankiewicz, W. Jaroń, J. Kłosowski, Z. Krasiński, W. Krüger, M. Mielcarek, H. Wieczorkowski. W 1941 r. zmarł w Łodzi prześladowany przez okupantów za swą patriotyczną działalność były dyrektor drukarni J. Kwiatkowski. Ci nieliczni, którzy przeżyli kaźń hitlerowskich obozów zagłady i więzień, podjęli swą pracę już w wolnym, polskim Gdańsku. ■

⁴⁾ Artykuł opracowany został w oparciu o materiały znajdujące się w WAP Gd. sygn. I 259/209, 638, 796; I 260/1173, IV 2/426; Bibl. Gd. PAN; Książnicy Miejskiej w Toruniu oraz napisane i przechowywane przez p. R. Szefflera Wspomnienia polskich drukarzy gdańszczan z czasów międzywojennych.

⁵⁾ Ukazało się jedynie 13 nrów „Gazety i Dziennika Gdańskiego”, drukowanych w nowo powstałej Drukarni Zjednoczonego Wydawnictwa (dawn. Drukarnia Tow. Wyd. Pomorskiego w Gdańsku) przy Brotbänkengasse 14 (ul. Chlebnicka). Od

nr 14 z 18. I. 1922 r., po wykupieniu akcji pisma przez Tow. Wyd. Pomorskie z Bydgoszczy, zmieniono tytuł pisma na „Gazeta Gdańska”.

⁶⁾ Zakłady Graficzne „Drukarnia Gdańska” — T. A. obejmowały następujące działy: drukarnie, stereotypie, introligatornie i oprawę obrazów.

⁷⁾ Po zamknięciu w 1925 r. drukarni Tow. Wyd. Pomorskiego w Gdańsku (26. XI. 1926 r. w drodze przymusowego przetargu rozprzedano wyposażenie zakładu drukarskiego TWP), na terenie Wolnego Miasta znajdowały się dwa polskie przedsiębiorstwa drukarskie, które przetrwały do 1939 r. tj. Drukarnia Gdańska i drukarnia Józefa a nast. Stanisława Czyżewskich, mieszcząca się przy Ankerschmiedegasse 6 (ul. Kotwiczników).

⁸⁾ W marcu 1938 r. A. Cywiński zabiegał u władz gdańskich o uzyskanie zezwolenia na wykupienie zakładu drukarskiego przy Poggenpuhl 79 (ul. Zabi Kruk). Mimo poparcia Komisarza Generalnego, władze gdańskie nie wyraziły zgody na przeprowadzenie transakcji, motywując swą decyzję tendencyjnym stwierdzeniem, iż procentowo liczba gdańszczan Polaków, przypadająca na ilość znajdujących się w Wolnym Mieście polskich drukarni, jest znacznie wyższa niż liczba gdańskich Niemców, przypadająca na gdańskie drukarnie niemieckie.

⁹⁾ Z. Ciesielski, Teatr polski w W.M. Gdańsku, Gdańsk 1969, s. 28.

Franciszek Mamuszka

Polonia sopocka 1918—1939

Motto:

(...) żeśmy tu w Gdańsku żołnierzami, obywatelami być powinni, bo to pole walki ustawicznej o duszę polską, język polski, szkołę polską — o polską rację stanu (...)

Z referatu pt. „Wychowanie obywatelskie w świetlicy”, wygłoszonego 6 X 1934 r. przez Michała Urbanka na zebraniu kierowników świetlic polskich z terenu W.M. Gdańska).

Około 25 procent ludności zamieszkującej Sopot⁶⁾ w ostatnich kilkunastu latach przed I wojną światową stanowili Kaszubi, zasiedzeni od wielu pokoleń, jak np. rody Abrahamów, Czajków, Kurowskich, Kreftów, Poznańskich czy Karpińskich, albo przybyli ostatnio z bliższych i dalszych okolic Ziemi Kaszubskiej, jak znany bojownik o polskość Pomorza Antoni Abraham, lub Józef Uller (obydwaj pochodzący z okolicy Pucka). Prócz rodzin kaszubskich w skład sopockiej społeczności polskiej wchodził także przybysz z dalej położonych obszarów Pomorza, z Wielkopolski i Kujaw.

Stosunki między ludnością rodzimą a napływową układały się na ogół harmonijnie; w procesie integracji wymienionych grup nie mała pomocą były władze pruskie i dzia-

łacz „Ostmarkenvereinu” z ich zapędami germanizacyjnymi i nienawiścią do wszystkiego, co polskie. Trwający na przełomie XIX i XX w. ucisk pruski, odbieranie ludności prawa do posługiwania się językiem polskim, budziło dążność przesładowanych do konsolidacji sił w skuteczniejszym przeciwstawianiu się wrogowi.

W atmosferze gwałtu i przemocy podjął w 1905 r. swoją działalność na terenie Sopotu Alfons Chmielewski, wspomagany gorliwie przez wielu miejscowych patriotów. Dorobkiem ich było założenie w latach 1905—1914 licznych towarzystw polskich, pracujących z zapałem i niewiarygodnym poświęceniem na polu budzenia świadomości narodowej i upowszechniania oświaty i kultury wśród zapomnianej prawie przez społeczeństwo polskie ludności rodzimej regionu nadmorskiego.

Jako szczególnie ważne wydarzenie zasługuje na osobną wzmiankę pojawienie się w 1912 r. w Sopocie dr. Aleksandra Majkowskiego, który otwarciem w dniu 1.VII.1913 r. Muzeum Kaszubsko-Pomorskiego oraz czytelnicy naukowej, zaczął rozwijać skrzydła do szerokiej działalności społecznej.

To, że dorobek ówczesnych społeczników i budzicieli poczucia narodowego wśród germanizowanej od czasu rozbiorów ludności miejscowej był bardzo poważny, świadczyły najlepiej lamenty szowinistycznej prasy niemieckiej o postępującej polonizacji Sopotu oraz snucie przez nią czarnych i jakże trafnych horoskopów na przyszłość. Niemców niepokoiło wykupywanie przez Polaków posesji sopockich, otwieranie sklepów, pensjonatów i zakładów rzemieślniczych, a także podejmowanie praktyki przez polskich lekarzy. Ta strona polskiej ekspansji na Wybrzeżu wiazała się niewątpliwie z poczynaniami wymienionych działaczy, a zwłaszcza Chmielewskiego, stawiającego sobie m. in. zadanie ekonomicznego podźwignięcia polskiego społeczeństwa, żyjącego pod zaborem pruskim. Odpowiedzią ze strony Niemców było założenie w 1914 r. w Sopocie placówki „Deutsches Volksbank”, organizowanie zebrań hakaty dla omawiania „niebezpieczeństwa polskiego” i podjęcie przez „Ostmark”



DAWNY HOTEL „VICTORIA”, OD 1928 R. DOM POLSKI GMINY POLSKIEJ. ROZEBRANY W MAJU 1971 R. FOT. F. MAMUSZKA

— organ hakatystów — gwałtownej kampanii propagandowej, wzywającej Niemców do osiedlania się w Sopocie.

Działalność polskich towarzystw zdeorganizowana została w początkowym okresie I wojny światowej, w wyniku narastającego wówczas terroru w stosunku do ludności polskiej, a także w związku z powołaniem do służby wojskowej wielu działaczy, m. in. dr. A. Majkowskiego. Ale już w 1916 r. na terenie Sopotu zaczęło się ujawniać życie polskie, zaznaczające się przede wszystkim w akcji niesienia pomocy rodakom dotkniętym zniszczeniami wojennymi w Królestwie Polskim. Organizowano na ten cel zbiórki pieniężne i imprezy dochodowe. Już wtedy, wobec coraz trudniejszej sytuacji militarnej Niemiec, zaczęła rodzić się nadzieja odzyskania wolności.

Rok 1918, klęska państw centralnych na wszystkich frontach i runięcie w gruzy cesarstwa, a wreszcie wybuch w Niemczech Rewolucji Listopadowej, poderwało Polonię sopocką do restytuowania zamarych podczas lat wojny stowarzyszeń. Jako pierwsze zaktywizowało się w początkach marca 1919 r. Towarzystwo Ludowe, którego prezesurę objął niejaki Gronczewski, ale faktycznymi kierownikami byli: dr Władysław Ulatowski i b. redaktor lesznieńskiego pisma „Kraj”, Stanisław Kuhnert. Nadto do pierwszego zarządu weszli: Ignacy Litwin, Laube, Polmański, Broszkowski, Cymanowa i Gdaniec. Na zebranie organizacyjne stawili się około 150 osób. Interesująco przedstawiała się problematyka, jaką zajęło się to pierwsze gremium towarzystwa; dyskutowano m. in. o potrzebie przywrócenia godności mowie kaszubskiej, wydrwiwanej przez Niemców i używanej wstydliwie w wystąpieniach publicznych. W kolejnym punkcie zebrania opracowany został program obchodu stuletniej rocznicy śmierci Jana Kilińskiego, który postanowiono urządzić w dniu 16 marca.

W połowie maja 1919 r. Towarzystwo Polek podjęło działalność obchodem 11-letniej rocznicy swojego powstania (1908). Na czele towarzystwa stanęła Halina Tomaszewska, w następnych latach kierowały tą pożyteczną organizacją — Walentyna Kurpisz-Rothowa, Julia Zakrzewska i Zofia Bresińska. Towarzystwo Polek było przez wiele lat jedną z najżywoźniejszych organizacji polskich w Sopocie. Urządzało przedstawienia, rozwijało akcję odczytów, przygotowywało imprezy, obchody narodowe, kursy gospodarcze, a także wycieczki na teren Polski. Jedną z tych wycieczek, do Warszawy, zorganizowaną w czerwcu 1921 r. z udziałem 28 Kaszubek, opisuje w ciepłych słowach czasopismo „Świat”, podkreślając ogromne zasługi (i zamieszczając fotografię) prezesa H. Tomaszewskiej. Zaznaczyć warto, że przybyli w 1913 r. z Poznania do Sopotu Halina i Stanisław Tomaszewscy nie tylko brali żywy udział w pracach polskich towarzystw, ale — podobnie jak Chmielewski — udzielali im schronienia w swoim pensjonacie „Halina” przy obecnej ul. Powstańców Warszawy 73.

Od 17.VI.1919 r. działała na terenie Sopotu komórka Rady Ludowej. Głównym celem tej organizacji było uzyskanie niepodległości i przyłączenie Pomorza do powstającego państwa polskiego. Na czele sopockiej filii Rady Ludowej stanął początkowo dr A. Majkowski (?) z zespołem takich ludzi, jak S. Tomaszewski, dr K. Węclewski i ks. Droszyński. Brak zgody wśród członków organizacji, czy też jakieś zakulisowe intrygi, doprowadziły do secesji i wyboru nowego zarządu. Energiczne potępienie rozłamu przez stary zarząd, ogłoszone w „Dzienniku Gdańskim”, nie dało jednak — zdaje się — pozytywnego wyniku, gdyż niedługo po tym rozbiegu występuje jako prezes S. Kuhnert.

Już w pierwszych miesiącach 1919 r. rozwinięta działalność zapoczątkowaną przed wojną sopocka filia Zjednoczenia Zawodowego Polskiego — organizacji robotniczej, reprezentującej ideologię solidaryzmu społecznego i stawiającej sobie za cel zorganizowanie wszystkich robotników na zasadach chrześcijańskich i narodowych. Czołowym działaczem ZZP był przez wiele lat Józef

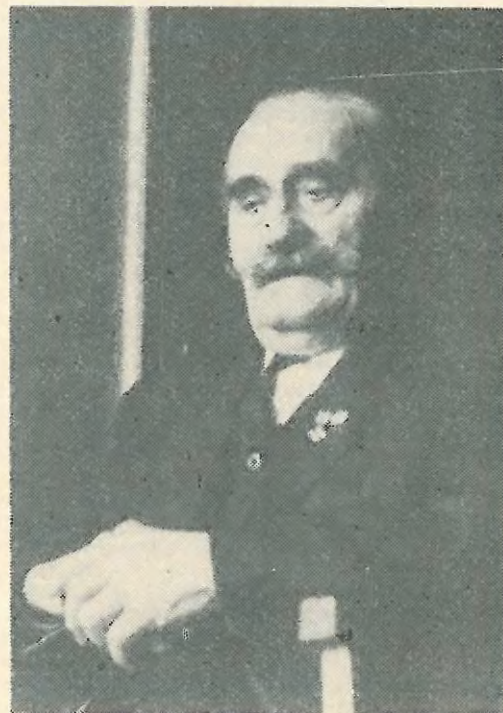
Uller, robotnik a później listonosz w Sopocie. Zjednoczenie zajmowało się m. in. upowszechnianiem kultury, a zorganizowany przy nim amatorski zespół teatralny, już w sierpniu 1919 r. wystawił w sali imprezowej hotelu „Victoria” obrazek sceniczny z tańcami pt. „Surdut i siermiega”. W tejże sali odbyło się 18.IX.1919 r. zebranie organizacyjne Towarzystwa Śpiewu „Lutnia”, wznowiającego działalność zapoczątkowaną w 1908 r. Na prezesa powołano miejscowego działacza Piotra Bresińskiego, a dyrygenturę powierzono Kazimierzowi Purwinowi. W tym czasie rozpoczęły współpracę z „Lutnią” rodziny Litwinów, Piochów, Żywickich, Ullerów i in., pozostając wiernymi jej członkami aż do 1939 r. Dziesiątki osób starszych i młodzieży zgłosiło się do reaktywowanego w 1919 r. Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, niezwykle popularnego wówczas na całym Pomorzu.

Ujawniło się również zainteresowanie polskiego społeczeństwa Sopotu sprawami morza, czego wyrazem było powstanie oddziału Ligi Żeglugi Polskiej, kierowanego w początkach przez dr. Kazimierza Węclewskiego i Władysława Matuszewskiego. W 1919 r. zapoczątkowana została działalność polityczna utworzonej 1 lipca, z inicjatywy S. Kuhnerta, filii Narodowego Stronnictwa Robotników — czołowej wówczas na Pomorzu Gdańskim organizacji robotniczej. Na czele stronnictwa stanęli: Juliusz Zamkowski, Ignacy Litwin, Jan Bianga, Józef Elwardt, Józef Uller i inni. Prócz tego ugrupowania powstała w Sopocie organizacja polityczna pn. Koło Demokratyczne w Sopocie, nie przejawiająca jednak większej żywotności, nawet w początkowym okresie istnienia.

Organizacje i stowarzyszenia polskie postawiły sobie podstawowe zadanie: przygotowanie społeczeństwa do wyborów, mających wyłonić radnych miasta Sopotu i posłów do Zgromadzenia Konstytucyjnego przyszłego Wolnego Miasta Gdańska. Żywa akcja propagandowa, prowadzona na niezliczonych zebraniach i innymi formami agitacji, przyniosła liście polskiej na terenie Sopotu 20 procent głosów i 1 mandat poselski, który powierzono Stanisławowi Kuhnertowi. W Radzie Miejskiej zasiadli trzej Polacy: W. Ulatowski, S. Kuhnert i L. Schulz, ostatni zastąpiony niebawem przez J. Zamkowskiego. Odnosić warto śmiało w ówczesnych warunkach i mające charakter demonstracji politycznej wystąpienie polskiej grupy radnych na posiedzeniu Rady Miejskiej w dniu 13.II.1920 r. Złożyli oni wtedy oświadczenie, iż Polacy sopocy zwrócili się do pełnomocnika głównych mocarstw i administratora przyszłego W.M. Gdańska, Reginalda Towera (który w tym dniu objął władzę), z postulatem przyłączenia Sopotu do Polski. Odważna postawa radnych Polaków już wcześniej zwróciła uwagę polskiego społeczeństwa w kraju i zyskała jego uznanie. Prezydium Miejskiej Rady w Warszawie uhonorowało ich specjalnym pismem, w którym m. in. znalazło się sformułowanie, iż Rada (...) *podzielając uczucia wytrwałych obrońców Polskości Pomorza, wyraża podziw dla dotychczasowej ich siły odpornej, wiarę w niezlomność uczuć i zwycięski wynik walki z bezwzględnym wrogiem.*

Poczucie narodowe polskich mieszkańców Sopotu wyraziło się również w zabiegach o utworzenie polskiej szkoły. Sopocka Rada Ludowa już w początkach 1920 r. rozpoczęła starania o jej utworzenie. Złożone 26 marca tego roku przez radnych Polaków żądanie otwarcia polskiej placówki szkolnej zostało przez większość niemiecką odrzucone. Wobec nacisku i nieustępliwości społeczeństwa doszło jednak do podjęcia 23.IV.1920 r. uchwały o utworzeniu polskiej szkoły. Pierwotnie jednak była to jedynie klasa przy szkole niemieckiej, mieszczącej się w gmachu obecnej Szkoły Podstawowej nr 4 przy ul. 20 Października. Pierwszym nauczycielem w tej klasie był Alojzy Żelazny, zgermanizowany Polak, powinowaty polakożerczej rodziny Splettów, z której pochodził później biskup diecezji gdańskiej, osadzony na tym stanowisku przez hitlerowców. Wobec dużego napływu dzieci polskich do tej klasy,

władze Sopotu musiały otworzyć polską szkołę o dwu, a później o czterech klasach. Przydzielono jej złośliwie prymitywny budynek gospodarczy dawnego folwarku na przedmieściu Karlikowo. Otwarcie uczelni zostało poprzedzone dramatyczną walką działaczy polskich z władzami niemieckimi o dzieci. Wobec masowych zgłoszeń uczniów do polskiej



JÓZEF ULLER, UR. 19. 9. 1889 W MRZEZINIE K. PUCCA, PREZES KILKU TOWARZYSTW POLSKICH FOT. F. MAMUSZKA

szkoły, Niemcy — głównie nauczyciele — podjęli gorączkową agitację wśród miejscowej ludności kaszubskiej, usiłując intrygami, kuszącymi obietnicami, a także groźbami nakłonić rodziców do pozostawienia dzieci w dotychczasowych szkołach.

Przeciwstawiając się wrogiej akcji Rada Ludowa, Towarzystwo Ludowe i Towarzystwo Polek zwołały 7.VII.1920 r. wielki wiec, poświęcony głównie tej sprawie. Mimo usilnych zabiegów działaczy polskich, udało się Niemcom zatrzymać dużą liczbę dzieci w swoich szkołach. Nauczycielami w polskiej szkole senackiej byli przeważnie zgermanizowani Polacy, jak Bolesław v. Czapiewski, Wiktor Kantowski czy zdecydowany wróg Polaków, hitlerowiec Blaszkowski. Dobrym Polakiem natomiast był niewątpliwie nauczyciel Drażkowski, z sympatią wspominany dziś przez dawnych uczniów.

W 1920 r. uczyniony został następny wysiłek organizacyjny i zapewne finansowy Polonii sopockiej dla uzyskania jeszcze jednej placówki wychowawczej. Stała się nią polska ochronka, której otwarcie w tzw. hotelu „Polonia” przy dzisiejszej ul. Sobieskiego 35 nastąpiło 16.VIII.1920 r. Kierownictwo ochronki powierzono nie znanej z imienia Byczkowskiej, a w skład „Kuratorium” weszli: Władysław Matuszewski oraz działaczki — Kuhnertowa i Starostowa. Następny krok uczyniono 10 lat później. W dniu 3.XII.1930 r., w wynajętym budynku przy obecnej ul. 22 Lipca 18 otwarto polską szkołę Macierzy Szkolnej. Organizacją zajęli się jej pierwszy kierownik, Roman Truszczyński, którego w 1934 r. zastąpił Paweł Damrath. Uczyły w niej nadto — Ludwika Truszczyńska i Helena Kledzikówna. W tym samym budynku mieściła się przez kilka lat polska ochronka, prowadzona przez siostry dominikanki. Czynna też była świetlica Towarzystwa Polek.

Wśród nowych, zaraz po I wojnie światowej osiedlonych w Sopocie Polaków, zasługuje na wymienienie dr praw Władysław Smoleń. W jego mieszkaniu przy dzisiejszej ul. Książąt Pomorskich 19 gromadziła się przez pewien czas, na regularnie powtarzających się spotkaniach, inteligencja polska.

Możliwe, że brał w nich udział Antoni Chołojewski, głośny wówczas publicysta, znanawidzony przez Niemców szermierz w walce o polskie prawa nad Bałtykiem. Zamieszkał on w Sopocie w 1919 r., a następnie zjawił się tutaj w marcu 1921 r., mając zamiar objąć redakcję bezpartyjnego pisma codziennego, które miało wychodzić w Gdańsku. W sierpniu tego roku otrzymał jednak od Senatu W.M. Gdańska pismo z brutalnym zawiadomieniem, iż obecność jego nie będzie tolerowana dłużej, jak do końca miesiąca. Była to perfidna zemsta za drukowane od 1909 r. w warszawskiej prasie artykuły o polskości Pomorza i Gdańska, wydane następnie w 1912 r. w książce pt. „Nad polskim morzem”.

Drugą osobistością, która pojawiła się w 1920 r. na gruncie sopockim był Stanisław Przybyszewski — znany literat okresu Młodej Polski, pracujący w pierwszych latach powojennych jako tłumacz w Dyrekcji Kolei w Gdańsku. Początkowo mieszkał przy ul. Podjazd 1, a od 1921 do 1924 r. przy obecnej ul. Pstrowskiego 14. Podczas swojego pobytu na Wybrzeżu zasłużył się żarliwym propagowaniem wśród polskiego społeczeństwa w kraju potrzeby otwarcia Gimnazjum Polskiego w Gdańsku. Drugą jego pasją stało się morze. W liście do żony pisał:

Całkiem mnie morze opętało, ale też jest prawdziwie boskie teraz podczas wicherów (...) Tak się zahartowałem, że dziś już blisko godzinę upijałem się tym niestychającym cudem (...)

W kilka lat po wojnie umieszczona została w Sopocie siedziba Redakcji Centralnej i Sekretariatu Biura Politycznego Komunistycznej Partii Polski. Mieściła się ona w latach 1926—1929 w domu nr 23 przy dzisiejszej ul. Jana Winieckiego, o czym informuje umieszczona tam po wojnie tablica pamiątkowa. Wcześniej, bo w 1922 r., odbyła się w Sopocie III Konferencja KPP. Warto przypomnieć, że w 1920 r. istniała w Sopocie komórka Komunistycznej Partii — grupa spartakusowców. Kierował nią miejscowy działacz, R. Neckowski.

Wśród Polaków sopockich zrodziło się uczucie pewności i bezpieczeństwa. Dał temu wyraz A. Chołojewski, pisząc w jednym ze swoich artykułów drukowanych w 1921 r.:

(...) dziś doświadcza się radosnego uczucia, odczuwając dokota siebie na każdym kroku istnienie jakby nieprzebranej jakiejś siły i państwowości polskiej, o między stąd rozpościerającej sferę swojej władzy (...)

Ludność polska Sopotu, której według niemieckiego, niewątpliwie sfalszowanego spisu z r. 1929, było w granicach miasta 21,1 procenta, domagała się pełnej swobody i należnych jej uprawnień oraz afirmacji jej ideałów narodowych, a także wolności w korzystaniu z dorobku polskiej kultury oraz krzewienia jej na sopockim gruncie. Rozwijano różnorodne formy pracy kulturalno-oświatowej, grupowano coraz większe zespoły ludzi w licznych, wymienionych wyżej organizacjach. Do ciekawszego osiągnięcia należało wydawanie w Sopocie w latach 1925—1927, w domu przy obecnej ul. Kasprzowicza 8, pisma literackiego „Fale”. Wydawcą był znany, do dziś mieszkający pod wymienionym adresem malarz Marian Mokwa, a współpracowali z nim Radosław Krajewski i poeta ludowy Franciszek Sędzicki.

Ważną rolę w krzewieniu kultury polskiej odgrywały przedstawienia miejscowych zespołów teatralnych, organizowane przez Towarzystwo Ludowe, „Sokół”, „Lutnię”, Towarzystwo Polek, Towarzystwo b. Wojaków i Powstańców i czynne w latach trzydziestych Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, a także przez sopockie świetlice. Wielkim świętem stawały się występy zespołów teatralnych, operowych i estradowych z Warszawy, Poznania czy Torunia. W 1934 r. np. na deskach sopockiej sceny wystąpił w „Panu Jowialskim” sam Ludwik Solski. Artysta interesował się działalnością Polonii sopockiej i odwiedził Świetlicę Polską Związku Polaków przy dzisiejszej ul. Bieruta 52, oprowadzany po niej przez wybitnego działacza polonijnego, Bronisława Gawia. Do księgi

pamiątkowej świetlicy wpisał wielki aktor następujące słowa:

Niech mi wolno będzie i mnie wpisać się w tę księgę między imionami tych zacnych Polaków, którzy trzymają straż nad brzegami bursztynowego Bałtyku. Sopoty, 29 września 1934.

Największą przeszkodą w rozwijaniu działalności polskich towarzystw był brak własnej siedziby, w której mogłyby swobodnie organizować zebrania, imprezy, odczyty, przedstawienia itp. Gromadzono się w domach prywatnych, wynajmowano sale w hotelach, najczęściej w hotelu „Victoria” przy dzisiejszej ul. Chopina. Obiekt ten wykupiła ku radości Polonii sopockiej w jesieni 1928 r. Gmina Polska w Gdańsku dla swojego oddziału w Sopocie. Był to dwukondygnacyjny budynek o konstrukcji ryglowej, z wielką salą widowiskową na 600 miejsc, położoną od strony ul. Chopina. Obiekt ten, uroczystie otwarty i nazwany oficjalnie Domem Pałskim, był od tej pory aż do wybuchu wojny w 1939 r. ośrodkiem bujnego życia miejscowej Polonii. Z ciekawszych imprez, jakie tu się odbyły, przypomnieć warto koncert, zorganizowany 1.IX.1935 r. z okazji 25-lecia sopockiej „Lutni”. Odbył się wówczas m. in. występ 300-osobowego zespołu połączonych chórów gdańskich pod dyktando Kazimierza Wiłkomirskiego. Pamiętając jakże wiele podniosłych i wzruszających chwil sala imprezowa Domu Polskiego służyła jeszcze wiele lat po ostatniej wojnie, jako miejsce koncertów Filharmonii Bałtyckiej, a także zebrań, burzliwych wieców politycznych, odczytów itp. Rozebrano ją w 1963 r., a główny gmach zburzony został w maju ubiegłego roku. Dość trudno pogodzić się z faktem, że miejsce, które ponad pół wieku było placem boju o polskość Sopotu, terenem najbardziej nieraz wzniosłych porywów i wzruszeń patriotycznych, zamieniliśmy bezceremonialnie na parking samochodowy!

W 1926 r. doszło do powstania Związku Towarzystw Polskich w W.M. Gdańsku, po-

Polaków i zapowiadać odebranie Polsce Pomorza. Na terenie Gdańska powstała tzw. „Postkompagnie”, której członkowie wystąpili na zebraniu z pogrózkami: *Wir werden den Polen schon denn Korridor wegnehmen* (Już my ten Korytarz Polakom odbierzemy). W Sopocie Rada Miejska powołała oddział o nazwie „Einwohnerwehr” pod dowództwem mjr. Grübera, podporządkowany miejscowej policji. Zrozumiałe, że te formacje pomyślane zostały z myślą o ewentualnym rozprawieniu się z Polakami. W Sejmie gdańskim doszło nawet w związku z tym do interpelacji posłów polskich.

Spółeczeństwo polskie w Gdańsku i Sopocie nie przejmowało się jednak niemieckimi pogrózkami, zajmując ciągle pozycję raczej atakującą wroga i demaskującą bezprawie, czy niewypełnianie postanowień zawartych umów. W 1922 r. wystąpił Sopot, za pośrednictwem „Gazety Gdańskiej”, przeciw biskupowi chełmińskiemu Rosentreterowi, który na pismo Rady Ludowej i pięciu polskich towarzystw w sprawie równouprawnienia polskiej ludności Sopotu z niemiecką w dziedzinie stosowania języka podczas nabożeństw, wysłane 24.IX.1919 r., nie raczył w ciągu dwóch lat udzielić odpowiedzi. W *Sopocie jest jak było* — kończy swój artykuł anonimowy autor, zapewne Stanisław Kuhnert.

W 1922 r. towarzystwa polskie podjęły walkę z kasynem gry, potępiając ostro na zebraniach „szulernię”, „jaskinię gry”, gromadzącą w swych salonach również licznych Polaków. Charakterystyczne jest, że w Sopocie atak ten wyszedł od organizacji kobiecej, Towarzystwa Polek, co musiało mieć niewątpliwie realne przyczyny.

Ożywienie życia polskiego w Sopocie wzmożło się w okresie wyborów do Sejmu gdańskiego, czy do Rady Miejskiej. Szczególnie ostra walka wyborcza stoczona została w wyborach do Volkstagu w 1933 r. Była to niestety również walka Polaków z Polakami, gdyż ku uciesze strony niemieckiej wy-

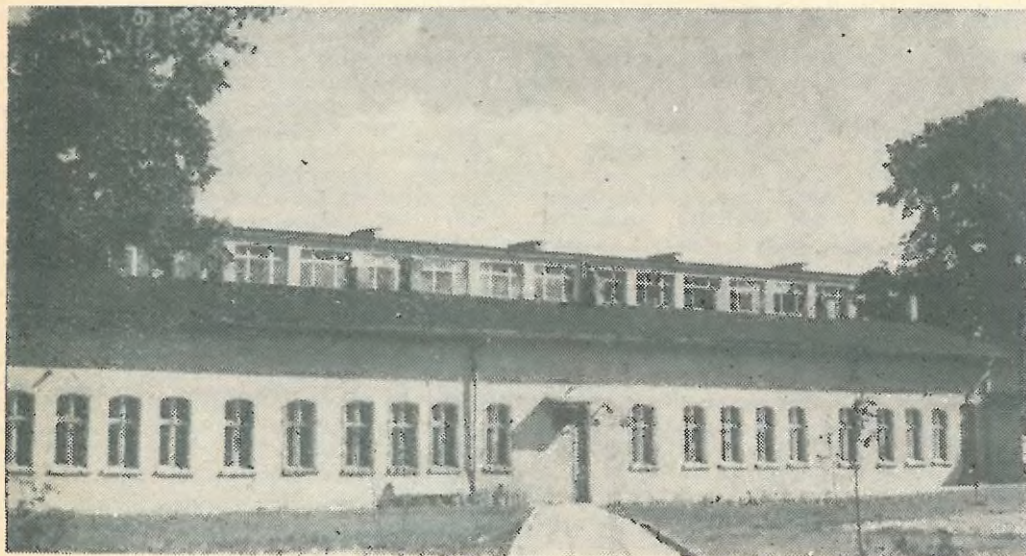


ZESPÓŁ TANECZNY STOWARZYSZENIA MŁODZIEŻY POLSKIEJ W SOPOCIE W 1933 R. W GÓRNYM RZĘDZIE OD LEWEJ: PAULINA ULLERÓWNA, ANTONI BIANGA, ANNA WANKOWNA, AUGUSTYN ULLER, JADWIGA ULLERÓWNA I ELŻBIETA TESMER. W DOLNYM RZĘDZIE SIEDZI: MÜLLEROWA, KS. WALTER HOEFT, IZABELLA ROTHÓWNA I JAN GÓRALSKI. KS. HOEFT I A. ULLER ZAMORDOWANI ZOSTALI PRZEZ NIEMCÓW

FOT. REPR. A. KLEJNA

zostających pod wpływami Gminy Polskiej powołanej 26.XI.1921 r. Pierwszymi kierownikami sopockiej Gminy Polskiej byli działacze — Piotr Bresiński, później Józef Uller. Powstanie filii Gminy Polskiej w Sopocie przypada na r. 1922. Był to okres, w którym Niemcy otrząsnawszy się z oszołomienia po dramatycznych przejściach wywołanych klęską wojenną i załamaniem się ich potęgi, zaczęli występować z butnymi pogrózkami pod adresem

stawiono dwie listy polskie. Jedną z nich przedłożyła nowa, utworzona 13.VI.1933 r. organizacja o nazwie Związek Polaków, drugą zaś Gmina Polska. Do Zarządu Głównego Związku Polaków weszli z Sopotu dwaj działacze — wspomniany już wyżej P. Bresiński i Franciszek Dąbkowski, pracownik Rady Portu. Panujące wśród Polonii gdańskiej rozbieżności zaznaczyło się również bardzo silnie w Sopocie, gdzie wkrótce założono fi-



POLSKA SZKOŁA SENACKA CZYNNA NA TERENIE DZIELNICY KARLIKOWO, OBECNIE MŁODZIEŻOWY DOM KULTURY

FOT. F. MAMUSZKA

lię Związku Polaków pod kierownictwem P. Bresińskiego, popieranego przez takich członków miejscowej Polonii, jak wybitny działacz Bolesław Paszota, uczczony po wojnie nazwaniem ulicy jego nazwiskiem Jan Winiński, wspomniany już F. Drażkowski, Teofil Jaglewski, Herman Salewski i innych. Rozpoczęła się walka. Wrywano sobie przede wszystkim ludzi, podporządkowywano lub usiłowano podporządkować towarzystwa z różnym dla obydwu stron powodzeniem. W następnych miesiącach front walki między Związkiem Polaków a Gminą Polską poszerzył się, dzięki założeniu konkurencyjnej dla ZZP organizacji o nazwie Polskie Zrzeszenie Pracy. W dniu 7.XII.1933 r. założona została sopocka filia tego zrzeszenia, mającego na celu opiekę nad robotnikami, zabiegi o uzyskanie zajęcia dla bezrobotnych itp. Na czele filii stanął Jan Siatkowski, a w skład zarządu weszli: Bronisław Chyła, Alfons Bork, Edmund Staniszewski, Leon Ziems, Jan Glonke, Augustyn Kuling. Późniejszymi prezesami tej organizacji byli: Franciszek Drażkowski, Maksymilian Małach oraz Józef Schwarz. Następną przybudówką Związku Polaków, mającą zastąpić Towarzystwo Polek, było Koło

Pracy Kobiet. Na czele tej organizacji stanęła Zofia Bresińska, wspomagana przez Małgorzatę Cieszyńską, żonę wybitnego działacza, wieloletniego redaktora „Straży Gdańskiej” — organu Związku Polaków. Współdziałała z wymienionymi m. in. Maksymilian Małachowa.

Związek Polaków rozwinął działalność m. in. na polu upowszechniania kultury i oświaty. Jednym z większych osiągnięć tej organizacji było urządzenie 17.IX.1933 r. uroczystego obchodu 250-lecia odsieczy wiedeńskiej. Do wypełnionej po brzegi sali przemawiał Roman Truszczyński, a następnie Michał Urbanek — prof. Gimnazjum Polskiego w Gdańsku, a zarazem kierownik referatu świetlicowego w Wydziale Propagandy Związku Polaków oraz żarliwy działacz na polu harcerstwa. W dniu 2.XII.1933 r. nastąpiło otwarcie świetlicy Związku Polaków, którą umieszczono w domu nr 52 przy obecnej ul. Bieruta. Placówka ta, doskonale wyposażona i pięknie udekorowana w oparciu o wzornictwo kaszubskie, stała się drugim obok Domu Polskiego terenem działalności kulturalnej i oświatowej, głównie dla młodzieży, dla której urządzano kursy języka polskiego, prowadzone w trzech grupach przez Romaną i Jadwigę Truszczyńskich oraz Helenę Kledzikówną. Dla młodzieży odbywały się codziennie, po kilka godzin trwające zajęcia świetlicowe o bardzo urozmaiconym programie. Funkcje kierowników świetlicy pełnili w kolejnych latach — Helena Rakowska, Jan Służkiewicz, a w ostatnich latach przed wybuchem wojny Zofia Mizerska. Stały kontakt ze świetlicą miał prof. Michał Urbanek jako szef referatu świetlicowego. Jego żona, Janina, była przez cały czas istnienia świetlicy bibliotekarką, organizatorką imprez i uroczystości. Udział w tych pracach brała również Irena Pruszkówna i niezmordowany działacz prof. Bronisław Gawęł, pracujący zresztą społecznie prawie we wszystkich polskich towarzystwach. Opiekę nad świetlicą sopocką roztaczał komitet, któremu przewodziła wielce zaśluzona i bardzo czynna działaczka, Wanda Poznańska.

Z działalnością świetlicy, a także z pięknymi poczynaniami M. Urbanka, wiąże się powstanie sopockiego harcerstwa. Z rozkazu komendantki Gdańskiej Chorągwi Harcererek z 10.I.1935 r., Marii Ostrowskiej, dowiadujemy się, że w Sopocie istniała wówczas XI Drużyna Harcererek im. Jabłonowskiej, z drużynową Marylą Urbankówną i prawdopodobnie Drużyna Zuchów. Nadto działała w tejże miejscowości VII Drużyna Harcerzy im. Lisa-Kuli, z drużynowym Karolem Poznańskim, a także Gromada Zuchów z wodzem Bolesławem Arechowiczem. Opiekę nad tymi zespołami sprawowało Koło Przyjaciół Harcerzy, którego prezeską była przez wiele lat Róża Marszałowa, a członkami kolejnych

zarządów — Helena Kledzikówna, Jadwiga Frankowska, Roman Truszczyński, Derringtona, Gawłowa, J. Urbankowa, ks. Władysław Szymański, inż. Czarnowski i inni.

Równoległe ze Związkiem Polaków nadal intensywnie pracowała Gmina Polska, odpierając ataki niemieckie na szkoły polskie i na prawa Polaków. Niesnaski między polskimi organizacjami trwały nadal, przybierając niejednokrotnie gwałtowne i niedopuszczalne formy. Do zawieszenia broni i wystawienia wspólnej listy doszło podczas wyborów w 1935 r., kiedy na sopockiej liście znalazły się nazwiska z obydwu obozów, a mianowicie Jakuba Drawca, Jana Czarneckiego, Franciszka Wasielek, Ignacego Litwina i Marianna Brzozkowskiego.

Po zakończeniu wyborów właśnie ożywiły się, powtarzały się ataki na Józefa Schwarza, radnego miejskiego z ramienia Związku Polaków, za *pójście na rękę narodowym socjalistom* podczas głosowania w magistracie. Obwiniony tłumaczył się uzyskaniem szeregu korzyści dla Polaków, m. in. obietnicą na zezwolenie budowy w Sopocie polskiego kościoła. Sprawa tego kościoła pasjonowała przez kilka lat Polonię sopocką. Nabożeństwa i kazania polskie odbywały się bowiem tylko dwa razy w miesiącu w kościele „Gwiazda Morza”. Wygłaszający wówczas kazania „polskie” księża kaleczyli tak straszliwie język, że wywoływali oburzenie lub śmiech słuchających. Dopiero mianowanie w 1932 r. wikariuszem ks. Waltera Hoefta, a następnie kolejno księży W. Szymańskiego i J. Majewskiego zmieniło gruntownie sytuację, tym bardziej, że pod koniec 1935 r. zezwolono na dwa dalsze nabożeństwa polskie w nadmorskim kościółku. Nie zaspokoilo to jednak potrzeb i wobec tego powołany został 1.X.1935 r. Komitet Budowy Kościoła Polskiego w Sopocie z takimi działaczami, jak Józef Schwarz, Józef Uller, Maksymilian Małach, Izabella Rothówna, Władysław Cieszyński, Ignacy Litwin, Wojciech Pieper, Alfons Kazubowski, inż. Czesław Świąłkowski, który opracował projekt i pełną dokumentację budowy. Do realizacji tego projektu nie doszło jednak na skutek warunków postawionych przez konsystorz niemiecki w Oliwie, niemożliwych do przyjęcia przez Polaków. Ostatecznie w 1938 r. podjęto rozmowy w sprawie wykupienia przez komitet synagogi położonej przy obecnej ul. Dąbrowskiego 1, od uchodzących w popłochu z Sopotu Żydów. Budynek ten został jednak spalony doszczętnie przez hitlerowców w dniach 12 i 13.X.



WILLA PRZY UL. POWSTANCÓW WARSZAWY 73 — WŁASNOŚĆ HALINY I STANISŁAWA TOMASZEWSKICH. MIEJSCE ZEBRAŃ TOWARZYSTW POLSKICH

FOT. F. MAMUSZKA



DOM PRZY UL. BOHATERÓW MONTE CASSINO 28, W KTÓRYM MIESCIŁO SIĘ ZAŁOŻONE PRZEZ A. MAJKOWSKIEGO MUZEUM KASZUBSKO-POMORSKIE

FOT. F. MAMUSZKA

1938 r. i tym samym upadła sprawa polskiego kościoła w Sopocie.

Rok 1937 przyniósł radykalne zmiany w stosunkach panujących od lat wśród Polonii W.M. Gdańska. Na skutek coraz brutalniejszych aktów terroru ze strony hitlerowców, nastąpiło otrzeźwienie wśród polskich działaczy i zażegnanie bezsensownych sporów, w dużej mierze dzięki umiejętnej interwencji ówczesnego Komisarza Generalnego RP Mariana Chodackiego. Po długich pertraktacjach (80 spotkań) doszło ostatecznie do ogłoszenia w dniu 3.V.1937 r. wiadomości o zawarciu zgody między zwaśnionymi stronami. W dniu 23.V.1937 r. powołana została nowa organizacja polonijna o nazwie GMINA POLSKA — ZWIĄZEK POLAKÓW.

Sopockie filie Gminy Polskiej i Związku Polaków były pierwszymi komórkami terenowymi, które około połowy czerwca 1937 r. połączyły się i wybrały zarząd w składzie: Józef Uller — prezes, Maksymilian Małach — zastępca, Augustyn Mach — sekretarz oraz Franciszek Wasielke i Antoni Jurkiewicz. We wrześniu tegoż roku, na zgromadzeniu w Domu Polskim przedstawicieli sopockich towarzystw kobiecych, doszło do utworzenia jednej organizacji o nazwie Koło Polek. Połączenie ZZP i PZP nastąpiło dopiero w połowie 1938 r. Pod koniec 1937 r. ujawnia się, niewątpliwie pod wpływem nasilającego się terroru, wycofywanie się z pracy w towarzystwach części działaczy. Następuje zanik działalności „Lutni”, m. in. z powodu braku zainteresowania ze strony inteligencji i młodzieży oraz obojętności dyrygenta — jak brzmiał zarzut postawiony publicznie na zebraniu. By ratować zagrożoną placówkę kulturalną, stają na jej czele niezmordowany J. Uller z synem Augustynem, rodzina Litwinów, Sylwester Jeleński, ks. J. Majewski, Melania Wacholcówna i inni. Prócz całej rodziny Ullerów (2 synów i 4 córki) trwają do końca w organizacjach polskich rodziny Urbanków, Sochów, Cieszyńskich, Litwinów, Bianków, Bresińskich, Kucharskich, Müllerów, Piochów, Różankowskich, Drawców, Guzińskich, Winieckich, Pieperów, Żawrockich, Walentyna Kurpisz-Rothowa z córką Izabelą, Paweł Damroth, Sylwester Jeleński, Augustyn Kiersznikiewicz, Bronisław Gawel, Zofia Mizerska i wielu innych, nie notowanych w istniejących zapiskach, a biorących żywy udział w pracach towarzystw.

Bezimienna pozostała ówczesna bohaterska młodzież polska, szkanowana na każdym kroku i maltretowana nieraz przez watahy zdziczałych wyrostków niemieckich i przez policjantów. Ostatnim przed wojną publicznym występowaniem gdańskiej i równocześnie sopockiej młodzieży był jej masowy udział w olbrzymiej manifestacji, zorganizowanej w pierwszych dniach lipca 1939 r. w Gdyni z okazji Święta Morza. We wspaniałym pochodzie ul. Świętojańską szły gdańskie i sopockie dziewczęta, a za nimi chłopcy z polskich szkół W.M. Gdańska, w tym największa grupa z Gimnazjum Polskiego.

Entuzjazm, z jakim tłumy przybyłe z całego kraju (a wraz z nimi i piszący te słowa) pozdrawiały maszerujące kolumny młodych przedstawicieli Polonii W.M. Gdańska, były najpiękniejszym hołdem i najgorętszym uznaniem dla ich dzielności i wiary w Polskę. Wiwatujący i oklaskujący przechodzące szeregi nie przypuszczali wówczas, jak straszliwie okupione zostanie już za kilka miesięcy zarówno przez samą młodzież, jak i jej najbliższych opowiadanie się za polskością Gdańska i manifestowanie na rzecz ojczyzny.

O hekatombie krwi, złożonej podczas ponurej okupacji hitlerowskiej przez mieszkańców Sopotu, informowała do niedawna wielka tablica w polskim kościełku przy ul. Powstańców Warszawy. Widniały na niej dziesiątki nazwisk najczynniejszych ośnigsi działaczy, jak Piotr Bresiński, Władysław Cieszyński, Augustyn Uller, ks. Walter Hoeft, ks. Władysław Szymański, ks. Jerzy Majewski, Jan Winiecki i inni.

Jest czas, w związku z obchodami z okazji 50-lecia Gminy Polskiej, aby pomyśleć

o uczczeniu pomordowanych bohaterów sopockich wzniesieniem choćby skromnego pomnika właśnie na miejscu ich walki, tam gdzie stał Dom Polski przy ul. Chopina. ■

*) Artykuł został opracowany w oparciu o jeden z rozdziałów pracy pt. „SOPOT”, przygotowanej przez podpisanego dla Wydawnictwa Ossolineum.

Źródła i literatura

Acta des Domainen Amt Zoppot, betreffend Bauten in Zoppot, angefangen 1871, WAP Gdańsk, nr 404.

Księgi wieczyste Sopotu, karty dotyczące posesji: ul. ul. Boh. Monte Cassino 28, Chopina 10, Powstańców Warszawy 73, Sąd Powiatowy w Sopocie.

Leonard Bak - Leszczyński

Rodzina Leszczyńskich

Jakub Leszczyński, jeden z prekursorów narodowej działalności polskiej na terenie Gdańska w okresie zaboru pruskiego oraz jego synowie Antoni i Stanisław, byli w prostej linii potomkami króla Stanisława Leszczyńskiego.

Były to lata wzrastającej potęgi Prus. Po zwycięskiej wojnie z Francją zjednoczone Prusy umacniały swoją państwowość. Nielicznymi, którzy bronili swoich praw i przeciwstawiali się absolutyzmowi monarchii Hohenzollernów, byli Polacy. Świadomość narodowa Pomorzan, Wielkopolan, Lubuszan, Ślązaków i Opolan była silniejsza, niż ustawy bismarckowskie.

W 1884 r. powstaje w Gdańsku Towarzystwo „Jedność”. Organizatorem jego jest m. in. Jakub Leszczyński oraz jego synowie.

Antoni i Stanisław Leszczyńscy i ich ojciec przyjeżdżają w połowie XIX w. do Gdańska ze swoich posiadłości na Pomorzu i w Wielkopolsce. Syn Antoni obejmuje pracę w fabryce broni i amunicji (Gewerfabrik) przy dzisiejszej ulicy Łąkowej, Antoni prowadzi tam nadzór maszyn. Niemcom nie w smak było eksponowane stanowisko Polaka, złośliwie nazywano go *Der letzte Polnische König*. Była to m. in. aluzja do rodowodu Antoniego, który w prostej linii był potomkiem króla Stanisława Leszczyńskiego. Stanowisko swoje Antoni obejmuje z myślą o przyszłości. W zachowanym liście do ojca pisze: *Dobrze jest, że pracuję tam, gdzie wyrabia się broń, może się ona nam niedługo przydać.*

Stanisław Leszczyński, brat Antoniego, jest śpiewakiem operowym. Studiował w konserwatorium berlińskim, jego talent przysłużył się później popularyzacji polskiej pieśni w Gdańsku. Leszczyńscy rozumieją potrzebę zjednoczenia Polaków, że tylko wspólny front może ich uchronić od rosnącej z dnia na dzień germanizacji. Hasła pozytywizmu — pracy od podstaw, przejęcie kapitału z rąk niemieckich — tkwią w idei pracy Leszczyńskich.

Stanisław, korzystając ze znajomości ze śpiewaczką operową, księżną austriacką Marią Orską, nawiązuje kontakty z bankierem Rotszyldów i baronem Blachrederem — jednym z największych kapitalistów niemieckich. Za uzyskane kapitały zakłada w Gdańsku firmę St. i A. Leszczyńscy, z przedstawicielstwem na Gdańsk i Pomorze. Gros pracowników firmy stanowią Polacy, przeważnie członkowie Towarzystwa „Jedność”, częściowo finansowanego w tym okresie przez braci Leszczyńskich. Prospekty reklamowe firmy głoszą: *St. i A. Leszczyński Am Jakobstor 5/6 — Gdańsk tel. 2861. Motor-Bayern 45/60 PS. Dla łodzi motorowych, samochodów ciężarowych, pługów motorowych jest*

Adressbuch Ostseebad Zoppot, Jahrgang 1906—1915/16, 1919—1926/27.
Bukowski A., Regionalizm Kaszubski. Poznań 1950.
Ciesielski Z., Teatr polski w W.M. Gdańsku 1920—1939. Gdańsk 1939.
Cieślak E., Biernat C., Dzieje Gdańska. Gdańsk 1969.
Mikos S., Działalność Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w W.M. Gdańsku 1920—1939. Warszawa 1971.

Prasa:

„Dziennik Gdański”, 1919, 1921, 1922,
„Fale”, 1925—1927.
„Gazeta Gdańska”, 1914, 1919, 1920, 1926, 1930, 1934, 1938.
„Polski Świat Pracy”, 1937—1938.
„Straż Gdańska”, 1927, 1933—1938.
„Świat”, 1914, 1921.
„Zewie”, 1920—1935, 1936, 1937, 1938.
„Związkowiec”, 1922—1937.
Relacje b. działaczy Polonii sopockiej.



ABDANK — HERB LESZCZYŃSKICH

najtańszą siłą popędową, gdyż zużywa pod gwarancją tylko 220 gramów benzolu, 210 gramów benzyny pro PS/ST. Biuro techniczne. Poradnictwo w dziedzinie budowy okrętów, ogólnej budowy maszyn i elektroniki.

Towarzystwo „Jedność” organizuje w owym czasie nielegalną naukę języka polskiego i historii ojczyzny. Filie organizacji działają przy parafiach katolickich w Oruni, Siedlcach, we Wrzeszczu, poza tym w samym Gdańsku, Oliwie i Sopocie. Filie prowadzą własne chóry i biblioteki. Patronem polskiej pieśni w Gdańsku zostaje Stanisław Leszczyński, który piastuje godność prezesa IV Okręgu Kół Śpiewaczych. Senior, Jakub Leszczyński, przez pierwsze lata działalności Towarzystwa „Jedność” jest jego przywódcą. Działają łącznie z dr. Wybickim, dr. Kubaczem, A. Czyżewskim.

Leszczyńscy stają w obronie dzieci wrzesińskich. Stanisław Leszczyński przenosi „Rotę” Konopnickiej do działającego w Gdańsku Chóru „Lutnia”.

Wybuch I wojny światowej każe braciom Leszczyńskim nałożyć, jako poddanym cesarza niemieckiego, znienawidzony mundur koloru feldgrau. Tu znów pomagają koligacje finansowe — nie idą na front, jak reszta „Kaczmarek” z Poznańskiego i ich rodaków ze Śląska, Mazur i Pomorza. Antoni jest oficerem w stopniu porucznika w przybocznej gwardii Wilhelma II, natomiast Stanisław pełni służbę w pułku gdańskich huzarów. Rodacy wpręgnięci w pruski dryl niejednokrotnie korzystają z ich pomocy przy zwolnieniu ze służby wojskowej. Pod pretekstem choroby, czy też przydatności zawodowej, Antoni kieruje ich do fabryki (Gewerwerke) w Gdańsku.



OD LEWEJ: STANISŁAW, JAKUB I ANTONI LESZCZYŃSCY

Powiew Rewolucji Październikowej docho-
dzi do Berlina. Antoni i Stanisław Leszczyń-
scy zrzucają mundury i wracają do Gdańska,
aby tu bronić sprawy polskiej.

Ciosem wymierzonym również w Lesz-
czyńskich jest przyznanie Gdańskowi statu-
su „wolnego miasta”. Nie załamują się jed-
nak i w 1919 r. zakładają w Gdańsku pierw-
szą polską spółkę okrętową pod nazwą *To-
warzystwo Żegluga Morskiej „Gryf” w
Gdańsku i Gdyni St. i A Leszczyńscy*. Sie-
dzioba spółki mieści się w Gdańsku przy ul.
Korzennej. Nowo powstała placówka jest kon-
tynuacją przedstawicielstwa Motor-Bayern.

Otwarcie linii żeglutowej na trasie
Gdańsk — Sopot — Orłowo — Gdynia —
— Puck — Hel jest pierwszym wielkim świę-
tem Polonii gdańskiej. Na statkach „Moni-
ka”, „Abdank”, „Gryf”, „Kaszuba”, „Straż”,
„Jadwiga” i „Ajax” łopoczą białe-czerwone
bandery. Polonii polskiej udostępniono przez
dwa dni gratisowy wstęp na statki, które po
126 latach niewoli znów zaakcentowały obec-
ność bandery polskiej na Bałtyku. Nazwy
statków świadczą o głębokim patriotyzmie
ich właścicieli: „Jadwiga” — polska królowa,
„Gryf” — herb Pomorza, „Abdank” — zawo-
łanie królewskie rodu Leszczyńskich. Flago-
wy statek „Monika” nosi imię matki braci,
która wpoila im miłość ojczyzny. Nazwy
„Straż” i „Kaszuba” mówią same za siebie.

Lokal firmy w każdym calu przypomina,
że Gdańsk jest polski. Ściany jego zdobią
portrety królów — protektorów Gdańska;
Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta III
Wazy, Władysława IV, Jana III Sobie-
skiego oraz króla-wygnańca Stanisława Lesz-
czyńskiego. W sieni starogdańskiej kamieni-
czki umieszczono panoramę Gdańska z go-
dłem polskim i gryfem pomorskim, pędzla
Mariana Mokwy. Warto wspomnieć, że gryf
pomorski i złoty napis *St. i A. Leszczyński*
przetrwwały na froncie kamieniczki zawie-
ruch wojenną i widniały jeszcze w 1945 r. na
wypalonym murze domu, w którym mieści-
ła się firma.

W początkach 1919 r. Stanisław Leszczyń-
ski wysłał memoriał Towarzystwa „Jedność”
na ręce marszałka J. Piłsudskiego, w którym
domaga się sprecyzowanego stanowiska rzą-
du w sprawie Gdańska i dostępu Polski do
morza. Nie doczekawszy się odpowiedzi, sam
stawia się w Belwederze. Marszałek nie ra-
czy widzieć przedstawiciela „Jedności”. Na
takie dictum Stanisław Leszczyński wyraził
dość ostro swoją opinię o wodzu. Za ten
czyn przesiedział 3 miesiące w warszawskiej
Cytadeli. Dopiero interwencja ojca wyzwo-
liła syna z więzienia.

Przedsiębiorstwo „Gryf” prowadzi wszech-
stronną działalność. Jest m. in. pośrednikiem
w kupnie statków dla polskich armatorów.
Bracia Leszczyńscy zakupują dla naszej floty
statki „Lwów”, „Carmen”, „Bałtyk”, „Pomo-
rzanin” oraz wiele innych jednostek, więk-
szych i mniejszych. Leszczyńscy posiadali
również przedstawicielstwa oraz byli akcjo-
nariuszami zarówno stoczni Schichau, fabry-
ki wagonów w Gdańsku, jak i wielu innych
firm na Wybrzeżu. Anons w „Gazecie Gdań-
skiej” z r. 1922 głosił: *St. i A. Leszczyńscy
Gdańsk—Poznań—Gdynia Pfefferstadt nr 3
telefon nr 28-61 Eksport Żegluga Portowa
Import Przedstawicielstwo generalne więk-
szych firm. Biuro techniczne: opracowywa-
nie projektów, wykonywanie kosztorysów,
porady w dziedzinie budowy okrętów, ogól-
nej budowy maszyn i elektroniki. Nadzór bu-
dowlany: sprzedaż i kupno okrętów oraz stat-
ków wszystkich rodzajów.*

Rząd II Rzeczypospolitej doceniając patrio-
tyczną postawę Leszczyńskich, jak i ich fa-



ANTONI LESZCZYŃSKI

chowe przygotowanie, w czerwcu 1919 r. w
gmachu Polskiego Przedstawicielstwa Wojen-
no-Morskiego nadaje Antoniemu Leszczyń-
skiemu mandat pełnomocnika rządu, upraw-
niający go do zakupu statków handlowych
oraz przejęcia z Niemiec okrętów wojennych,
przyznanych Polsce w ramach kontrybucji
wojennych. Szef przedstawicielstwa, kontr-
admiral Michał Borowski, wręczając mandat
powiedział m. in.: *Tą zaszczytną funkcję po-
wierzamy człowiekowi, którego rodzina od
pokoleń związana była z ziemią gdańską.
Swoją postawą i wielkim patriotyzmem za-
służyła sobie w trudnych latach zaboru na
szacunek i sympatię Polonii gdańskiej.*

Leszczyńscy na powierzonym sobie stano-
wisku dają nowy dowód głębokiego patrio-
tyzmu. Za kapitały firmy bracia zakupują
z demobilu amerykański ścigacz i prze-
kazują go w darze odradzającej się Mary-
narce Wojennej. Otrzymuje on nazwę ORP
„Myśliwy”. W latach 1923—25 jest on flago-
wym okrętem dowódcy floty. To wydarzenie
nie ma precedensu we współczesnej historii
Marynarki Wojennej, by ofiarodawcą okrętu
wojennego była osoba prywatna.

Odtwarzając historię floty polskiej, na te-
mat „Myśliwego” w ten sposób pisze koman-
dor J. Kosianowski: *W porcie puckim tym
zaledwie kilkunastometrowym baseniku na-
dającym się jedynie do postoju kutrów ry-
backich i mniejszych statków, stała zasadni-
czo tylko jedna wojenna jednostka: statek
strażniczy ORP „Myśliwy”. Ten silnikowy o-
kręt spełniał zaszczytną rolę okrętu flago-
wego floty. Na jego maszcie powiewał pro-
porczyk dowódcy floty. Stąd szły rozkazy dla
wszystkich okrętów, na nim podnoszone są
wszelkie sygnały flagowe, którymi dowódca
floty przekazuje swoją wolę podległym jed-
nostkom.*

Ze wzmianek prasowych o „Myśliwym”,
jak i ze wspomnień starszych oficerów Ma-
rynarki Wojennej można uzyskać garść in-
formacji o ówczesnym okręcie flagowym. Był
to ścigacz okrętów podwodnych, jeden z 40-
tu submarinechasers, wybudowanych przez
stocznię USA w latach 1917—18 do zwalczania
niemieckich U-bootów. Wyporność tego
okrętu, przy wymiarach 34 x 4,6 x 1,7 m, wy-
nosiła 92 tony, uzbrojenie składało się z jed-
nego działka lekkiego 76 mm, dwóch karabi-
nów maszynowych oraz bomb głębinowych.
Napęd zapewniały mu dwa silniki benzyno-
we o łącznej mocy 500 KM. Załoga składała
się z dowódcy i 10 ludzi załogi. Szybkość wy-
nosiła 20 węzłów.

Pierwszym dowódcą „Myśliwego” był kpt.
mar. W. Rudnicki. W 1926 r. „Myśliwy” za-



STANISŁAW LESZCZYŃSKI



STANISŁAW LESZCZYŃSKI W GDYNI

kończył służbę w Marynarce Wojennej i został skreślony z listy floty. Za kapitały firmy bracia Leszczyńscy zakupują również dwa kutry torpedowe.

Wydarzenia te wspomina liczący obecnie 69 lat Antoni Leszczyński — junior, który w latach 1919—1920 był kurierem porucznika Aibla, adiutanta admirała Borowskiego — kierownika sekcji d/s przejęcia i zakupu statków od aliantów: „Kilkakrotnie byłem wysyłany do Berlina celem przejęcia metryk i dokumentacji okrętów oraz statków przeznaczonych dla Polski. Ojciec mój wyjeżdżał wielokrotnie do Hamburga, gdzie przejmował lub kupował od aliantów jednorazowo od 5 do 8 jednostek, które po krótkich remontach i zamustrowaniu na nich polskich załóg prowadził do Pucka. Podczas pobytu w grudniu 1919 r. w Hamburgu dowiedział się, że w Kilonii wojska amerykańskie posiadają kilkanaście kutrów torpedowych i ścigaczy odebranych Niemcom, a przeznaczonych do kassacji. Zainteresowała go ta wiadomość, chociażby dlatego, że okręty były zupełnie nowe. Zdecydował się pojechać do Kilonii i kupić na własny koszt dwa kutry torpedowe, nieśtety pozbawione uzbrojenia. Antoni Leszczyński zamustrował na nie polskie załogi i przyprowadził okręty do Pucka. Kutry skierowano następnie do stoczni w Gdańsku, gdzie poddano je krótkiemu remontowi i uzbrojono”.

W maju 1920 r. w porcie puckim Antoni Leszczyński uroczystie przekazał dwie nowe jednostki wojenne odradzającej się flocie polskiej. W uroczystości udział wzięli: szef Przedstawicielstwa Wojenno-Morskiego w Gdańsku kontradmirał M. Borowski oraz licznie zgromadzeni mieszkańcy Pucka.

Równocześnie zaczyna się pełna żywotność firmy „Gryf”. W grudniu 1921 r. pisał o niej „Żeglarz Polski”: *Ruchliwości nikt nie może odmówić naszej młodej marynarce. Statków Towarzystwa „Gryf” było wszędzie pełno na Wybrzeżu tego lata, tak że letnik polski i turysta mógł się przekonać, że nikt inny jak Polacy stają się „dorożkarzami” morza w Zatoce Gdańskiej. Zastęga to energicznych braci Leszczyńskich, ruchliwego i oddanego sprawie kpt. J. Tomaszewskiego oraz dyrektora Banku Przemysłowców w Gdańsku.*

Firma braci Leszczyńskich uruchomiła również linię żegludową między Puckiem i Tczewem. Na tej trasie przez kilka lat kursował statek „Straż”. Pisała o tym w 1920 r. „Gazeta Gdańska”, w artykule zatytułowanym „Zaczątki żegludgi polskiej”: „„o! bracia Leszczyńscy, jako pierwsi zrozumieli do-

nosłość połączenia wodnego między Puckiem a Tczewem, a że urzeczywistnione to zostanie, rękojme daje sprężysta energia obu właścicieli firmy. Pierwszy, jako kupiec o szerokich stosunkach za granicą, drugi jako załodowiec i doradca techniczny wiele może oddać przystup tym wszystkim, co mają interes, dotyczący żegludgi morskiej czy rzecznej. Interesantom więc sumiennie firmę St. i A. Leszczyńskich w Gdańsku polecać można, znając nie tylko ich właścicieli ale widząc też i wyniki pracy ich dotychczasowej.

Ogólnosiłowy kryzys połowy lat 20-tych dosięgnął również braci Leszczyńskich. Za zakupioną w Rumunii naftę dla potrzeb rządu polskiego otrzymują wynagrodzenie z dewaluowanej marce polskiej. Na nic się zdały dotychczasowe ich zasługi. Firma „Gryf”, dzierżąca wysoko sztandar polskości, ogłasza upadłość.

* * *

W okresie świetności firmy bracia Leszczyńscy przekazywali 500 tysięcy guldenów rocznie na rzecz Polonii gdańskiej, z przeznaczeniem dla dzieci i młodzieży. Z ich funduszy powstają ochronki w Gdańsku, Oruni, Wrzeszczu, Siedlcach, Oliwie, Sopocie. Poważne kwoty przeznaczali Leszczyńscy na budowę otwartego w 1922 r. Gimnazjum Polskiego. Do dziś zachowały się wykazy ofiarodawców. Na nich figurują sumy wydatkowane przez Leszczyńskich.

Przez sześć lat Stanisław Leszczyński jest prezesem Gminy Polskiej, której był współzałożycielem.

Działalność Leszczyńskich jest wielokierunkowa. Zakładają m.in. klub polskiej inteligencji w zakupionej przez nich kawiarni

ni „Excelsior” przy dzisiejszej ulicy Elżbietańskiej. Tam prowadzą szeroką działalność kulturalno-oświatową.

Córka Antoniego — Bolesława, w r. 1922 wstępuje w związek małżeński z Feliksem Muzykiem, działaczem Polonii. Pracuje on w Polskim Banku Związku Spółek Zarobkowych, a następnie zostaje dyrektorem Banku Brytyjsko-Polskiego, które to stanowisko piastuje do 1939 r. Małżeństwo Muzyków aktywnie działa w polskim chórze „Lutnia”, kontynuując dzieło stryja Stanisława. F. Muzyk sprawuje funkcję kierownika i dyrygenta. Chór staje się znany i lubiany nie tylko w Gdańsku. Polscy gdańszczanie propagują ojczystą pieśń w Poznaniu, Bydgoszczy, Krakowie, Toruniu i Warszawie. Na festiwalu chórów mieszanych w Toruniu w r. 1927 zdobywają pierwsze miejsce. Dyplom i wyróżnienie uzyskują na konkursie w Warszawie w r. 1931. Działacze chóru organizują częste spotkania z rodakami, zabawy, festyny, loterie. Propagują również polskie tańce narodowe.

Dojście Hitlera do władzy i przyjazd do Gdańska Alberta Forstera — ogranicza działalność Polonii.

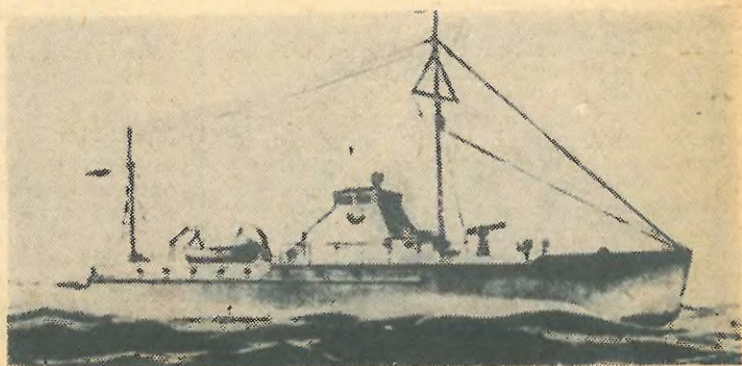
Leszczyńscy są zmuszeni zlikwidować lokal polskiej inteligencji. Stanisław przenosi się do Gdyni, gdzie korzystając z powiązań handlowych, zostaje przedstawicielem firmy „Siemens”. Antoni wyczerpany działaniem i niepowodzeniami, umiera w 1936 r. Pogrzeb jego stał się wielką manifestacją całej Polonii gdańskiej. Przedstawiciele rządu polskiego pomni czasów, gdy prezydent Wojciechowski był gościem braci Leszczyńskich, a statek „Monika” towarzyszył prezydentowi i ministrom rządu polskiego w podróży z Pucka do Helu, nie szczędzą pięknych słów. Pamiętają jednak, że w okresie przewrotu majowego Leszczyńscy stanęli za prawowitym rządem. Słowa sanacyjnych polityków brzmią jak banalny frazes. Lud gdański obsypuje czerwono-białym kwieciami grób tego, który życie im poświęcił. W r. 1938 umiera Stanisław Leszczyński. Również i ten pogrzeb stał się hołdem wielotysięcznej rzeszy mieszkańców Gdańska i Gdyni oddanym zmarłemu.

* * *

Wrzesień 1939 r. pociąga za sobą dalsze ofiary z rodziny Leszczyńskich. Zona A. Leszczyńskiego — Franciszka i córka Stefania zostały wyrzucone z mieszkania i ograbione z mienia oraz wysiedlone do Warszawy na wieloletnią tułaczkę wojenną. Franciszka umiera w 1944 r. w czasie powstania warszawskiego. Córka Stefania walczy jako powstaniec na barykadach Starego Miasta. Syna Antoniego Niemcy wywożą do obozu zagłady w Oranienburgu. Bolesława Muzyk zostaje wysiedlona z czworgiem dziećmi do województwa lubelskiego. Jej mąż, Feliks, ginie bestialsko zamordowany w czasie masowego mordu działaczy Polonii w Wielki Piątek 1940 r. w obozie zagłady Stutthof.

* * *

Czy nie warto byłoby, aby dzisiejsi gospodarze Gdańska, uczcili zasłużoną dla naszej ziemi rodzinę? Może jedna z ulic rozbudowującego się Gdańska powinna nosić ich imię?



ORP „MYSLIWY”

Stanisław Pestka

Turystyka otwarta

TO chyba sprawa nieco archaicznej wyobraźni; w tej dziedzinie respektowane są tylko kanony, od lat znajdujące się w obiegu! Ktoś rzekł, iż z masową turystyką jest u nas tak jak z groźnie pomrukującą burzą, która przetacza się nad sąsiednimi okolicami. Oddech bliskiego żywiołu poraża, lecz dopóki nie zawadzi on o naszą okolicę, nikt nie czuje jego zmasowanej siły. Podobnie z turystyką. Niemalże wszyscy poddają się turystycznej euforii, niestety nie czuje się u nas jeszcze masowej skali turystyki. Trzeba było dopiero czegoś takiego, co podziała naszym uderzeniem pioruna — pozostajemy przy terminologii burzowej — by od razu wszystkim narzuciła się konieczność głębszego zajęcia się problemami turystyki.

Ta nowa, chciałoby się rzec — złota nić — przedzie się od pamiętnego momentu, kiedy to wysokie czynniki państwowe ogłosiły decyzję w sprawie otwarcia granic między NRD a Polską dla obustronnego ruchu turystycznego. W planie politycznym oznacza to, iż pogłębiają się również naturalne dążenia integracyjne grupy krajów demokracji ludowej. Najbardziej widoczne skutki przyniesie owa integracja w dziedzinie turystyki. Według wszelkich przewidywań, rok 1972 będzie rekordowy pod względem frekwencji turystycznej w Polsce. Odnotowujemy to z ogromną radością (?) ale i z pewnym niepokojem. Potężniejsze bowiem niż dotąd otwarcie drzwi do naszego sąsiada nakłada na nas określone obowiązki. Nie wystarczy szczodry gest, że witamy tradycyjnie chlebem i solą, że oddajemy do dyspozycji nadwiślańskie słońce i pomorski krajobraz. W owym krajobrazie przetykanym perłami architektury z przyrodniczych osobliwości musi być odpowiednia baza, zespół specjalnych urządzeń i udogodnień służących ruchowi turystycznemu. Poza tym, niezależnie od wzmożonego napływu obcych wczasowiczów, zwielokrotnieniu ulega także nasz rodzimy ruch turystyczny.

W związku z tym nowej aktualności nabierają pytania: co oferujemy w zakresie zbiorowych i indywidualnych form wypoczynku? Jakiego działania trzeba podjąć niezwłocznie, by zwiększyć przepustowość różnych hoteli, campingów, kwatery prywatnych, ośrodków i placówek świadczących normalne usługi dla ludności? Gdzie należy lokować dalsze inwestycje, jak rozbudowywać zaplecze rekreacyjne, ażeby w maksymalnym stopniu zachowywać najcenniejsze walory natury i krajobrazu?

Takie pytania stawiają sobie przede wszystkim instytucje odpowiedzialne za stan przygotowań do bieżącego sezonu turystycznego i poszukujące rozwiązań przyszłościowych. Lekką przesadą byłoby stwierdzenie, że jesteśmy obecnie w stanie zerowym. Niemniej porządkowanie wielu kwestii trzeba rozpocząć od zera, od podstaw. Orientujemy się dość dobrze, gdzie będziemy wypoczywać, w jakich rejonach pasa nadmorskiego i Pojezierza Kaszubskiego. Nie ma natomiast jasnej, klarownej odpowiedzi na pytanie: jak będziemy wypoczywać? Toteż tym bardziej należy zaakceptować wagę argumentacji przedstawionej przez publicystę „Trybuny Ludu”, Krystynę Kostrzewę: „Zachodzi konieczność podjęcia prac prognostycznych i planistycznych mających na celu określenie kierunków rozwojowych turystyki, najbardziej pożądanych ze społecznego i ekonomicznego punktu widzenia oraz zabezpieczenia dla nich niezbędnych warunków realizacji... W planie kierunkowym zagospodarowania turystycznego Polski, opracowanego

przez zespół fachowców z Zakładu Zagospodarowania Turystycznego GKKFiT... wytypowano ogółem 231 obszarów wypoczynkowych. Rozmieszczone są one po całym kraju, ale ich największa koncentracja jest na Wybrzeżu, w pasie pojezierzy i we wszystkich górach”.

Zanim zdobędziemy się na szczegółowe prognozy i opracowania regionalne, możemy z niejaką dumą podkreślić: ziemie pomorskie stanowią jeden z najpiękniejszych kwiatów tak bogatego w uroki turystycznego wieńca. Innymi słowy kapitalne znaczenie będzie miała atrakcyjność Gdańska — miasta leżącego na skrzyżowaniu wielkich szlaków. Uderzą nas m.in. podobieństwa do sytuacji sprzed wieków: Gdańsk leżał na przecięciu szlaków handlowych — przymorskiego idącego wzdłuż morza i dalej na Nowogród oraz drugiego, niemniej ważnego traktu bursztynowego biegnącego z rzymskich emporiów handlowych poprzez Czechy, ku Zatoce Gdańskiej. Zamiast karawan kupieckich wspomniane szlaki, czy raczej kierunki sezonowych wędrówek ludów, zaróżają się od zmotoryzowanych i niezmotoryzowanych turystów. Najbliższe lata doprowadzą zapewne do poważnej popularyzacji szlaku północ — południe. Skandynawowie przyzwyczajeni do przeskoków od jednego odkrycia turystyczno-folklorystycznego do drugiego, będą coraz tłumniej odwiedzali nasz kraj, głównie zaś pociągną na południe trasą tranzytową przez dwie bramy — szczecińską i gdańską. Na razie jest tylko jedna linia promowa: Swinoujście — Ystad, łącząca Polskę ze Szwecją. Promy uchodzą za jedną z bardziej nowoczesnych, a zatem i modnych wersji wędrówek turystycznych. Nic dziwnego więc, że ponad sto regularnych linii promowych przebiega przez Morze Północne, Bałtyk i kanał La Manche. Liczymy się z tym i chyba dążymy do tego, by dalsze linie promowe przecięły Bałtyk i połączyły Gdynię i Gdańsk z morskimi przyczółkami krajów skandynawskich. W sukurs żegludze promowej musi przyjść biała flota, która do tej pory jest prawie nic nie znaczącym marginesem masowej turystyki. Narzekamy, pomstujemy na wczasowiczów z głębi kraju, że w okresie sezonu zadowalają się leżeniem na piachu i obserwowaniem wodnego żywiołu z pozycji szczerą ładowego. A cóż lepszego może robić przeciętny turysta? Nasza biała flota jest skromniutka, po prostu jak na ironię stanowi żywe świadectwo... odwrócenia perspektyw. Kilka stateczków w rodzaju „Panna Wodna” mogłoby doskonale zdawać egzamin na jakimś „wewnętrzny” morzu jak Balaton, albo jakieś większe Gopło. Biorąc wszakże pod uwagę akwen bałtycki oraz propagandę spraw związanych z uprawą morza w kraju o 32-milionowej ludności, to trzeba przyznać, że możliwości wybrzeżowej białej floty absolutnie nie współbrzmia ze społecznym zapotrzebowaniem. Żeby uniknąć głośności odwołań się do informacji z prasy szczecińskiej, z których wynika, że „główną atrakcją sezonu żeglugowego szczecińskiej białej floty rozpoczynającego się w kwietniu, będą regularne rejsy do wielu miejscowości w NRD. Trzy razy w tygodniu na statku typu „Agata” (za 30 zł w jedną stronę) popłynąć będzie można do miejscowości Schwedt, położonej nad Odrą w górę od Szczecina... Wodolot „Kometa” kursować będzie na trasie Szczecin — Sasiniz i Szczecin — Stralsund”.

Zabawiliśmy się trochę w wizjonerów, próbując ustalić, co jest i co być powinno. Teraz, zdopingowani trochę czekającą nas, szczególnie tu na Wybrzeżu i Kaszubach, „eksplozją” turystyczną skierujemy naszą u-

wagę na sprawy bardziej przyziemne, które dziwnym trafem w ciągu minionych lat przeważnie uciekały sprzed naszej obliczności. A ponieważ uciekały, przeto kraj nasz choć bardzo atrakcyjny, stawał się mniej ciekawy wskutek braku, niedostatku określonych lokali, hoteli, moteli, zakładów gastronomicznych, centrów rozrywkowych itp. Ci, którzy porzucają jeden świat, rodzinno-zawodowy, czyli swe stałe otoczenie, po to, ażeby czasowo przenieść się w inny świat, czynią to z nadzieją znalezienia pełnego relaksu. Chodzi o odmiennosc krajoobrazu, ludzi, atmosfery psychicznej, klimatu, kultury. Standard cywilizacyjnych wygód, musi być jednak wspólny, jak gdyby uniwersalny. Pociąga to za sobą nieuchronną monotonię — to prawda, lecz nie może istnieć głębsza dysproporcja np. w bazie hotelowej między poszczególnymi krajami. Z myślą o tym, że wzrośnie w woj. gdańskim parokrotnie napór swoich i obcych turystów, należy niezwłocznie przystąpić do rozwiązywania szeregu palących problemów. Z uwagi na to, że turyści będą płynąć ku Gdańskowi dwoma strumieniami od strony zachodniej, warto by na pewne zagadnienia uwrażliwić organizatorów wypoczynku. Z dotychczasowych analiz wynika niezbicie, że jeden szlak turystyczny będzie się ciągnął od Szczecina przez Drawsko, Szczecinek, Miastko, Bytów na Gdańsk. Drugi do tejże metropolii będzie się zbliżał wzdłuż zachodniego morskiego brzegu, z tym, że w poszukiwaniu atrakcyjnych krajoobrazów turyści będą zbacać z głównej trasy. A zatem stopniowo powstanie nad Bałtykiem tzw. strefa penetracji grzebieńowej. Tak czy inaczej Gdańsk jawi się jako ów symboliczny punkt docelowy.

Czy to brzemie jakie przychodzi nam obecnie udźwignąć jest aż tak bardzo ciężkie? Wierzymy w skuteczność drobnych i wielkich rozwiązań, których celem jest polepszenie warunków turystycznego wypoczynku. Działanie powinno być różnokierunkowe. A nabierało się tych „palących” potrzeb i trudności wymagających usunięcia, przewidywania. Najczęściej pod ogień krytyki dostawała się gastronomia. Któż nie potrafi szeroko rozwozić się nad prawie że organicznymi słabościami naszej bazy gastronomicznej, zarzucając jej opieszałość, słamazarstwo, nieumiejętność wyjścia naprzeciw potrzebom klienta itd? Istotnie, kontynuowanie tej nieodrobionej tradycji — narzekania i pozostawiania rzeczy własnemu biegowi — skłania w końcu do przyjęcia fatalistycznych wniosków. Co prawda niełatwo wygospodarować w przeciążonej gastronomii dalsze rezerwy, jest to wszakże możliwe jedynie dzięki wprowadzeniu rotacji obsługi. Wąskim gardłem jest bowiem proces obsługi, a nie zdolność przygotowywania posiłków.

Próby reorganizowania ogólnie dostępnej bazy gastronomicznej muszą iść w parze ze zmianą struktury zaopatrzenia handlu. Asortyment artykułów spożywczych nie może być oparty na konserwach, wódcie i suchym chlebie. Nie byłoby ciągłych skarg ze strony turystów, gdyby oferowało się im bogate zestawy produktów prefabrykowanych. Żywność w formie gotowych zestawów, puszek i garmateryjnych potraw zyska chętnych nabywców wśród wszystkich turystów. Ba, ale sklepy wiejskie są słabo zaopatrzone w potrzebne urządzenia chłodnicze. Gdzie przechowywać łatwo psujące się specjały? Zmianie ulec musi także model zaopatrzenia wsi. Z uporem godnym lepszej sprawy zaopatrujemy wieś po staremu, wychodzimy z założenia, iż chłop mając krowę nie musi kupować śmietany czy masła. To samo z jajkami. Tymczasem każdy sklep położony w rejonie turystycznym winien prowadzić sprzedaż podstawowego asortymentu mleczarskiego. Jeszcze trudniejszy do „ugryzienia” jest problem piekarnictwa wiejskiego, problem... wody pitnej. Nie każda woda uznana za zdatną do picia jest wodą bezpieczną. W epoce konnej, dyliżansowej turystyki przydrożne pompy znakomicie spełniały swą rolę. Nie zawsze zresztą właściwych rozwiązań trzeba szukać w sferze inwestycji. Nie-



JEZIORO SŁUPINKO

raz wystarczy zwykła zmiana przepisów. W myśl obowiązujących przepisów PGR-om nie wolno sprzedawać na miejscu złowionej ryby. Stąd też po rybę ze słodkich wód jedzie się ze wsi do większego miasta. Paradoxs. Dodajmy do tego niedogodne dla turysty godziny otwierania i zamykania sklepów wiejskich, a otrzymamy obraz niezbyt zachęcający do krajoznawczych wycieczek.

Obcy podróżnicy spragnieni polskich możliwości nie będą latami czekać, aż zapniemy na ostatni guzik naszą bazę hotelową. Jeżeli nawet w ciągu najbliższych lat wybudujemy sporą ilość hoteli, to i tak nie zabezpieczymy miejsc dla wszystkich podróżujących. W tej sytuacji najbardziej ekonomicznym rozwiązaniem są dobre, tanie campingi, usytuowane w bliskim sąsiedztwie kawiarni, restauracji, klubu, dysponujące urządzeniami sportowymi. I tu dotykamy kolejnego, niezwykle nabrzmiałego problemu. Campingi u nas są i... nie ma campingów. Jak to rozumieć? Otóż te, które figurują w urzędowych wykazach i w folderach turystycznych, są mikroskopijnie małe i na dobitkę

nie zapewniające usług wyższego niż bardzo przeciętny standard. Najczęściej są to pola namiotowe obliczone na kilkaset najwyższej namiotów, a nie na kilka tysięcy. Wienc jeszcze jeden dowód, że nie czuje się u nas w Gdańsku skali masowej turystyki. Jest również odrębna kategoria campingów nie usankcjonowanych jakimś administracyjnym aktem. Są to istne dzikie pola namiotowe, powstające byle gdzie i byle jak według prywatnych życzeń turystycznych koczowników. Skutki takiej nie ujętej należycie w odpowiednie rygory „polityki campingowej” można obserwować po każdym większym naloście turystów zmotoryzowanych w różnych zakątkach Kaszub i Pomorza. W ten sposób ulegają zaśmieszeniu czy wręcz lokalnemu wyniszczeniu najcenniejsze walory krajoznawcze. A przecież znów tak bardzo dużo nie mamy rejonów o wysokich walorach. „Łączna ich powierzchnia wynosi teraz zaledwie 17 tys. km kw., to jest 5,4 proc. powierzchni kraju. Stąd pilna potrzeba racjonalnej gospodarki tymi zasobami”.

W woj. gdańskim też ustalono dawno wy-

kaz terenów, które trzeba chronić przed rozmaitymi burzami i naporami masowej turystyki. Jeden z gdańskich naukowców, doc. dr Edwin Rozenkranz, mówiąc o zabezpieczeniu środowiska naturalnego wyszedł z konkretnymi sugestiami: „Jako tereny poddane szczególnej opiece ustala się okolice Łeby, półwyspu helskiego, Mierzę Wiślana. Ochrona krajobrazu obejmuje także Dolinę Raduni od źródeł po miejscowość Pręgowo, dwukilometrowe pasy wokół zespołu jezior raduńskich oraz wzdłuż brzegów jeziora Wdzydze. Konieczne jest też zabezpieczenie całego drzewostanu w województwie i powiększenie zieleni dekoracyjnej”. Na samorządną ochronę nie ma co liczyć.

Nie chcemy, by zasłużony wypoczynek zakłócała wizja czarnego sezonu. Nie musi on być wcale „czarny”, pod warunkiem jednak, że, iż wytyczone m. in. przez PTTK szlaki, znajdują opiekunów o szczególnej wrażliwości. Obyśmy po latach nie musieli ponownie rozumieć sensu filozoficznej maksymy: „Biada myślicielowi, co nie jest swą roślinnością ogrodnikiem”. Dlatego wołać musimy o długofalowy program zagospodarowania turystycznego terenu. Dzisiejsze potrzeby zmierzają do szybkiej realizacji drugiego, bo do drugiego programu. Dlatego nie dzikie campingi, lecz wielkie wyposażone w elementarne wygody pola namiotowe sytuowane gdzieś na skraju tras wylotowych do wielkich miast. Dlatego też nieodzowną rzeczą jest podejmowanie decyzji, które w efekcie przyczynią się do rozgęszczenia ruchu turystycznego.

Dotychczasowe zagospodarowanie koncentruje się przede wszystkim w rejonie pasa nadmorskiego, obejmującego 79 proc. bazy noclegowej. Rozwój bazy miał tam, niestety, charakter żywiołowy i nie kontrolowany. Przeważało budownictwo nietrwałe, w formie psich budek o dużym zagęszczeniu na jeden hektar. Niezwykle natężenie ruchu letniskowego zanotowano w ostatnich latach w miejscowościach „modnych”. Podziw i wyjątkowe uwielbienie składane corocznie przez tysiączne rzesze turystów perle polskich kurortów — Sopotowi, to osobne zagadnienie. Także w innych modnych miejscowościach, jak np. Jastarnia, Jastrzębia Góra, Stegna, Krynica Morska, Sobieszewo itd. wykorzystywanie kwatery prywatnych przybiera zupełnie nieracjonalne wymiary. Nie tak łatwo walczyć z narosłymi w minionych latach sposobami turystycznego reagowania. Z drugiej strony wiadomo, że nowe ośrodki w nie-modnych miejscowościach przyciągają gdańskich turystów i przybyszy z zewnątrz, jeśli ukształtuje się oblicze awansującej turystycznie okolicy pod kątem gustów i zapotrzebowań człowieka tęskniącego za prawdziwym wypoczynkiem.

Jedno zastrzeżenie: czynnik ekonomiczny jest bardzo ważny, ale nie może on być rozstrzygającym kryterium np. o lokalizacji czy wykorzystaniu obiektu. Ileż to razy zaszkodził nam wąsko pojmowany interes partykularnego inwestora... Fatalne sytuacje, w jakie pakuje nas nie tylko ci partykularni inwestorzy obiektów turystycznych, są do uniknięcia. Mam nadzieję, że już jesteśmy na biegunie przeciwnym wszelkiemu sobiepaństwu. Nie uświadczymy go chyba na terenach przyszłościowej (dla zespołu Gdańska) rekreacji położonych w obrębie Białej Góry i Jeziora Żarnowieckiego.

Nie wszyscy turyści, zarówno tzw. passanci, czyli uczestnicy jedno- lub kilkudniowych wyjazdów jak i uczestnicy długookresowych zorganizowanych form wypoczynku zetknęli się z wydzielonymi, odgrodzonymi od świata azylami wyczasów. Chodzi oczywiście o bazę zamkniętą zawarowaną dla poszczególnych zakładów pracy. W praktyce więc jest ona kompletnie zamknięta na siemdem pieczęci przed turystyką ruchomą. Jakże pouczające są tutaj przykłady Sulęcyna czy Krynicy! I oto typowy obrazek wprawiający w zdumienie naszych zagranicznych gości, bo my poza nielicznymi wyjątkami traktujemy go jako nieodłączną część rzeczywistości: dziewicze jeziora lub kawałek arka-dyjskiego brzegu morskiego, nigdzie baru,



SOPOT — MOLO

(FOT. K. KAMINSKI)

campingu, szaletu, czy choćby jakiegoś „zadaszenia”. Tuż obok piękny obiekt, niemal pałac, własność jakiegoś zakładu, odgródzony od reszty świata czymś na kształt granicznego muru z „Zemsty”. Za murem spokój, nieliczni wczasowicze korzystają tam z wszelakich komfortów. Dlaczego nie otworzyć, pardon, nie wybić małej furtki w tym murze, czy kolczastym płocie i nie wpuścić „ruchomych” turystów? Tak, ale zaraz pod niebiosa wzniesie się krzyk: myśmy na to! Łożyli pieniądze, budowali, a to tałatajstwo zniszczy nam całą wychuchaną arkadyjskość. Poniekąd racja, ci, którzy się wyobcowują i tworzą ośrodki zamknięte mają prawo do nienaruszalności, do spokoju. Coś mi się widzi — nie tylko zresztą mnie — iż mają tego spokoju za wiele. Na pięknych pustkowiach, gdzie pysnią się swą „pałacową” architekturą zamknięte ośrodki, niejednokrotnie pustawo, i to w sezonie. A już dla nikogo nie jest tajemnicą, że poza miesiącami letnimi we wspomnianych ośrodkach jest kompletnie pusto. (Naturalnie inaczej wygląda to w górach).

Rysuje się więc problem bardziej racjonalnego wykorzystania zakładowych ośrodków, nade wszystko poprzez wydłużanie sezonu. Po wtóre przez udostępnianie tychże ośrodków masowemu ruchowi turystycznemu. Dlaczego to nadzieje na najlepszy odpoczynek wiążemy głównie z lipcem i sierpniem? Tolerujemy wiele odchylen, lecz jakże wskazane byłoby odchylenie od „kanikularnej” tradycji wypoczynku pracowniczego, tym bardziej, że jeden dzień wczasów zimą czy jesienią daje tyle, co dwa dni latem! Budowlani z Gdańska np. zapoczątkowali niezłą tradycję wypoczynku rozpoczynającego się już w maju. Powody do zaniepokojenia niekiedy, gdy się słyszy takie oto optymistyczne zapewnienia: Stocznia im. Komuny Paryskiej buduje w Wierzyca ogólnodostępny obiekt turystyczny dla 120 osób z pełną bazą gastronomiczną; WKKFiT oraz PTTK dążą do tego, by budować duże międzyzakładowe ośrodki, likwidować zaś małe, karłowate. Tak, to była istna zmora — każdy większy, a nie raz i bardzo mały zakład pracy uważał za punkt honoru posiadanie własnego ośrodka. Tworzyło się w ten sposób państwo w pań-

stwie. Jeszcze parę lat takiej polityki, stawiania na rozwój wewnętrznych, zamkniętych ośrodków wypoczynku, a doszlibyśmy do tego, że turysta ruchomy, jak ryba bilby nosem o brzeg jeziora i nie miałby co z sobą począć. O ile naturalnie znalazłby wolny skrawek jeziora, czy piękniejszego uroczyska, nie zajętego jeszcze przez zakładową turystykę. Niech istnieją zamknięte ośrodki, tylko niech nie tworzą coraz większego państwa w państwie. (Jeden gestor ośrodka nie chce go odpłatnie udostępnić innemu użytkownikowi).

Ażeby i tu doprowadzić do pozytywniejszych zmian, potrzebne są porozumienia międzyresortowe, które utworzą drogę budownictwu międzyzakładowemu. A więc wielkie, skoncentrowane w wybranych rejonach ośrodki zakładowego wypoczynku, świadczące coraz poważniejsze usługi na rzecz przygodnego turysty krajowego i zagranicznego.

Przypomnijmy na zakończenie postulat, sformułowany w Gdańsku przed ładnymi paru laty: podjąć decyzje przeciwdziałające marnotrawstwu bazy wypoczynkowej oraz zmuszające zakłady pracy do odpłatnego udostępniania turystycznym rezerw. Turystyka ambitna, a ku takiej sterujemy, wymaga lepszej, efektywniejszej koordynacji poczynań turystycznych w skali trzech województw nadmorskich. Likwidacji muszą także ulec wszystkie antybodyce rozwoju zaplecza turystycznego. Często było tak, że tam, gdzie zaczynały się finansowe interesy „Gromady”, PTTK, „Turysty” czy „Orbisu” kończyły się gospodarce zainteresowania rad narodowych. Wiąże się to z poszerzeniem wpływu rad narodowych na to, co się w turystyce dzieje i dzieć będzie na ich terenie. Dla Pojezierza Kaszubskiego trzeba wykonać całościową klasyfikację jezior oraz generalnie ukierunkować ich zagospodarowanie turystyczne. Na ważne potraktowanie zasługuje cały kompleks zagadnień dotyczących wypoczynku indywidualnego, z każdym rokiem zyskującego na popularności.

Turystyka powszechnie dostępna, otwarta harmonizuje z ogólnym rozwojem cywilizacji. Stanowi rodzaj wyzwania, któremu winniśmy jak najdalej, jak najrychlej wyjść naprzeciw.

— I pewnie dlatego jeszcze tego samego dnia wieczorem, jak tu mam napisane, wybiliście panu P. drugą szybę?

— Gdzie tam, to taki z drugiego podwórka, ale nazwiska nie chcemy podawać, bo on niechęć. Nad P. mieszka Wiesia — 17 lat ma i jest fajna. On chciał, żeby wyglądała, żeby na nią popatrzeć. Rzucił śnieżką, ale po pierwsze trafił nie w jej okno, tylko P., a po drugie trochę za mocno rzucił...

Na ową skargę do kolegium matki chłopców zareagowały pisemnym oświadczeniem, że zostali oni obwinieni niesłusznie i złośliwie. Zebrały 24 podpisy lokatorów.

Kolegium zadecydowało: „Zeznania świadków (obwinienia) zasługują na wiarę ze względu na to, że osoby te zajmują odpowiedzialne stanowiska zawodowe jak i społeczne, i cieszą się społecznym zaufaniem. W tych warunkach kolegium nie dało wiary świadkom obrony”.

Dajmy im głos przynajmniej. Wyłania się obraz obywatela B. jako motoru całej akcji. Na parterze mieszka, kocha spokój, a w związku z tym nie cierpi dzieci. Prześladuje już drugie pokolenie. Kiedy byli mali, piaskownicę im zasypał czarnoziemem i posadził w niej kwiaty — bo była tuż pod jego oknem i hałas go drażnił. Potem do pobliskiej szkoły podstawowej chodził na skargę i mówił rzeczy bzdurne: że palą koty i psom wyrwywają nogi. Teraz gania ich, jak może. Buntuje innych lokatorów. Wierzyć, nie wierzyć? Co sądzą o tym byli dzielnicowi, którzy „pilotali” chłopców od dzieciństwa, st. sierżanci MO — Woźniak i Szostek?

— Dzieci, jak to dzieci, ale niektórzy lokatorzy przewrażliwieni. Dziury w całym szukają. Aktualny dzielnicowy, sierżant Zakrzewski, obwinia obie strony: — ludzie przewrażliwieni, ale i chłopcy aniołami nie są.

Kuba najskładniej formułuje, co myśli i czuje paczka. Niech więc powie Kuba:

— Bywa, że robimy B. i tym, co go popiera, na złość. Ale to dlatego, że wiemy, iż on nas nie cierpi. Płacimy mu tą samą monetą. Jest otwarty konflikt między nami...

Mówi jeden z lokatorów:

— Dam przykład. Wynosiłem właśnie śmieci. Drzwi na klatkę za sobą nie zamknąłem, bo to przecież miała być tylko chwila. Natychmiast wyleciała pani W. (żona jednego ze świadków obwinienia) i do chłopców, którzy spokojnie stali przy domu: „Jeszcze raz otworzycie drzwi, to dam w mordę”. Myślała, że to oni zrobili, ale reagować w ten sposób...?

Stoimy w głębi podwórza. Jest wieczór. Z Grunwaldzkiej wchodzi do bramy jakiś mężczyzna — i siusia. Kiedy drugi raz tu przychodzi, chłopcy wypłaszają z piwnicy jakiegoś włóczkę. Butelka i śmieci po nim zostały.

— Różni tu przychodzą — mówią chłopcy — z ulicy, z innych podwórek. Ale jeśli coś jest nie w porządku, zawsze my jesteśmy winni. A jak np. żona jednego ze świadków obwinienia prowadziła pieska i ten kupkę zrobił na klatce schodowej, to ona udała, że nie widzi. Nie sprzątnęła.

Na dobrą sprawę przyznają się tylko do tego, że hałasują. Rzeczy takie jak wyłączanie światła w całym bloku, wybijanie szyb itp. to nie oni. Sceptycznie można podchodzić do tych zapewnień, niemniej nie powinno się chyba wszystkim co złe ich obciążać. Oni sami zresztą też ponoszą szkody. Oto zrobili sobie kiedyś taki podwórkowy kącik. Z pniaków wkopanych w ziemię i pokrytych deskami — stolik i wokoło krzesła. Pozostał tylko kikot pnia. Nocą dokonano zniszczeń. Sprawcy nieznani.

Wówczas to zeszli w podziemie — dosłownie. W piwnicach powstały dwa kluby: jeden u Kisia, drugi u Małpy, gdzie właśnie jesteśmy. Rodzice wyrazili zgodę, aby wszystkie „piwniczne” akcesoria ukryto: pod ścianami, w specjalnych obudowach. Nie widać ich, nie rażą. Umeblowanie z surowych desek, stare radio, lampy, na ścianach mnó-

Jerzy Sarota

Gniew na wiatr, że wieje...

Z tramwaju wysiadam przy Miszewskiej, a potem idę Grunwaldzką w górę. Tuż przed „Morską” skręcam w prawo: brama, za nią podwórce. Czysty, schludny czworobok zamknięty ybłokiem przy Grunwaldzkiej, dwoma poprzecznymi przy Czarnieckiego oraz rzędem garaży. Stoi właśnie przy nich grupa chłopców. Zmrok już zapada i nadchodzący wieczór kładzie zwolna kres gwarliwości, ruchliwości dnia. Sielsko tak jakoś, spokojnie...

— Ej — dobiega mnie z grupy chłopców — co tę cherlawą pierś wyprężasz? Podchodzę do nich.

— Małpy szukam i jego paczki.

— A to my właśnie...

W torbie, która dynda mi u boku, mam kopię skargi do kolegium. „W podwórzu naszego osiedla — tak się to zaczyna — utworzyła się grupa chuliganów — chłopaków w wieku od 15 do 18 lat, którzy uprzykrzają życie mieszkańcom...”. Pod całością osiemnastu podpisów. Mam też notatki poczynione z akt sprawy. Siedmiu chłopców uznano winnymi zakładania ciszy nocnej i porządku publicznego. Kara: oddanie pod odpowiedzialny dozór rodziców. To taki sygnał ostrzegawczy. Jeśli rodzice nie dopilnują i coś

się jeszcze wydarzy, to teraz prawo już bezpośrednio do nich się dooberze...

Z dziewięciu klatek schodowych trzynastu ich jest: Małpa, Dzida, Cinia, Leo, Bosman, Kuba, Mucha, Kisiu, Rysiu, Bryś, Jancyk, Siwy i Skobel...

— Chociaż nie, Skobla niech pan skreśli. On już nie jest nasz po tym wszystkim...

Pisemko, które mam w torbie, powiada, że 23.XI.71 r. grając w piłkę wybili szybę ob. P., potem za nią i owszem zapłacili, ale w odwecie za to pobili syna ob. P. Czyli właśnie Skobla.

— Ależ to nie miało nic wspólnego z tą szybą. To było tak: Skobel jadł ciastko i Bosman powiedział, żeby dał spółę. A Skobel nie chciał. Wtedy Bosman do niego: „to idź, idź” i go lekko popchnął. A on zaczął szurać. Wtedy Mucha się zdenerwował i powiedział: „Jeśli masz jakieś zgrzyty, to możemy inaczej załatwić”. A Skobel mu w nos — pierwszy. I Mucha mu oddał — tak, że starczyło. Bo Mucha trenował u kolegi boks, to ma trochę pary. A Skobel to cykor.

— I nie bał się zacząć?

— Bo na swojej klatce. I tak jego matka zaraz wyskoczyła z kablem od żelazka i do nas...

stwo plakatów, kolorowych wycinoków, wschodnia makatka i kolekcja pudełek od papierosów. Większość z nich pali. Jest o tym w owej skardze do kolegium. Ale jest także, że „organizowali tam (w klubie) grę w karty, popijali wino”.

— Wino pijemy tylko w domu, jak jest prywatka albo imieniny. Tutaj nigdy. W karty, owszem gramy, ale nigdy nie na forse, tylko na punkty. W kierki i 853. Nie wie pan, co to za gra?

Błat stolika, za którym siedzimy, pokryty napisami: „Led Zeppelin” — ich ulubiony zespół, imiona członków paczki i serce przebite strzałą. Kto w kim zakochany?

Małpa: — My w sobie, każdy w każdym. Bosman: — Co ty... nie wiadomo?

Nie, skądże. Na dowód Małpa podwija rękaw. Sam sobie wytatuował: „Love” i „E.L.”. Ale to dziewczyna z podstawówki, teraz już przeszłość. Obecnie Małpa ma 16 lat, chodzi do szkoły zawodowej i jeździ do jakiejś paniny aż do Sopotu. A inni? Do spotykania się z dziewczyną przyznaje się tylko Bosman. Ona ma Wiesia na imię.

— Powiedz, czy spałeś z nią?

— Nie, to nie jest od tego dziewczyna. Ja ją chcę zatrzymać na stałe...

Bosman ma żółte spodnie, zielone polo, krzyżyk zwisający na piersi, 17 lat i delikatność uczuć. Ale tę ostatnią — tylko jeśli rozpatrywać go indywidualnie. Bo kiedy są całą paczką, Bosman jest twardy. Męski — jak mu się wydaje. „Blondyna — zdarza się mu krzyczeć na ulicy do dziewczyny — chcesz mieć syna?” Lub też: „E! (kiedy zaś dziewczyna się odwróci:) Albo nie”. Podobnie jest z innymi. Poza? A jednak wewnętrznie nie traci tych delikatnych uczuć. Jako paczka na pewno nie są bezgrzeszni. Ale jeśli przypatrzyć się każdemu z osobna, traci się pokusę do pośpiesznego skwitowania ich epitetem „chuligani” i rezygnacji z nich jako pełnowartościowych członków społeczeństwa. Dwóch z paczki jest w podstawówce, trzech w technikum, reszta w szkołach zawodowych. Uczą się do południa, potem odrabianie lekcji, ale co robić z czasem wolnym? Tak mnie właśnie spytała: „Czy mamy siedzieć cały czas w domu, w czterech ścianach? Czy pan był inny w naszym wieku?” Są zapalonymi kibicami „Lechi”. Jak był decydujący mecz o wejście do II ligi, z „Lechem”, to nawet do Poznania pojechali. Sami też kopią, mimo że co to za gra — na śródmiejskim podwórku. I tylko latem piłka ustępuje plaży. Poniedziałki przeznaczone są na coś innego. Idą wszyscy do DKF — za darmo. To jest w Młodzieżowym Domu Kultury, kiedyś chodzili tam również na modelarstwo, niektórzy z nich na balet, ale teraz już z tego — jak mówią — wyrosli. Czy w owym domu przy Hanki Sawickiej 33 nie ma nic innego, co mogłoby ich przyciągnąć?

— Najpierw się pochwałę — mówi dyrektor MDK d/s pedagogicznych, mgr Ireneusz Kowalczyk. — W stosunku do możliwości nasza działalność jest prężna...

Oglądam folder, plakaty. Rzeczywiście, szereg sekcji, pracowni, 25 imprez zaplanowanych na ten miesiąc.

— Co tu ukrywać — ciągnie dyrektor — stopień naszej atrakcyjności dla młodzieży nie jest zadowalający. Nasze formy działalności się zestarzały. W szkole nauka, a my też — każemy się uczyć albo coś dukać. To, co się u nas dzieje, jest zbyt „grzeczne”, a młodzież jest przecież różna. Uważam, że nawet z tą trudną można pracować, ale trzeba mieć ją tutaj na miejscu. Trzeba trafić w jej zainteresowania. Wymowny przykład, że największą popularnością cieszy się u nas sekcja tańca towarzyskiego. Wydaje mi się, że moglibyśmy przyciągnąć młodzież przez wprowadzenie nowych form działalności, takich jak dyskoteka, studio nagrań i przede wszystkim działalność klubowa.

— Czemu więc się tego nie robi?

— Po prostu moje „wizje” nie pokrywają się z punktem widzenia Wydziału Oświaty. Uchodzę za rozrabiacza.

Pytanie o czas wolny paczki z Czarnieckiego pozostaje więc aktualne. Może w Za-

rzędzie Dzielnicowym ZMS Gdańsk-Wrzeszcz na nie odpowiedzą? Poczucie odpowiedzialności za tę młodzież jest, chęci są, ale możliwości niewiele. Pieniądze dostać można tylko na kluby zarejestrowane w Zarządzie Głównym, a mnożyć takich nie sposób — brak lokali. Jeżeli chodzi o kluby przysiedlowe, to sporadycznie tylko zgłaszają się ADM z prośbą o patronat. Ale i wówczas dają tylko lokal, zazwyczaj bardzo mizerny. A skąd pieniądze na wyposażenie, działalność? Na dotację Zarządu Głównego w takich przypadkach Zarząd Dzielnicowy liczyć nie może. Sam natomiast ma w budżecie rocznym na działalność kulturalno-oświatową złotych 800 (słownie: osiemset). Ludzi do prowadzenia klubu — mówią szefowie wrzeszczańskie ZMS — dać możemy. Na pierwszy rzut choćby z wieczorowej szkoły aktywu — 50 społeczników pełnych zapału do pracy. Niech by tylko ADM chciały zapewnić warunki lokalowe, no i potrząsnąć do tego trochę kieszenia na wyposażenie i działalność takich klubów. Lokalnych, podwórkowych. Pod naszym patronatem, ale otwartych dla całej młodzieży.

Przyznam się, że to nawet konweniuję z moją prywatną wizją. Wyobrażam sobie, że z upływem lat rozwija się baza kultury, rekreacji. Jest coraz więcej teatrów, lodowisk, czytelników, młodzieżowych domów kultury (np. we Wrzeszczu na ok. 20 tys. młodzieży w wieku od lat 7—18 nie jeden, ale kilka) itd. Przy tym wszystkim pozostaje jednak miejsce na rolę „podwórka”.

Dostrzega się u nas konieczność wszechstronnego rozwoju miejsca zamieszkania. Że to powinno być nie tylko owo „M-ileś”, ale do tego i ośrodek sklepowy, usługowy... Żeby np. po mięso, z dzieckiem do przedszkola czy pożyczką do zacerowania nie trzeba było wędrować do centrum.

Do owych funkcji miejsca zamieszkania dodajmy jednak także kulturowo-rekreacyjne. Konieczny byłby podwórkowy basen czy boisko do koszykówki, gdy będziemy zasobniejsi. Ale rzeczy takie jak świetlica, kawiarenka czy własny klub młodzieżowy, to żaden luksus. Stać byłoby nas na nie już obecnie.

Wychowanie młodzieży — tak jak w szkole połączone jest z nauką — w miejscu zamieszkania splatałoby się z rekreacją, odpowiednio zaplanowaną i nadzorowaną. Po prostu wychowanie przez rekreację, rozrywkę — rzecz jak najbardziej realna. Miejsce zamieszkania, podwórko, wyrastałoby na równoprawnego partnera dwu tradycyjnie uznawanych: szkoły i domu rodzicielskiego. Rzecz tym bardziej kusząca, że rola tego ostatniego — ze względu na skupienie aktywności współczesnej rodziny wokół problemów bytowych (np. praca zawodowa kobiety) — jest w praktyce często problematyczna...

Na sąsiednim podwórku, pod skrzydłami tej samej ADM, jest przy ul. Czarnieckiego taki klub podwórkowy „Zdobycy”. Stoliki, krzesła, miniaturowy bilard i stół do ping-ponga, ale pomieszczenie adaptowane z byłej kotłowni, ciasne, ciemne, ponure. Opiekun z ramienia Rady Osiedlowej zaabsorbowany na razie inną pracą.

— My tu przychodzić nie będziemy — mówią chłopcy z paczki. — Bójki tu bywały, a poza tym po prostu nie podoba nam się...

Czyli coś z owej wizji przyszłości już jest, ale to jeszcze nie to. Tak więc na razie chłopcy „szlifują bruk”.

Ze skargi do kolegium cytat ostatni: „Zamknęli w piwnicy ob. K. i jego syna Adama, którzy zeszli tam po węgiel i nie otworzyli mimo walenia w drzwi ze strony zamkniętych. Drzwi otworzyła dopiero żona ob. K., Teresa, zaniepokojona długim nieprzychodzeniem męża i syna do domu”.

— Nie wiedzieliśmy, że K. i jego syn są w piwnicy. Bawiliśmy się w chowanego i Kisiu tam właśnie wszedł — to jego zamknęliśmy, dla kawału. A potem usłyszeliśmy walenie w drzwi i głos K.: „otwieraj, skurwiszyny”. Tośmy przerażeni uciekli...

I tak na każdym kroku: konflikty, zamierzone czy nie. Bo kolidują dwa prawa: ogółu mieszkańców do spokoju i młodzieży do wyżycia się, zabawy, rozrywki. A problem w tym, żeby te prawa pogodzić. Bo oburzać się, gniewać na nie, to jak gniewać się na wiatr, że wieje.



Zrzeszenie regionalne
Kaszubów.



Gryfy

Gryf jest symbolem Pomorza Gdańskiego i Zachodniego. Przedstawialiśmy go na łamach „Liter” w różnych postaciach, omawialiśmy jego rodowód. Obecnie przedstawiamy dwie pieczętki z wizerunkiem gryfa, a mianowicie czynnego w latach trzydziestych Towarzystwa Ochrony Kaszubskiej Sztuki i Popierania Przemysłu Ludowego w Kartuzach oraz założonego w 1929 r. w Kartuzach Zrzeszenia Regionalnego Kaszubów. Trzeci gryf pochodzi z zapro-

szczenia na zorganizowany przez Zrzeszenie Regionalne Kaszubów uroczysty obchód 50-letniej rocznicy śmierci Floriana Ceynowy (1931). Reprodukowane gryfy pochodzą ze zbiorów Feliksa Marszałkowskiego z Kartuz.

Będziemy wdzięczni naszym Czytelnikom, jeśli zechcą wspierać naszą rubrykę różnorodnymi symbolami gryfa. Wszelkie dokumenty, po dokonaniu reprodukcji, zwrócimy bezwzględnie. (b)

Rozmowa z dyrektorem i redaktorem naczelnym WM Edwardem Mazurkiewiczem



Wydawnictwo Morskie wczoraj i jutro

— Jest Pan jednym z najmłodszych, może najmłodszym w Polsce dyrektorem i redaktorem naczelnym instytucji wydawniczej. Czy nie paraliżuje to Pana w pewnym stopniu?

— Na pewno tak, ale że pracuję już czwarty rok w ruchu wydawniczym a wyrośniętym z środowiska humanistycznego Wybrzeża problemy wydawnicze nie są mi aż tak obce. Po prostu kontynuuję pewne rzeczy, które rozpocząłem już dawniej.

— Jednak wydawnictwo to nie tylko humanistyka, nie tylko rzeczy piękne, ale także sprawy przyziemne, rzekłbym nawet trywialne, jak gospodarka papierem, finansami...

— Staram się poznać te dziedziny.

— Wobec powyższego, skoro godzi się Pan z sytuacją i nie paraliżuje ona Pana specjalnie, czy mógłby Pan scharakteryzować pokrótce „Wydawnictwo Morskie” od strony potencjału, a także porównawczo na tle innych oficyn wydawniczych w Polsce?

— Na taki temat można by niemal napisać pracę naukową. Jest na Uniwersytecie Gdańskim dyscyplina tego typu, profesor Karol Głombiowski zapowiedział nawet kilka prac magisterskich na temat „Wydawnictwa Morskiego”, a Pan każe mi robić taką analizę porównawczą w pięć minut?...

— „Wydawnictwo Morskie” jest jednym z kilkunastu polskich wydawnictw, zatem można chyba jakoś ukazać je na ich tle w sensie potencjału, liczby publikowanych arkuśszy, tytułów, możliwości...

— „Wydawnictwo Morskie” należy do średnich wydawnictw w Polsce, a czy ono będzie się liczyło, czy nie, to zależy będzie już od autorów, od tematów, naszych ambicji, od tego, co będziemy wydawać i jak.

— Co znaczy „średnie” wydawnictwo?

— Średnie w sensie ilościowym, jeśli idzie o wydawanie książek, bo gdy mowa o jakości, to powiadam, że może być małe wydawnictwo i bardzo przy tym prężne, może też być odwrotnie...

— Czy ilość tytułów i nakład łączny dać się ująć w jakichś, choćby przybliżonych, liczbach?

— „Wydawnictwo Morskie” wydaje w tym roku 1300 arkuśszy, w nakładzie łącznym 998 tysięcy egzemplarzy. Tytułów 72. W roku 1973 sytuacja ulegnie zmianie. Już w tej chwili otrzymaliśmy większy przydział papieru o 20%, zgodnie zresztą z zapowiedzią dyrektora Naczelnego Zarządu Wydawnictw, Jerzego Skórnickiego. I właśnie jesteśmy w toku układania planu na rok 1973.

— Czy zwiększony przydział papieru a tym samym zwiększony potencjał są wynikiem rozszerzonych projektów wydawniczych?

— Istnieją wstępne, konkretne projekty, zgłoszone na naradzie, jaka odbyła się w Gdańsku z udziałem władz i zainteresowanych środowisk, w tym Związku Literatów Polskich. Nakłady dotychczas często były zbyt niskie, mało było wznowień, tym samym książki znikwały z półek za szybko, gdy powinny one być osiągalne przez dłuższy czas... Była to zresztą bolączka ogólnopolska...

— „Dyrektorem i redaktorem naczelnym „Wydawnictwa Morskiego” jest Pan od niedawna. Objął Pan placówkę, która istnieje ponad 20 lat — jeżeli policzymy również wstępny okres Wydawnictw Komunikacyjnych — która ma pewną tradycję, pewien dorobek. Istnieje, słowem, dziedzictwo, z którym trzeba się liczyć. Wydaje mi się jednak, że do tego dziedzictwa trzeba podejść krytycznie, to znaczy należy je różnicować. W przeszłości nie wszystko było tak, jak należy. Przypomnę tu pokrótce główne zarzuty, jakie środowisko literackie i publicystyka formułowały pod adresem „Wydawnictwa Morskiego” w przeszłości. Pierwszy wiązał się ze strukturą Wydawnictwa. Jest ono jednym z nielicznych w Polsce, może poza „Śląskiem”, niejednorodnych, pracujących na użytek przemysłu, techniki i gospodarki morskiej a zarazem służące sztukom pięknym, muzom. Drugi zarzut wiązał się z nadmierną dominacją tego działu, rzekłbym technicznego, nad humanistyką i literaturą piękną. Wręcz wydawało się, że niektóre działy literatury pięknej służyły do finansowania książek naukowych. Miały one obowiązek „zarabiać” na pokrycie strat w dziale technicznym. No, i z tego wynikał zarzut trzeci, że polityka wydawnicza w zakresie literatury pięknej preferowała literaturę łatwo sprzedającą się, czyli rozrywkową, pozbawioną większych znaczeń i wartości. Te trzy uwagi związane z dziedzictwem, z tradycją Wydawnictwa, wymagają krytycznego podejścia. Czy obecne kierownictwo „Wydawnictwa Morskiego” posiada już własny, sprecyzowany stosunek do tych problemów?

— Mówi Pan o tradycji, o owych 20 latach... Tu najważniejszym osiągnięciem „Wydawnictwa Morskiego” jest wydanie w seriach „bibliotek” okretowca, nawigatora, transportu morskiego, oceanologii i hydrotechniki oraz techniki i gospodarki morskiej wielu książek, które rzeczywiście zajmują specjalną pozycję w nauce polskiej i na rynku ogólnopolskim. Te serie będą kontynuowane, ale będą również ukazywać się książki poza seriami..., to znaczy: tematy z „bibliotek” ukazały się również w ujęciach popularnych, w dużych nakładach, abyśmy mogli mówić o, w dobrym sensie, popularyzacji, o przekazywaniu tej wiedzy szerszym

kreśm społeczeństwa. Bo tamte książki były przede wszystkim dla fachowców czy dla studentów... Jeśli zaś mowa o literaturze pięknej, o której Pan wspominał, to rzeczywiście unikano w przeszłości literatury trudnej, a tym samym niskonakładowej. Mało było książek z dziedziny krytyki literackiej, esejistyki, czy ambitnej poezji. Nie brakowało natomiast łatwej, rozrywkowej. Będziemy rozwijać rodzaje trudniejsze, bo one po prostu muszą być wydawane, skoro mają kształtować świadomość kulturalną społeczeństwa i odpowiadać jego potrzebom.

— Nasze uwagi, a mówię w tej chwili jako przedstawiciel środowiska literackiego, dotyczyły obarczania literatury pięknej zadaniem „utrzymywania” działu literatury naukowo-technicznej...

— Taka tendencja, jeśli istniała, była niesłuszna, bo preferowała poszukiwanie literatury łatwej.

— Rozumiem Pana w ten sposób, że „Wydawnictwo Morskie”, nie zmieniając swej struktury (będzie ono nadal „wielobranżowe”), zrewiduje swój stosunek do tego zaniedbanego obszaru, jakim były literatura piękna, esejistyka, prace z zakresu naukowej humanistyki.

— Tak.

— Czy ma Pan i czy mają Pańscy koledzy-redaktorzy określone koncepcje, które — zrealizowane — mogłyby stopniowo zmienić opinię, jaka dosyć powszechnie przywiązana jest do znaczków z nadrukiem „WM”? Opinia ta mówiła, że „WM” dostarcza na rynek tylko dania łatwostrawne.

— Koncepcje nie są nowe. W redakcjach od dość dawna dobijaliśmy się o dobre książki, a najlepszy dowód na to, że niektóre z nich już się ukazały i zostały zauważone przez krytykę. Jest już „Morska nawigacja do Lubeka” Borzymowskiego, pierwsze pełne wydanie powojenne tego poematu, przygotowane przez prof. Romana Pollaka, który przed śmiercią zdążył zobaczyć gotową książkę..., mamy list od niego z podziękowaniem; że podobała mu się; cieszymy się, że jeszcze zdąży ją zobaczyć... jest „Conrad w Polsce” Zabierowskiego, który zebrał już pierwsze pozytywne recenzje... jest antologia szwedzkiej prozy morskiej „Drogi na głębinie”, przetłumaczona przez Zygmunta Łanowskiego z jego wyborem i wstępem; z przyjemnością czytaliśmy recenzję Jarosława Iwaszkiewicza w „Życiu Warszawy”, czy „Półwiecze Polski na morzu” prof. Donalda Steyera. Wkrótce ukaże się w sprzedaży książka eseistyczna Marii Janion pt. „Romantyzm, rewolucja, marksizm”, traktująca o sygnalizowanych w tytule problemach z pogranicza historii literatury, sztuki i historii idei. Zenona Ciesielskiego o polskiej kulturze w Skandynawii. Bogusława Drewniaka „Teatr i film »Trzeciej Rzeszy«” oraz „Historia szkolnictwa morskiego w Polsce” Kazimierza Kubika, czy wspomnienia Józefa i o Józefie Borowiku „Życie jak płomień”. Są to pierwsze książki tego typu. Pójdziemy dalej w tym kierunku, bo mamy następne umowy i projekty, które zostaną zrealizowane. Będą następne conradiana.

— Może kilka słów o ciekawszych projektach?

— W zakresie kontynuacji tradycji zabytków piśmiennictwa w szerokim pojęciu ma-

rynistyk, bez ustalania jej definicji, ukażą się kolejno trzy poematy staropolskie: „Pamiętka Janowi na Tęczynie”, Jana Kochanowskiego, „Droga do Szwecyj” Andrzeja Zbylitowskiego i Tomasza Grotkowskiego „Podróż morską”, a następnie antologia pomorskiej poezji renesansowej, przygotowywana przez prof. Bronisława Nadolskiego. Sporo powinniśmy odrobić w dziale literatury XIX-wiecznej; jesteśmy w kontakcie z pracownikami naukowymi, głównie z Uniwersytetu Gdańskiego, niektóre projekty ustaliliśmy, ale za wcześnie jeszcze, by o nich mówić. Łatwiej o wieku XX. W najbliższym czasie ukażą się dwa tomy wyboru najlepszych rzeczy morskich S. M. Salińskiego a następnie B. Rychlińskiego. To jeden nurt — od najdawniejszych zabytków do współczesności. Chcemy wyszukiwać i pokazywać najlepsze, najbardziej wartościowe zabytki naszej kultury. W latach 1883—85 ukazała się w Poznaniu pierwsza polska encyklopedia morska — kto wie, czy nie warto pokazać ją na zasadzie swego zabytku...

— A marynistyka światowa? Czy Zygmunt Łanowski zamierza kontynuować swoją tak piękną rozpoczętą pracę?

— Łanowski przygotowuje w tej chwili dla „Wydawnictwa Morskiego” tom poezji szwedzkiej, morskiej, jeśli to tak można nazwać... A antologię? W tej chwili na ukończeniu jest antologia morskiej prozy duńskiej. Przygotowuje ją Pani Maria Krysztofiak. Przygotowuje się także antologię: polską, rosyjską i radziecką; w toku rozmów — antologia norweska i angielska... W serii z fregatą ukażą się takie nazwiska jak: Defoe, Marryat, Melville...

— Jak kształtuje się w tej chwili stosunek „Wydawnictwa Morskiego” do pisarzy gdańskich? Sporo autorów gdańskich odwróciło się w minionym czasie od miejscowego Wydawnictwa. Czy są szanse na poprawę klimatu?

— Gdybym powiedział, że to konieczność, byłoby to banał, bo Wydawnictwo stoi przeciw literatom. Jeśli nie będzie pisarzy, nie będzie też Wydawnictwa. Odbyłem wiele rozmów, także z tymi, którzy odwrócili się i wydawali w innych wydawnictwach. Wielu z nich obiecało przynieść książki, w tym Augustyn Necel, Jan Piepka, Franciszek Fenikowski, Zbigniew Żakiewicz. Niektórzy piszą powieści na konkurs, ogłoszony przez nas i przez towarzystwa kulturalne, a związane tematycznie z morzem i Pomorzem. Nowe książki złożyli w Wydawnictwie: Lucyna Legut, Lech Bądkowski, Malwina Szczepkowska, Sławomir Sierecki, Stanisław Dąbrowski, Mirosław Stecewicz. Wydajemy tom wierszy zebranych Franciszka Fenikowskiego, w przygotowaniu wybór Mieczysława Czychowskiego. Przygotowuje się także antologia poezji kaszubskiej od jej pierwowcin aż do współczesności, redagowana przez zespół autorów. Jednocześnie planujemy wydanie pracy krytyczno-literackiej, napisanej przez Jana Drzeżdżona, o problemach literatury kaszubskiej w latach II Rzeczypospolitej, traktującej zarówno o poezji, jak też o prozie i dramacie.

— Dotknęliśmy w ten sposób problemów regionu. Do regionu należą także pisarze tacy jak Wybicki czy Przybyszewski...

— Tak, ale region traktowany jako mit miejsca, nie zaś w rozumieniu XIX-wiecznym. Na rocznicę autora hymnu narodowego przygotowuje się tom wierszy zebranych Józefa Wybickiego w opracowaniu doc. Edmunda Rabowicza. A dramaty Przybyszewskiej, aktualne choćby ze względu na niedawną premierę „Thermidora” w Gdańsku... Te trzy, które po niej pozostały, są w tej chwili w opracowaniu, a Jerzy Krasowski pisze wstęp do książki...

— Nie chciałbym, aby nasi czytelnicy odnieśli wrażenie, że absolutyzujemy dział literacki „Wydawnictwa Morskiego”. Z wielkim zainteresowaniem śledzimy również publikacje z dziedziny literatury fachowej, morskiej, oczywiście te spośród nich, które mają pewną wartość także dla niefachowców, jak np. „Architektura okrętów” Urbanowicza, „Życie morza” Demela, czy „Wspaniały

świat żeglarstwa” Głowackiego. Czy i tu notuje Pan jakieś nowe projekty?

— Jeśli mowa o „Wspaniałym świecie żeglarstwa”, to przygotowuje się obecnie drugie, poszerzone i zmienione wydanie, z przedmową prof. Doroszewskiego, który sam przed wojną był żeglarzem... Najwybitniejszy znawca historycznych dzieł budownictwa okrętowego, doc. Przemysław Smolarek, przygotowuje dla nas wielką historię żeglownej. Będzie to książka-album, która zostanie wyposażona w najbardziej efektywny w dotychczasowej praktyce wydawnictwa aparat edytorski. W serii „Biblioteki Morza” mamy kilkanaście niezwykle interesujących tytułów, popularyzujących dzieła egzystencji człowieka na morzu, na przykład ukażą się: „Zwyczaj i ceremoniał morski” Koziarskiego, Koczorowskiego i Pluty, „Mity i legendy morskie” Z. Drapellowej, „Królewski statek »Batory«” J. Pertka, „Transatlantyki” W. Urbanowicza, „Współczesne statki handlowe” J. Piwońskiego oraz dawno oczekiwana „Pierwsza wojna światowa na morzu”. To dla przykładu kilka tytułów. Jerzy Pertek przygotowuje dla nas „Kronikę Polski na morzu” oraz „Polskich ludzi morza — mały słownik biograficzny”. W serii „Sławni żeglarze”, w której ostatnio ukażyły się książki Dawida Lewisa, Bernarda Mointesiera, Aleca Rose, będzie wydanych kilkanaście tytułów, relacjonujących najświetniejsze wyprawy żeglarskie światowe i polskie, w tym: Robina Johnstona, Alexa Carocco, Leonida Teligi, Dariusza Boguckiego, Andrzeja Rościszewskiego. W przygotowaniu są również książki popularyzujące środowisko morskie zarówno autorów polskich jak tłumaczenia.

— A co z zakresu prac ściśle fachowych?

— Przygotowujemy do druku kilkutomowe dzieło prof. Hückla „Budowle morskie”. Piszemy następną książkę prof. Doerffera, „Technologia wyposażenia statków”. Będzie wydana nowa książka na temat „Konstrukcje kadłuba okrętu” — Wewiórskiego i Wituszyńskiego. Rozpoczynamy druk podręczników dla morskiego szkolnictwa średniego — około 35 tytułów. Pierwsze już są w opracowaniu. Prowadzimy rozmowy na temat różnego rodzaju poradników — przeważnie przeznaczonych na poziom średni, jakkolwiek będą i takie jak np. „Poradniki kapitana statku handlowego i rybackiego”, „Hotelarstwo okrętowe”, „Poradnik stewarda”, i inne. W tej dziedzinie widzimy wiele do zrobienia i prowadzimy intensywne rozmowy z potencjalnymi autorami. Zamierzamy wydawać książki popularnofachowe o statkach, morzu i pracy na nim. W konspektach i fazie rozmów jest wiele innych projektów. Tematy potrzebne przemysłowi a wymagające zbyt długiego czasu opracowania przez polskich autorów będziemy tłumaczyć z literatury krajów o dużych tradycjach i doświadczeniach morskich, na przykład zawieramy umowę na książkę Chengi Kuo „Komputerowe metody projektowania statków” oraz przygotowujemy tłumaczenie pracy zbiorowej pod redakcją Rathza na temat inżynierii morskiej. Tłumaczeń będzie znacznie więcej, jak również naszej literatury fachowej zarówno dla poziomu niższego jak i na wysokim poziomie naukowym, bo te dziedziny były ostatnio zaniedbane.

— Poza morzem szeroko pojętą marynistyką poza literaturą piękną, eseistyką, filologią istnieje jeszcze trzecia dziedzina, która budziła pewne zastrzeżenia krytyczne, mianowicie region, jego dzieje. Wychodzę z założenia, że historia wciąż jeszcze jest najlepszą nauczycielką świadomości historycznej, politycznej, obywatelskiej. Krytyka mówiła, że „Wydawnictwo Morskie” wykazywało w tej dziedzinie stosunkowo mało inicjatywy, ograniczając się raczej do prac wydawanych „na zlecenie”. Tymczasem historia Przymorza, Pomorza, Powiśla... i tak dalej... łącznie z historią Gdańska jest wdzięcznym polem dla wykazania własnej inicjatywy.

— Tu mamy szereg nowych umów, podjęliśmy nowe inicjatywy. Utrzymujemy bezpośrednie kontakty z naukowcami UG i UMK w Toruniu, a także naukowcami Poznania, Wrocławia, Warszawy. Najważniejszym wy-

darzeniem edytorskim w tej dziedzinie czekającym nas w najbliższych latach jest pięciotomowa „Historia Gdańska” — wielka synteza badań wielu naukowców pod kierunkiem prof. dr. Edmunda Cieślaka.

— Zapowiadana jest od wielu lat. Kiedyż się wreszcie ukaże?

— Naukowcy pracują nad pierwszym tomem.

— Więc pierwszy tom...?

— W roku 1974. W najbliższym roku ukaże się natomiast wznowienie „Dziejów Gdańskich”. W stosunku do planowanej „Historii Gdańska” są one pewnego rodzaju rekonesansem. Inną pracą — zespół autorski pod kierunkiem doc. Wacława Odyńca już powstał — jest „Historia Pomorza Nadwiślańskiego”. Również z inicjatywy „Wydawnictwa Morskiego” powstanie po szczegółowych badaniach historia okresu okupacji w Gdańsku i na Pomorzu. Będzie ona uzupełnieniem wielką pracę prof. Madajczyka o dziejach okupacji hitlerowskiej w Polsce, w której Pomorze ze względu na szczupłość badań zostało potraktowane nieco marginesowo. Na razie w celu dopełnienia doraźnej luki zawarliśmy umowę na popularnonaukową wersję dzieł okupacji na Pomorzu. Nie chcemy jednak traktować historii Pomorza w sensie regionalnym. Tereny przymorskie to przecież wzajemne determinanty morza i lądu i na to chcemy patrzeć w sensie znacznie szerszym: w tłumaczeniu jest wielka praca francuskiego uczonego Fernanda Braudela „Morze Śródziemne i kraje śródziemnomorskie w epoce Filipa II”, oraz „Dzieje Hanzu w XII i XVII w.” Philippe’a Dollingera. Przygotowujemy naukową monografię dzieł Marynarki Wojennej w okresie II wojny światowej Edmunda Kosiarza. W oparciu o najwybitniejszych przedstawicieli gdańskich i pomorskich środowisk naukowych rozpoczynamy wydawanie serii eseistycznej w ramach, której w roku 1973 ukażą się szkice prof. Romana Wapińskiego pt. „Historia — Współczesność”.

— Czy poszczególne podregiony i miasta doczekają się również swoich monografii naukowych?

— Szereg już się ukazał. Nasze zainteresowania w tym zakresie są jednak szersze, niż Pomorze. Sięgamy po tematy przymorskie i krajów nadbałtyckich. Praktyka wykazuje, że najbardziej interesujące książki powstają często właśnie w wyniku inspiracji wydawcy.

— Rzecz w tym jednak, by wydawnictwo zechciało wychodzić, inspirować, zachęcać.

— Tak, zgadzam się. Rola wydawcy: inspirować, być mecenasem, pełnić rolę kulturotwórczą.

— Dziękuję Panu za rozmowę.

Rozmawiał: MICHAŁ MISIORYN

Andrzej Sip

Sen nr 1

Stosy wysokiej jakości
onieśmieliły mój drobny chód
panna czyściła szpony
pokryte srebrno-złotym lakierem
prysła szyba aż uszy zatrzeszczały
i opony ktoś zatrzymał mi na plecach

po ulicy okrągłej od stońca
szła kobieca noga
ludzie skryci za framugami cienia
wykręcili w znaki zapytania
swoje mleczne twarze
Volszswagen przyczajony jak żaba
połknął nogę i zarechotał

a ja upojony ilością szwedzkich kiosków
pieściłem stopami
kamienny brzuch Skandynawii

POEZJA MŁODYCH

Stanisław Gostkowski

* * *

nie trzeba było wypuszczać ptaków ta dzikość skrzydeł
wrodzoną białością mew kołuje otwartymi dziobami
nad obszarem polowania gdzie pluskanie zwierzyny
przyprawia o radość otwarte szpony orla mówiłem
tyle razy że łagodność gołębia to tylko symbol
lotu którego ścieżce odbędzie się w godzinę zakrzywioną
skośnymi oczami jaskółki co przynosi burzę
wzdętego brzucha chmur lepiej rozchyl ramiona
niech popatrzę na okrągłość niech oddalę
krew splukiwaną ciągłością kropel bo pióra
po beznadziejnej bitwie zabierze wiatr
a nam oddzielnym zamkniętą przestrzenią nagości
pozostanie padlina ciała której i tak każde z nas
nie weźmie choć mówiłaś że jesteś wielkim ptakiem.

Emma Kostjuk

* * *

panny motylami zaszpilone
w epolety męskich ramion
w kolumnowych białych dworach na posadzkach blaskiem szklonych
ktoś umarł z miłości czy z tęsknoty konał
tam śnione gdzie wachlarze zasuszone drzemią
z sercem zapomnianym w nutach na klawikord
a technicznie lawendy układało szale na dolmanu szamerunkach
czas prababki na tekturze fotografii klejony jedwabiem
powielany iza w palących rzesach
grzeszny romans pustych spełnień
kartkowany żarliwie
w milczeniu dławionych łkań

Witold Gauza

Milczenie

głowa dnia stoczyła się po horyzoncie i krwawi
maczugą deszczu w żelbetowe stuka dziaśła
na ostrzu wieży podarta łopocze

już oczy dnia toczą się jak koła po jezdni
pełne wścieklej czerni rozmazują niebo
i kreśli piorun kredowe zęby na wielkim murze

Harry Duda

Zapach dymu

zapach dymu ognisk ciążenie gałęzi
pierwszy zachwyt — przeszłość starsza od pokoleń
rozmańczony teatr wysokopiennych paproci
w tkankach i utajeniach białej pajęczyny
niezdrążalne kręgi i pajak — świadomość

schody oceanów schnące w tarasy
gleby ciężkiej i tłustej od tyłu śmierci
nie ma kotwic — pływa się tak lekko
nie wbrew ale mimo grząskiej prawdy

przecież będą sztormy — powrót w niewiadome
po drodze skały odbiorą oddech a czymże jest kość
choćby najkrwawiej wbita w dno

Andrzej Guzek

Streszczanie świtu

I jak w najciemniejszych sztychach Dürera
albo tego Holbeina zwanego Młodszym
przestrzeń tu ołowianą rozkrawają wrony
skrzydłami zdobionymi barwą opastej intrygi.
Ich krzyk jest gładką szeleszczącą cmokań.
Jakimś „Ach” pracowicie schylonym
nad ostatnią cyfrą
która w pianach zakistych od żebraczych westchnień
czasem oko ukaże
rybie oko Celu.



rys. R. STRYJEC

Jan Samsonowicz

Chrystus bezimienny

Szedł
z krzyża zdjęty
— wiatr gonił przed chaty
gdy pokorę chwalił
czarne sople u drewnianych ramion
— im tylko twarze szare
jak opłatek ostatniego listu
świeciły ku ziemi —
w dobroci lasu wyszli mu naprzeciw
i krzycząc
tyś z nami
powiesili na drogę żeby błogosławił

Jan Król

Dziewczyny

Dziewczyny najpiękniejsze są wieczorem
kiedy słońce w ulice spada płonącym jabłkiem
i drzewa stygną
zaskuchane w szelest ulic

Dziewczyny idą wtedy ciężko i długo
w głębiach asfaltu topią swoje błyszczące oczy
wznoszą piersi i nieruchomieją
przeżalone bijącym sercem

Wacław Maksymowicz

Saga
o Świętym
Wojciechu

Świętego ciała
Wojciecha kupicie
zatem w miejsce
czerwonej ćwierci jego
dacie
garść srebrnych monet
do zrównania szali

odrzekli na to
nie dla srebra przecie
ten Święty ziemie waszą
zdeptał

dziewczęta dla was rozpuścili kosa
i biegną w rzekach topić białe wianki
zatem dacie
skrwawione ćwierci ciała
waszych dziewczyn

na znak zgody
postowie milcząc
pokłonili głowy.

Stanisława Fleszarowa-Muskat

Zanim narodzi się książka

Oczywiście najpierw jest temat. Najpierw musi być temat — jako chęć ustosunkowania się do określonego problemu, określonej sprawy, nie jako fabuła. Ona jest formą tej wypowiedzi i rodzi się później, komponowana powoli z ludzi, wydarzeń, z wiedzy o życiu, z zasobów pamięci, z przeżytych niegdyś uczuć, które mogą być przełożone na uczucia innych ludzi, powołanych przez pisarza do życia, wypożyczone im niejako, aby mieli dość siły do udowodnienia swoich racji.

Ale najpierw jest temat. Czasem od początku jasny i sprecyzowany, od początku odpowiadający wyraźnie na pytanie: po co ma być napisana ta książka? Pisarz prawdziwie wierzący w powagę swego zawodu i w zaufanie swoich czytelników ma prawo pytać siebie: po co musi być napisana ta książka?

Niekiedy jednak jest to błędzenie, wachanie dalekich woni, przyglądanie się ulotnym obrazom, z których na razie nic nie wynika, gonienie — pełne nadziei — za jakąś barwą, głosem, nutą... Są to pełne niepokoju chwile pierwszych poszukiwań, bardziej w sobie, niż na zewnątrz — szczęśliwi, którzy od razu znajdują poza sobą miejsce — jak plac na budowę — swoich myśli.

Ale w końcu już jest! Właśnie to, przed wszystkim innym! Trzeba się do tego zabrać zaraz, natychmiast, dopóki nie ostygnie, dopóki olśniewa — zapada decyzja, wiemy co będziemy pisać. Teraz pozostaje pytanie — jak?

Najbardziej lubię właśnie te chwile... Są największą intymnością pisarza, największą radością w tworzeniu. Wszystko ode mnie zależy, powołam do życia ludzi takich, jakich sobie wyobrazę, stworzę ich po to, żeby działali dla udowodnienia jakiejś sprawy, dla ukazania jej prawdziwym ludziom, których — być może — zdołają przekonać. Zaczną żyć, pracować, kochać i nienawidzić, cierpieć, przeżywać wielkie uniesienia i małe radości, czasem może wymkną mi się i utracę nad nimi panowanie, ale czy to nie będzie właśnie to, ku czemu dążę?

We wstępie do mojej pierwszej powieści „Pozwólcie nam krzyczeć” napisałam: „Miełście wielką władzę nade mną, o wiele większą, niż ta, która się wam należała. Podejrzewałam nieraz, że to nie ja wam, ale wy mnie dyktujecie swoje losy... Ale może właśnie dlatego nawet dla mnie staliście się tak bardzo żywymi ludźmi, że uważałam was bardziej za partnerów w pisaniu, niż za bohaterów mojej książki.”

Sądzę, że było tak nie tylko z tą książką, ale i z wszystkimi następnymi. Rysunek psychologiczny postaci wyznaczał im ich los, ich przyszłość — konsekwencje takiego nawiązywania twórczego są oczywiste.

Kreując postacie nie dowierzam jednak tylko mojej wyobraźni. Jestem pisarzem realistą, tworząc fikcję powieściową dbam o to, aby problem i konflikt był w niej prawdziwy, wzięty z mego czasu i mego miejsca na ziemi, a ludzie, którzy go ukażą, zbliżeni do tych, którzy naprawdę mogliby go przeżywać. Zbliżeni, ale nie tacy sami, nie ci sami — usilnie dbam o to, żeby nie kopiować ludzi, żeby zbierając materiał do urealnienia książki, do wzbogacenia jej o prawdziwą barwę i prawdziwy ton, nie dać się zasugerować moim rozmówcom ich własną — niekiedy dużą — indywidualnością. Od powieści do reportażu wtedy tylko jeden krok, ale choć bohaterowie tak bardzo żywi — przestają być żywi w literacko, przestają być jako postacie.

Unikam więc przy zbieraniu materiału dosłowności, którą daje bezpośrednia obserwacja.

Staram się, aby środowisko, w które wchodzę, i o którym chcę pisać, potwierdziło mi mój twórczy zamysł; nie pytając o to wręcz, muszę wywnioskować, czy jest to dla tego środowiska problem, czy konflikt prawdziwy. Zdarza mi się, że rezygnuję z zamiaru, nie uzyskawszy takiego potwierdzenia.

No i kostium powieści. To jakieś obrastanie tematu światem, przedmiotami, z którymi styka się człowiek, właściwe mu w tych kontaktach gesty, słowa — cała niepowtarzalność rodzajowa miejsc i chwil, które później mają pojawić się w książce.

Napisałam, że unikam dosłowności, szeroki jej obszarów, które przykryłyby mi moją fikcję, czyniąc z niej inny gatunek, fotograficzne odbicie rzeczywistości — pozwalam sobie jednak niekiedy, i cieszę mnie to bardzo, upamiętnić jakiś drobiazg, smakowity szczegół, który czasem łączy moich ludzi „ogładanych” z tymi, których stworzyłam.

Tak np. przypominam sobie moją wizytę w pewnym nadleśnictwie kościerskiego powiatu, gdzie „obrasła światem” moja książka „Szukając gdzie indziej”. W zasadzie, jadąc tam — wiedziałam już kim będzie mój główny bohater. Wydawał mi się w pełni uformowany jako indywidualność, jedynie zawodowa strona jego osobowości nie przedstawiała mi się dość wyraziście. I oto — podczas wertowania ksiąg nadleśnictwa w gabinecie mego gospodarza wzrok mój pada na piękną szafę z bronią, znakomicie wyposażoną w różne flinty, fuzje, dwururki i sztucery, ale zapewne nie tylko ze względów na bezpieczeństwo zamkniętą na solidny zamek. Otóż, jak z rozmowy później wynikało, mój rozmówca w zasadzie — nie strzela. Po prostu jakoś tak... — nie strzela i koniec. Jelenie tratują mu owies, dziki ryją kartoflisko, zające obgryzają młode drzewka w ogrodzie, całe towarzystwo prawie że oswojone, bo pan nadleśniczy — nie strzela. Zawiedli się moi znajomi, przypuszczając, że przynajmniej posłuchać będą mogli o combrach sarnich i pieczeniach z dzika — ja nie czułam się zawiedziona. Mój przyszły bohater zyskał nową piękną, ludzką cechę — także nie strzelał do zwierzyny, jak mój rozmówca, wprowadzający mnie w tajniki „leśnego” fachu.

Pojawiają się jednak na warsztacie utwory, które nie potrzebują żadnych wsparć, żadnych umocnień realiami, „materiał” do nich zbierany był przez lata całe, sam się niejako w nas zbierał i gromadził, rósł i wreszcie upomina się o siebie. Absurdalne oczywiście jest twierdzenie, że pisarz powinien pisać tylko o tym, co sam przeżył — stąd na przykład powątpiewania w obraz wojny w książkach młodych pisarzy, czy filmach młodych reżyserów — ale przecież własne ma jakąś szczególną siłę, uwalnia od żmudnego odtwarzania rzeczywistości, tę rzeczywistość po prostu ma się w sobie, nosiło się ją od dawna, widzianą i odczuwaną, najzupełniej własną.

Nie wiedząc o tym, ani się o to nie starając, gromadzimy przecież co dzień doznania i obserwacje, rozmawiamy z ludźmi, oglądamy różne miejsca, różne przedmioty. Jest to jakby nasz bank, z którego stale czerpiemy, za napełnienie którego płacimy nieraz bardzo wysoką cenę. Nigdy też nie wiadomo, kiedy i w jaki sposób coś do nas wróci.

Dwa lata temu byłam z wycieczką na Kaukazie. Któregoś dnia nasza grupa wybrała się do Suchumi. Na kilka kilometrów przed tym miastem nasz autokar zatrzymał się przed grota, wykutą w skale, w której mieściła się winiarnia. Większa część wycieczki udała się oczywiście na degustację słynnych win ab-

chaskich, a ja zatrzymałam się przed małą klatką, w której przed grota w upale i kurzu leżał ogromny niedźwiedź z gór kaukaskich, nazywany tam amfsem. Cały dobry nastrój przysł w jednej chwili, nieszcześliwie zwierzę leżało z zamkniętymi oczyma w klatce tak małej, że z trudnością mogło się w niej wyciągnąć. Pod głowę rzucono mu dwie popękane opony. Nie mogłam tego obrazu zapomnieć przez cały dzień i dłużej — a po powrocie do domu napisałam opowiadanie „Prawdziwy wielki płacz” (druk. „Perspektywy”, kwiecień ub. r.), w którym jawi się klatka z niedźwiedziem przed kaukaską grota, jakkolwiek więziony w niej amfsz jest tylko wiążącym akcję pretekstem filozoficzno-moralnych.

Wszystkie bowiem nasze poznania, rozległość patrzenia na świat, gromadzenie zasobów z doświadczeń i obserwacji — prowadzi zawsze do tego samego: do pogłębiania wiedzy o człowieku, tej nigdy do końca nie zbadaanej tajemnicy, jaką jesteśmy sami dla siebie. Sami dla siebie nadzieją i radością, sami dla siebie — największym zagrożeniem.

Spotkanie z Kazimierzem Radowiczem

Kazimierz Radowicz znany jest nie tylko czytelnikom, ale i słuchaczom Wybrzeża; jest bowiem nie tylko autorem książek ale i adaptacji radiowych oraz słuchowisk oryginalnych. Również zawodowo związany jest z radiem — obecnie jako zastępca redaktora naczelnego do spraw artystycznych gdańskiej rozgłośni Polskiego Radia. Z Gdańskiem związany jest z wyboru. Urodził się w 1931 roku w Ostrowie Wielkopolskim. W 1955 roku ukończył filologię polską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Debiutował jako prozaik w roku 1953 w tygodniku społeczno-kulturalnym „Dziś i jutro”. W r. 1966 wydał powieść „Zazdrość”, w r. 1969 zbiór opowiadań „Portrety z żaglowego płót-



Nadchodzący poeci

Poezja istnieje w języku. Poezja będzie więc istnieć tak długo, jak długo istnieć będzie język. Będzie istnieć również wtedy, kiedy nie będzie poetów, którzy ją teraz dla nas odkrywają. Poeci jednak tworzą określoną sytuację literacką, konkretnie — są komponentami ruchu poetyckiego.

Poeci przychodzą i odchodzą, poezja pozostaje. Poezja nie może być jednak masowym ruchem, ponieważ masowość oznacza przeciętność. Poziom poezji powinny więc wyznaczać tylko wybitne osiągnięcia i choć młodość poetycka trwa wiecznie, nadzieje literatury związane są z nadchodzącymi poetami.

Przyszłość jest zawsze zagadkowa, ale przyszłość poezji jest nieodgadniona zupełnie. Nie rządzą nią żadne obiektywne prawa rozwoju, tym bardziej, że nadchodzący zwykle przyjmują postawę buntu wobec zastanych zjawisk i wartości, wobec tradycji. Nadzieje, jakie wiążemy z przyszłością nadchodzących zakłóca sceptycyzm wynikający z przekonania, że przeżność środowiska nie mierzy się ilością nazwisk, a jakością dokonań.

Co można sobie obiecywać po nadchodzących poetach w Gdańsku? Gdańska rodzina poetów nie jest ani zbyt liczna, ani zbyt mała. W zasadzie datoby się ją zawęzić do nazwisk zgrupowanych wokół byłej Gdańskiej Grupy Młodych z lat 1956—61, z tym, że ubyto z niej parę nazwisk. W międzyczasie ukazało się kilka książek debiutantów, które jednak nie wyznaczyły żadnego nowego progu jakościowego. Nie mamy więc do czynienia tu z żadnym buntem, o czym może świadczyć również chlubny wyjątek twórczości Jacka Kotlicy, jedynego młodego poety, który z grupy nowo wstępujących doszłusował do poetów ze znacznie większym stażem poetyckim. Jego twórczość jest również najlepszym przykładem na to, że w literaturze, a więc i w poezji, nie ma barier wieku, a wcale są również granice pokoleniowe. Po prostu poezję trzeba traktować poważnie.

Traktowanie poważnie poezji oznacza również traktowanie poezji poważnie przez piszących. A z tym bywa różnie. Progi debiutu nie są zbyt wysokie. Składa się na to wiele przyczyn. Ambitny poeta sam wyznaczy sobie wysoki pułap swej twórczości. Ale z ambicjami można również osiągać dobre wyniki w przemyśle, w rolnictwie... Dlaczego więc młodzi ludzie chcą debiutować w tak trudnej i odpowiedzialnej dziedzinie, jak twórczość poetycka? Jeżeli szybszy awans społeczny jest tu możliwy, to tylko wtedy, jeśli założymy, że mamy do czynienia z autentycznym talentem. Ktoś jednak kiedyś musi ten fakt stwierdzić. Należy wierzyć redaktorom, że z niecierpliwością oczekują na utalentowanego twórcę, ale jednocześnie można ich rozgrzeszyć, że zbyt długie oczekiwanie na to odkrycie powoduje u nich pewne zmęczenie sytuacją, co w konsekwencji powoduje zaniżenie kryteriów artystycznych, by wreszcie wydać książkę młodego autorowi. Na początku ilość debiutantów wcale nie jest mała, zmniejsza się

jednak przy drugiej książce, maleje jeszcze bardziej przy następnych, również dlatego, że wreszcie w redakcji odkryto, iż obiecujący talent nie sprawdził się, że być może wcale talentem nie był. Zaczyna się mała tragedia. Dobrze jeszcze, jeśli delikwent wykonuje jakiś zawód, którym zarabia na chleb codzienny, gorzej jeśli poezji powierzył utrzymanie siebie i czasem rodziny. Często nie pozostaje nic innego, jak rzecz ciągnąć dalej. Za uszy.

Pozostaliśmy jednak przy nadziei, że nadchodzący poeci spełnią nasze oczekiwania. Marzy mi się sytuacja, kiedy nadchodzący rozniosą w proch i pył zastate sytuację „gwardii poetów” gdańskich. Nie wymieniamy z nazwiska, może się to przydarzyć tylko tym, którzy aktualnie zasiadają w salach Uniwersytetu Gdańskiego, nie dlatego, że wierzę w tę jedyną drogę do prawdziwej poezji — uniwersytety, ale dlatego, że w różnych klubach, również w klubie literackim młodych przy ZLP, nie wierzę w jakiegokolwiek uniwersytety w tym zakresie.

Mniejsza z tym, że przez ostatnie dziesięć lat nie utworzyła się żadna grupa poetycka, że żaden z „wstępujących” nie ogłosił swego manifestu, że formy poetyckie są więcej niż skromne, ale dlatego, że nie są w stanie podjąć żadnej dyskusji artystycznej ze „starymi” poetami. Bo jeśli nie ma utworów, niech przynajmniej będzie słychać głos. Nie można powiedzieć, byśmy nadchodzących znali z imienia; nie znamy ich też z działalności na niwie zwanej najogólniej działalnością kulturalną. Jest też rzeczą dość znamienną, że nie powstał tu od dawien dawna teatr czy kabaret poetycki z udziałem nadchodzącego. Wszystko, co mamy do odnotowania w tej dziedzinie, to studenckie spotkania z poezją, przede wszystkim w ośrodkach (czytaj: domach studenckich) polonistycznych.

Nadchodzący nie spieszą się. Już nawet coraz słabiej rozlega się wołanie o druk, o tzw. trybunę. Klub literacki młodych planuje jednodniówkę, „Literary” publikują coroczną kolumnę (w tym roku dwie) najbardziej pilnych i na tym w zasadzie kończy się święto nadchodzących. Z czyjej winy? Pewnie i winni się znajdują. Ale na pewno nie będą to sami poeci.

Tymczasem ukazał się nowy, ciekawy tom wierszy Mieczysława Czychowskiego, wydawca gdański przygotowuje też tom wierszy zebranych Franciszka Fenikowskiego, a LSW obszerny poemat „Kaszubski” Bolesława Faca... W roku bieżącym ukaże się również nowy tom Stecewicza. Poezja w Gdańsku więc istnieje, lepiej, są nawet poeci, więc póki co nie martwmy się o nią. Martwmy się raczej o to, by istniejąca poezja trafiła do czytelników. Protestujemy również wtedy, gdy będą nam mówić, że nadchodzący nie mają warunków do „wykazania się”. Dyktans między starą gwardią a nimi powiększa się, z winy tych ostatnich. Więc w końcu komu ma na tym zależeć. Mnie?

BERNARD

na” i powieść o obronie Westerplatte „Kawalerowie Virtuti”, w r. 1971 powieść dla młodzieży „Skarby zatoki”. Jest autorem 15 oryginalnych słuchowisk i około 30 adaptacji. Jest laureatem dorocznej nagrody Komitetu d/s Radia i TV za słuchowisko „Westerplatte” (1964 r.), II nagrody w konkursie „Bursztynowego Mikrofonu”, otrzymał wyróżnienie w konkursie Teatru Polskiego Radia na słuchowisko o tematyce współczesnej w 1966 roku.

— Jak to się stało, że twórczość swoją związał Pan tak silnie z morzem. Nie wy-

nika to przecież z miejsca urodzenia... Tymczasem w twórczości Pana morze jest zawsze obecne — i to nie jako tło; jest wielką próbą charakterów i zalet moralnych, nie zawsze zresztą zwycięsko pokonywaną. Żywiołem, z którym trzeba się zmierzyć...

— Skrupulatnie skorzystałem z pierwszej możliwości przyjeżdżania po studiach do Gdańska. Morze widziałem po raz pierwszy w roku 1939, w czasie ostatnich przedwzrostowych wakacji. Później, jako człowiek już dorosły, przyjechałem tu ze starszowieckim entuzjazmem do morza. Postawa ta wywo-

dziła się z rodzinnych fascynacji, bardzo częstych w tamtych międzywojennych latach, właśnie w rodzinach żyjących od pokoleń w centrum kraju. Jako dziecko miałem oczywiście marynarski mundur. Święto Morza było tam spontanicznie obchodzone tak, jak nigdy potem już tego nie widziałem. Ja jestem wychowany na tradycjach zachłyśnięcia się morzem.

Było to nie tylko moje marzenie, żeby mieszkać nad morzem. W czasie wojny ojciec myślał o tym, że wolność będzie dla niego drogą do morza. A jeśli jemu nie będzie to dane, to chociaż jego synowie powinni tam mieszkać. Tak się też stało. Pamiętam, że ojciec mój był zawsze zafascynowany Gdańskiem. Z tej jego miłości wyrasta w pewnym sensie moja książka o obrocie Westerplatte — *Kawalerowie Virtuti*. To, co się w tej chwili określa mianem wychowania patriotycznego, to bez instrukcji Ministerstwa Oświaty ja miałem na co dzień w domu — bez patosu, zwyczajnie... Bardzo ciekawa i ważna była dla mnie reakcja młodzieży na tę książkę. Mówi się wiele o jej przysłowiowym już cynizmie, niemniej wiele o kryzysie i zbędności «literatury zakłętą kręgu okupacji». Na spotkaniach z czytelnikami mogłem się przekonać, że — o dziwo! — właśnie młodzi czytelnicy upodobałi sobie tę książkę dla jej problematyki. Ze są bardzo żywo tą sprawą zainteresowani. Wydawało mi się, że najnowsza historia Polski nie jest dla nich obojętna.

— *Pierwsza Pana książka jest studium zażdrości. Jedną z recenzji zatytułowana była „Zażdrość — i co z tego?”*. Czyżby dziennikarska praktyka podsunęła Panu pomysł zajęcia się tym niszcącym (jak wynika) z książki uczuciem?

— Pamiętam tę recenzję. Żałuję, że napisałem tę rzecz tak poważnie. Trzeba to było zrobić trochę z uśmiechem, raczej komediowo, wtedy problem też byłby jasny. Niemniej jednak istnienie tego, może wstydlivego uczucia, jest faktem znanym do brze każdemu z nas (faktem uczuciowym, oczywiście). Myślę, że temat książki narzucił mi się poprzez swoją odmienną objawów w środowisku marynarskim, jego natężenie. Była to jedna ze spraw na jakie się natknąłem przy ściślejszych kontaktach ze środowiskiem marynarskim.

Jeśli się chce pisać o morzu, to nie ma mowy, żeby to robić za biurka. Ani siła fantazji, ani talentu nic tu nie pomoże. Życie na morzu jest tak nieporównywalne ze wszystkimi doświadczeniami lądowymi... Nawet taki rejs, w którym pozornie nic niezwykłego się nie dzieje, jest niezwykłym przeżyciem...

— *W jaki sposób łączy Pan swoje doświadczenia radiowca, dziennikarza radiowego z pracą pisarską? I pytanie tradycyjne — najnowsze plany?*

— Moją pierwszą książkę dla młodzieży *Skarby zatoki* wydałem w «Naszej Księgarni». Jest to wydawnictwo moim zdaniem pracujące znakomicie. Zachęcony miłą współpracą z panią Izabellą Korsak, kierującą działem literatury polskiej w tym wydawnictwie, zdecydowałem się na drugą powieść dla młodzieży. Tym razem będzie to opowieść o tajnym Hufcu Harcerzy w Gdyni, jego działalności konspiracyjnej, oparta na faktach. Spodziewam się, że książka ta wyjdzie w grudniu.

Co do radia... My jesteśmy — jako społeczeństwo — pozornie pod presją telewizji.

Tylko specjaliści z Biura Badania Opinii Społecznej wiedzą, jak to jest naprawdę. Słuchowiska radiowego w sieci ogólnokrajowej słucha — w najgorszym wypadku — 5 milionów ludzi. Kilka lat temu myśleliśmy sami, że nasza rola sprowadza się do roli drugorzędnej partnera. Radio tymczasem nie tylko nie cofa się, ale zdobywa sobie nowych słuchaczy. Program radiowy staje się coraz bardziej ambitny i zróżnicowany. Zaspokaja potrzeby różnych słuchaczy. Mogę powiedzieć, że repertuar słuchowisk radiowych jest w swoim przekroju znakomity. Obserwujemy powrót do słuchania radia. Szczególną popularnością cieszą się w tej chwili audycje literackie. Nie konkurujemy z dziennikami, z audycjami podającymi aktualne wiadomości. Nasi odbiorcy czekają na audycje literackie, reagują na nie. Kontakt ze słuchaczami jest bardzo żywy.

Jeśli chodzi o moje plany, związane z radiem, to ukończyłem właśnie adaptację radiową *Nad Niemnem*. Słuchowisko to będzie nadawane w programie ogólnopolskim. Praca nad słuchowiskiem daje mi bardzo dużo satysfakcji; następuje etap realizacji, kiedy ma się żywe kontakty z aktorami. Czasami są niespodzianki; np. *Drogi okrężnej* według Vercorsa z Łomnickim i Holoubkiem słuchałem, jak czegoś zupełnie nowego i zaskakującego. Tak znakomite było aktorstwo obydwój wykonawców, tyle wnieśli do mojego słuchowiska nowego. Wspomnę tu jeszcze o *Romansie Teresy Hennert* według Nałkowskiej... I jako słuchacz i jako stały współpracownik — jestem wielkim entuzjastą Polskiego Radia.

Rozmawiała: EWA MOSKAŁOWNA

Lech Mokrzejcki

SZKOLNICTWO POWSZECHNE W POLSCE

Na półkach księgarskich ukazała się ciekawa monografia K. Trzebiatowskiego, traktująca wszechstronnie o kształtowaniu się systemu szkolnictwa powszechnego w Polsce od chwili odzyskania niepodległości w 1918 r., do reformy przeprowadzonej przez Jędrzejewicza 11 marca 1932 r.* W oparciu o bogate materiały źródłowe, szczególnie zaś naświetla ona relacje pomiędzy ustrojem państwa a systemem oświatowym, kreśli wpływ polityki poszczególnych rządów i partii na formowanie się opinii dotyczącej problematyki szkolnej, szkicuje działalność różnych organizacji nauczycielskich, związkowych i pracowników administracji w tej dziedzinie. Praca Trzebiatowskiego jest pierwszą, która dotyczy całokształtu lat 1918—1932; dotąd bowiem zajmowano się albo okresem wcześniejszym do 1922 r., albo bezpośrednio poprzedzającym reformę Jędrzejewicza i wybuch drugiej wojny światowej. Nie było natomiast publikacji omawiającej, jako osobny temat, problematykę szkolnictwa powszechnego w Polsce.

Szczególnie wnikliwie scharakteryzował autor kwestie prawne, organizacyjne i unifikacyjne oświaty w początkowych latach, uwydatniając wpływ jaki wywarły na jej ostateczny kształt stosunki społeczno-ekonomiczne i

polityczne. Przedstawił udział poszczególnych ziem w tworzeniu jednolitego systemu szkolnego. Najgłębiej ukazał stosunki panujące w zaborze pruskim i rosyjskim, nieco mniej uwagi poświęcił — zaborowi austriackiemu. Uwzględnił w nim przede wszystkim szereg niekorzystnych zjawisk zachodzących w XIX i XX w., natomiast nie wydobyl znaczenia rozwijanej tam oświaty ludowej. Naświetlając początki prac (do 1922 r.) nad określeniem zasad organizacyjnych i założeń wychowawczych, uwydatnił Trzebiatowski wpływ postępowych postulatów wysuwanych przez partie lewicowe z Komunistyczną Partią Robotniczą Polski i Polską Partią Socjalistyczną na czele.

Szczególne znaczenie mają rozdziały oceniające przemiany, jakie zachodziły na odcinku unifikacji szkół. Autor dość zwięźle scharakteryzował sytuację panującą w części b. zaboru austriackiego, o wiele zaś dokładniej w b. zaborze pruskim i tzw. Małopolsce Wschodniej, gdzie niezwykle złożoną sprawą był brak placówek oświatowych dla ludności niepolskiej.

Druga część studium Trzebiatowskiego, obejmująca lata 1923—1928, ukazuje po raz pierwszy etapy kształtowania się wówczas polityki oświatowej, od rządów Chjeno-Piasta do przewrotu Piłsudskiego. Autor skoncentrował się na dokonanej w tym okresie reorganizacji systemu szkolnego i uwydatnił ściąganie się różnorodnych stanowisk, przegrupowanie sił i wzmocnienie prawicy społecznej.

W osobnym rozdziale przedstawiono wyniki badań nad stanem oświaty dla ludności niepolskiej. Formalnie można było odpowiednio placówki zakładać

na żądanie rodziców reprezentujących określoną narodowość. Ale praktycznie ustawa z 1924 r. pozostała martwą literą, a ilość placówek kształtowała się znacznie poniżej istniejących potrzeb. Polityka burżuazji świadomie zmierzała też do ograniczenia szkolnictwa dla klasy robotniczej i faworyzowała zakłady przeznaczane dla dzieci klas wyższych, co wywołało ostre protesty lewicy społecznej, a przede wszystkim komunistów polskich.

Ogromną rolę w upowszechnianiu oświaty zajmowały w omawianym okresie Uniwersytety Ludowe i Towarzystwo Kultury Robotniczej. Warto uzupełnić, iż podobnie doniosłą rolę spełniały w omawianym okresie Towarzystwo Czytelni Ludowych, Związki Teatrów Ludowych czy Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych. Ich praca spotykała się jednak z niechętną postawą władz.

Ostatnie rozdziały książki kreślą sytuację w Polsce po przewrocie majowym Piłsudskiego. Autor sprecyzował stanowisko lewicy wobec kryzysu w ZNP i szerzących się poglądów na zagadnienia wychowawcze, dydaktyczne i organizacyjne. Naszkicował też taktykę obozu legiionowo-peowiackiego, dzięki której piłsudczycy uzyskali poparcie drobniomieszczaństwa. Początkowo nie posiadali oni jeszcze skryształizowanej koncepcji wychowawczej i zaczęli ją wypracowywać dopiero od 1929 r. w oparciu o program całego obozu.

W końcu lat dwudziestych nasiliła się działalność mająca na celu podporządkowanie oświaty założeniom sanacji. Zdecydowaną walkę temu wypowiedział odłam nauczycieli, w oparciu o uchwały zjazdu z 1926 r. Kon-

solidacja lewicy stworzyła przesłanki dla powołania w latach trzydziestych Związku Nauczycielstwa Polskiego. Ofensywa ideologiczna piłsudczyków przyspieszyła uformowanie się ugrupowań opozycyjnych frontu antyfaszystowskiego i lewicy w ramach ZNP. Autor badał powyższe zjawiska na przykładzie Warszawy — wiadomo jest jednak, iż podobna sytuacja istniała i w innych dzielnicach kraju.

Osobnym zagadnieniem uwzględnionym w monografii jest charakterystyka poczynąń podejmowanych dla obrony szkół przed naporem klerykalizmu. Ostatnie zaś rozdziały poświęcone zostały rozwojowi dydaktyki, metodyki i charakterystyce prac nad reorganizacją placówek oświatowych w latach 1926—1932.

Podstawowe znaczenie pracy K. Trzebiatowskiego polega przede wszystkim na tym, iż ukazała ona w oparciu o bogatą bazę źródłową — kształtowanie się szkolnictwa powszechnego w Polsce na tle istniejącej wówczas sytuacji w kraju oraz w sposób przekonujący, zawiązała jego rozwój z uporczywą i zdecydowaną walką lewicy społecznej i postępowej części nauczycielstwa. Książkę tę winni przeczytać wszyscy interesujący się problemami oświatowymi przed drugą wojną światową. Lekturę ułatwiają liczne wykresy, aneksy i indeks nazwisk. Można jedynie żałować, iż z winy redakcji zakradły się pewne pomyłki, łatwe do usunięcia podczas korekty wydawniczej.

*) Klemens Trzebiatowski, *Szkolnictwo powszechne w Polsce w latach 1918—1932*. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław — Warszawa — Kraków 1970, s. 376; cena 60 zł.

W poszukiwaniu metryki Głównego Miasta

Z dr. Andrzejem Zbierskim w podziemiach ratusza

W połowie listopada ubiegłego roku piętnastoosobowa ekipa pod kierownictwem dr. Andrzeja Zbierskiego z gdańskiej placówki Instytutu Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk przystąpiła do prac wykopaliskowych w podziemiach Ratusza Głównego Miasta. Stawka poszukiwań była wysoka — szło o ustalenie metryki Głównego Miasta, albo skromniej — o ustalenie początków ratusza. Badania te były postulowane już dawno, doszły jednak do skutku dopiero teraz, dzięki życzliwości i sfinansowaniu ich przez Instytut Architektury i Urbanistyki Politechniki Gdańskiej.

Budowniczy ratusza, Henryk Ungeradin, wystawiał władzom miejskim rachunki za materiały budowlane, dzięki którym ustalono, że pierwsza faza budowy ratusza postępowala w latach 1379—1382. Ale czy to były rzeczywiście początki budowy? Czy przed mistrzem Ungeradinem nikt żadnej budowli municypalnej w tym miejscu nie stawiał? Czy metryki Głównego Miasta nie można przenieść w głąb dziejów?

Dr Zbierski doskonale zna ustalenia badaczy, a także wszystkie wysunięte dotąd hipotezy w tej sprawie. Niemieccy uczeni — Hans Planitz i zwłaszcza znany nam z wielu prac o Gdańsku Erich Keyser — upatrywali początki Gdańska w pierwszej ćwierci XIII wieku. Polscy uczeni byli i są bardziej ostrożni: Marian Małuszyński, Gerard Labuda czy Konrad Jażdżewski opowiadają się za początkami Głównego Miasta w wieku XIV, w związku z prawem chełmińskim nadanym mu przez Krzyżaków. Inna grupa badaczy z Karolem Górskim, Edwinem Rozenkranzem, Andrzejem Zbierskim i Tadeuszem Domagałą wiąże powstanie Głównego Miasta z prawem lubeckim, a więc datuje je mniej więcej na połowę XIII wieku.

Hipotez jest dużo, która więc zwycięży? Czy przeprowadzone w podziemiach ratusza badania archeologiczno-urbanistyczne odpowiadają — chociażby częściowo — na nurtujące badaczy pytania?

Dr Zbierski zaproponował mi zwiedzenie ratuszowych podziemi...

— Ratusz, w którym się znajdujemy — objaśnia dr Zbierski — był rozbudowywany w ciągu wieków, zwłaszcza w ciągu wieku XVI, ale jego początki nie są zupełnie pewne. Sugerujemy się rachunkami, które pozostały po pracach budowlanych prowadzonych przez Ungeradina w latach 1378/9—1382. Przypuszczamy, że te rachunki dotyczyły prawdopodobnie tego właśnie ratuszowego budynku. To jest oczywiście sugestia, którą jednak trzeba przyjąć jako najpewniejszą: jest też szereg argumentów historycznych, źródłowych, które wskazują, że przed powstaniem założenia Ungeradinowskiego musiało istnieć jakieś wcześniejsze założenie ratuszowe. Wspomnę tylko, że Gdańsk otrzymał prawa chełmińskie w latach 1343—1346, a więc z tym prawem musiał być związany jakiś budynek władz municypalnych. Jednocześnie wiadomo, że źródła rejestrują na terenie Głównego Miasta nazwy czterech ulic, mianowicie Ogarnej, Chlebnickiej, Św. Ducha i Długiej (longa platea). Ta ostatnia jest zanotowana pod datą 1331 r. A więc już te cztery ulice, wymienione przed otrzymaniem praw chełmińskich, wyraźnie wskazują na to, że ośrodek miejski na terenie Głównego Miasta musiał się rozwinąć znacznie wcześniej, przed 1331 r. Warto przypo-

mnąć, że gdańskie księgi hipoteczne są najstarszymi, jakie przetrwały dla nazw ulicznych w całej Polsce. Poza tym zachował się egzemplarz pieczęci Głównego Miasta z końca XIII wieku; koga na tej pieczęci pochodzi z połowy XIII wieku. Jest to typ kogi, który pojawia się na Bałtyku łącznie z obcymi żeglarzami — kupcami...

— To oznacza, że...

— To byłyby te najważniejsze sugestie, że ośrodek miejski mógł istnieć wcześniej na

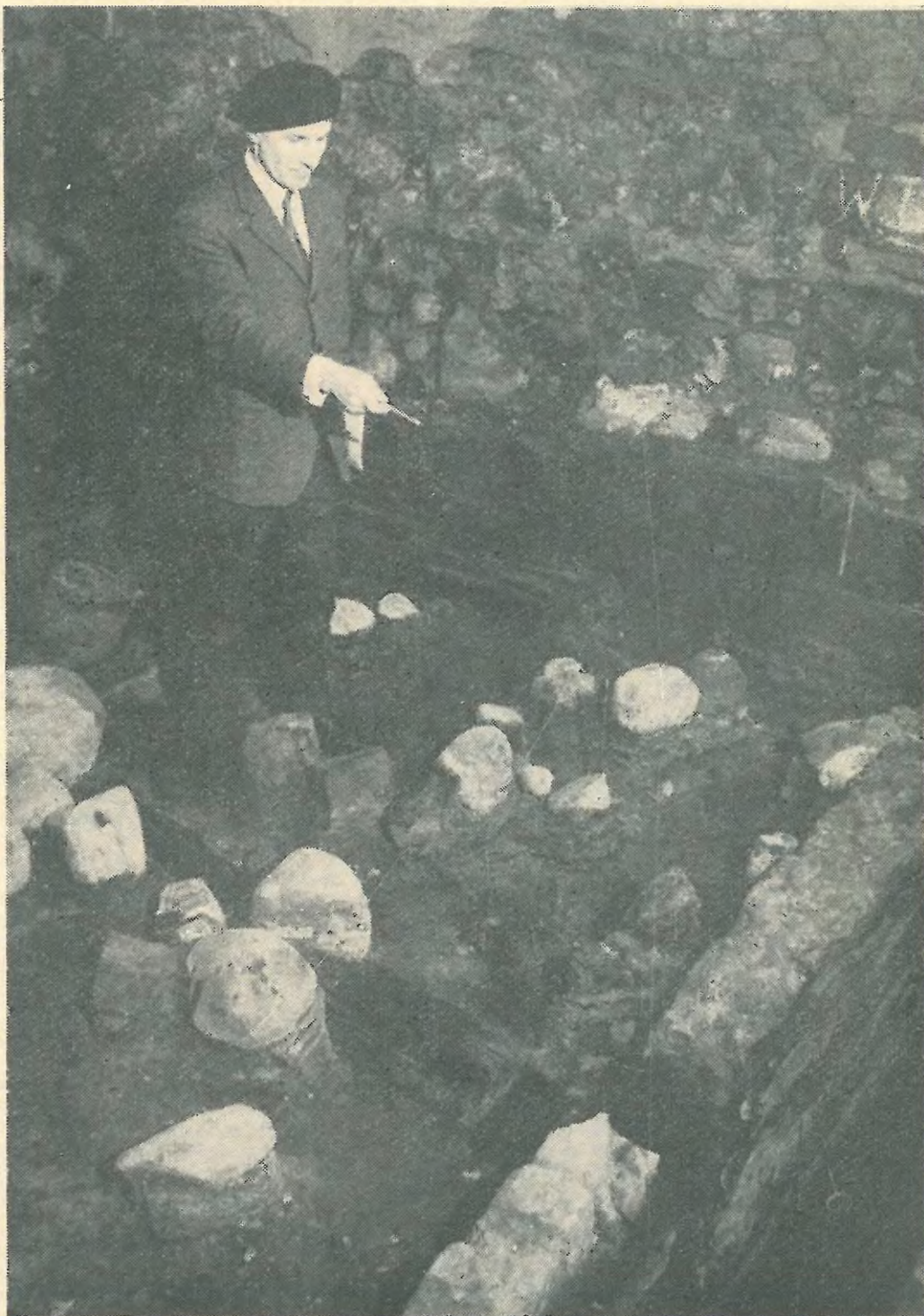
Głównym Mieście, niż dopiero w XIV wieku. Są jednak i inne przesłanki, jak wymieniony pod r. 1271 Kościół Mariacki, czy pośrednie źródła mówiące np. o fosie na tym terenie. Wszystko to wskazywałoby, że ośrodek miejski na terenie Głównego Miasta mógł istnieć już w połowie XIII wieku. I dlatego badacze podzielili się na trzy zasadnicze grupy, z których każda uważała, że początek osadnictwa na terenie Głównego Miasta należy inaczej datować.

— Pan należał do tej grupy badaczy, która wysuwała hipotezę dość ryzykowną...

— Opowiadałem się za początkami tego osadnictwa w drugiej połowie XIII wieku. Łączyłem to z prawami lubeckimi, które Gdańsk otrzymał w latach 1261—1263...

— W związku z osadnictwem kolonizacyjnym?

— Nie! Trzeba od razu mocno podkreślić, że w tej najstarszej części Starego Miasta, tam gdzie od końca XII wieku było podgrodzie słowiańskie, a później miasto książęce, nie stwierdzamy osadnictwa typu kolonizacyjnego, a jeśli je już dostrzegamy, to w bardzo znikomym stopniu. Na terenie Pomorza Gdańskiego, w stosunku do całej Polski,



WYKOP I. ARCHEOLOGICZNO-ARCHITEKTONICZNY W PIWNICY POD BIAŁĄ SALĄ RATUSZA GŁÓWNEGO MIASTA. OBJAŚNIA DR ANDRZEJ ZBIERSKI

bez precedensu jest to, że kultura słowiańska w Gdańsku, z okresu wczesnego średniowiecza, jest jak gdyby spetryfikowana, przechodzi na wiek XV i trwa dalej, nawet do wieku XVI. Tradycje, nawet miejskie. Starego Miasta są wyraźnie związane z tradycjami słowiańskimi. To jest ratusz polski przy ulicy Igielniczej, wymieniony w XVI wieku, to jest polski Osiek, to są Polacy ze Starego Miasta i Osieka, o których mówią źródła krzyżackie. Właściwie nie ma sugestii, żeby na ówczesnym Starym Mieście z drugiej połowy XIII wieku móc się doszukiwać kupców, czy kolonizatorów niemieckich. Wiemy na pewno, że oni przybywali do Gdańska i ten fakt musimy brać pod uwagę, z tym jednak zastrzeżeniem, że to się działo przy decyzji i poparciu rządzących tutaj książąt pomorskich, bądź namiestników książąt i królów polskich, że koloniści przychodzili tutaj np. z łaski Świętopełka II, czy Władysława Łokietka; był to ogólny proces rozwojowy w całym basenie bałtyckim, charakteryzujący się pojawieniem wyspecjalizowanych kupców — żeglarzy zorganizowanych w związki handlowe.

Ten wstęp historyczny podałem w celu uzmysłowienia sobie, że i tutaj, w Gdańsku, mogliśmy się spodziewać ewentualnie uchwycenia takiego wiku niemieckiego, czy też później — ośrodka miejskiego związanego z prawami miejskimi przychodzącymi z zachodniej Europy.

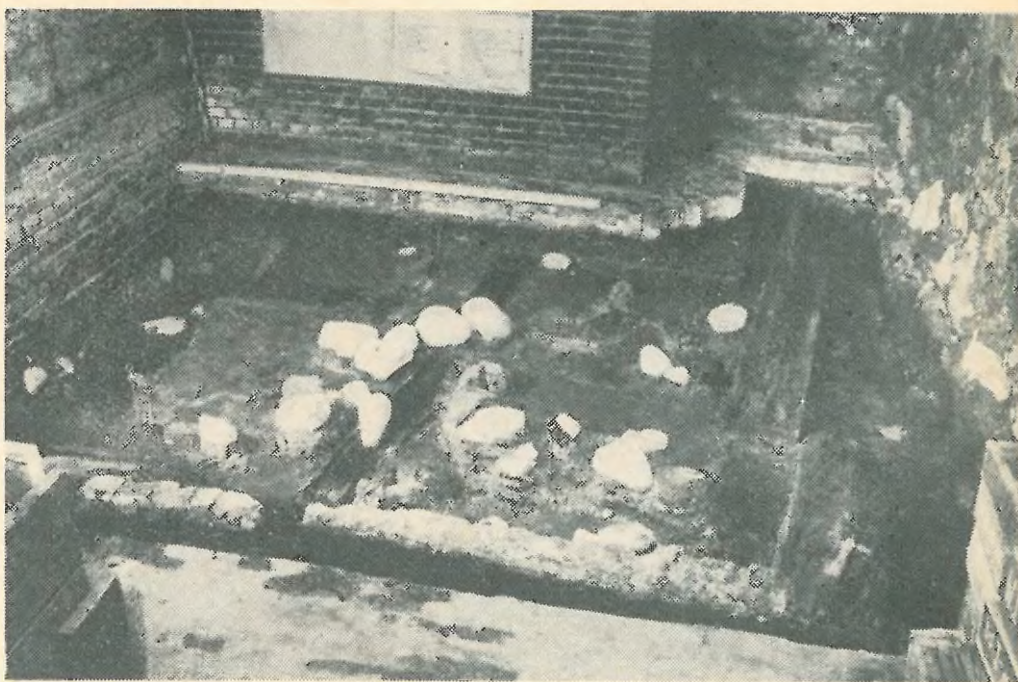
— *Badania archeologiczno-urbanistyczne, które tutaj przeprowadzono, miały na celu rzucenie nowego światła również na początki osadnictwa, na jego charakter...*

— Tak, właśnie ważną sprawą było rozwikłanie metryki Głównego Miasta, czyli jak należy widzieć na jego terenie początki osadnictwa. Od dawna domagano się badań archeologicznych na tym terenie, pisali o ich potrzebie historycy, architekci i niektórzy archeologowie. Osobiście starałem się przeformować systematyczne prace badawcze, bo ratowniczych było trochę, głównie przy ulicy Chlebnickiej 48—50, gdzie 7 m pod powierzchnią ulicy odkryto w czerwcu 1967 r. konstrukcje drewniane położone pod fundamentami gotyckich domów. Tam spotkaliśmy się z konstrukcją domów, które można było wstępnie datować na drugą połowę XIII, względnie na początek XIV wieku. Datowników ścisłych nie mieliśmy, ze znalezionych tam materiałów wynikały tylko ogólne sugestie. Była tam nowa ceramika stałowoszańska, były fragmenty ceramiki słowiańskiej, tej tradycyjnej, ale należy pamiętać, że ta ceramika słowiańska występuje w Gdańsku nie tylko w okresie X—XIII wieku, lecz przechodzi na wiek XIV, a nawet do wieku XV.

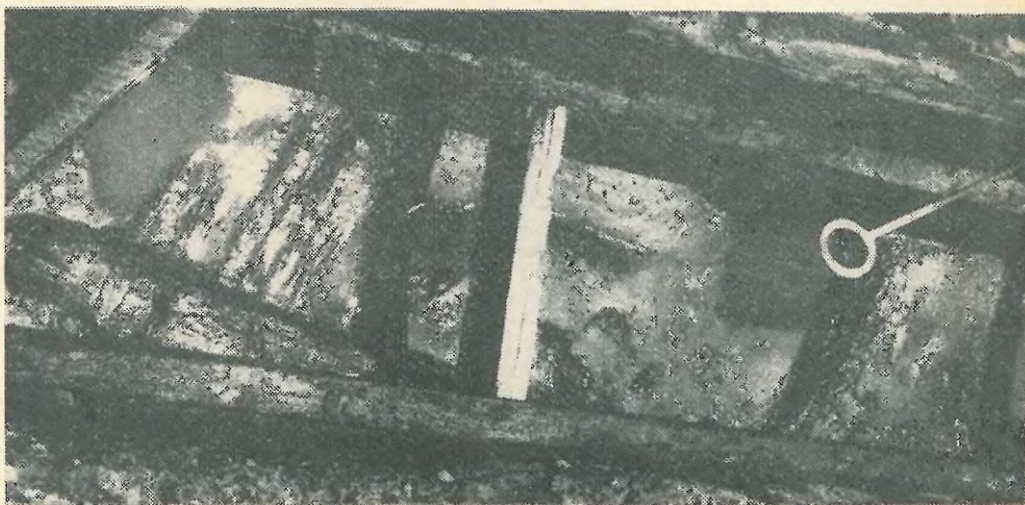
— *Czyli jest to datownik zawodny...*

— W każdym bądź razie ta ceramika nie może być datownikiem bezwzględny w określaniu czasu istnienia takich czy innych obiektów, jednak w zestawieniu z całością materiału można sugerować pewne czasowe założenie takiego czy innego obiektu, względnie zespołu archeologicznego. Ważne jest to, że te badania ratownicze zostały w ogóle przeprowadzone.

W 1971 r. Instytut Architektury i Urbanistyki Politechniki Gdańskiej oraz Instytut Historii Kultury Materialnej PAN postanowiły wspólnie przeprowadzić badania w Ratuszu Głównego Miasta. W efekcie tych badań w piwnicy pod Białą Salą ujawniono konstrukcję starszą od ratusza, co było dla nas zdecydowaną rewelacją. Nikt nie spodziewał się, że tuż pod posadzką (13—17 cm) ujawni się obiekt — oczywiście częściowo zniszczony — gotycki, średniowieczny. Jeżeli ten mur — proszę spojrzeć — rzeczywiście był stawiany przez Ungeradina w latach 1378—1382, a nie wcześniej — powiedzmy w okresie przyjęcia praw chełmińskich — to ta budowla jest starsza od fundamentu, a więc pochodzi sprzed roku 1378; może też pochodzić z pierwszej połowy XIV, czy nawet z przełomu XIII na XIV stulecie. Ta budowla jest zniszczona, a więc nie zachowała się w całości, tutaj — widzi Pan — została zniszczona przez fundament budowany przez Ungeradina — belka jest ucięta,



WYKOP I. FRAGMENT TRÓJFAZOWEJ BUDOWLI DREWNIANO-CEGLANEJ, PRAWDOPODOBNIIE Z PRZEŁOMU XIII—XIV WIEKU. NA PRAWO FUNDAMENT KAMIENNY OBECNIE ZACHOWANEJ ŚCIANY RATUSZA OD STRONY UL. DŁUGIEJ



WYKOP I. NA DNIIE WYKOPU WIDOCZNE FRAGMENTY LEGARÓW ULICZNYCH PRAWDOPODOBNIIE Z LAT 1261—1263 (?)

ten bal i tamta deska też zostały wyrąbane przy budowie fundamentu, natomiast tamta część, od strony północnej, została zniszczona w XVI wieku przy budowie fundamentu działającego tę wielką gotycką piwnicę (wykonaną przez van Obbergena 1580—1590).

— *Można więc mówić o kilku fazach budowy ratusza...*

— Otóż to, już w tym budynku staraliśmy się uchwycić trzy fazy jego istnienia. I to jest ciekawe, że niektóre elementy budynku trwają przez te wszystkie trzy fazy. Zaraz to wszystko Panu wyjaśnię...

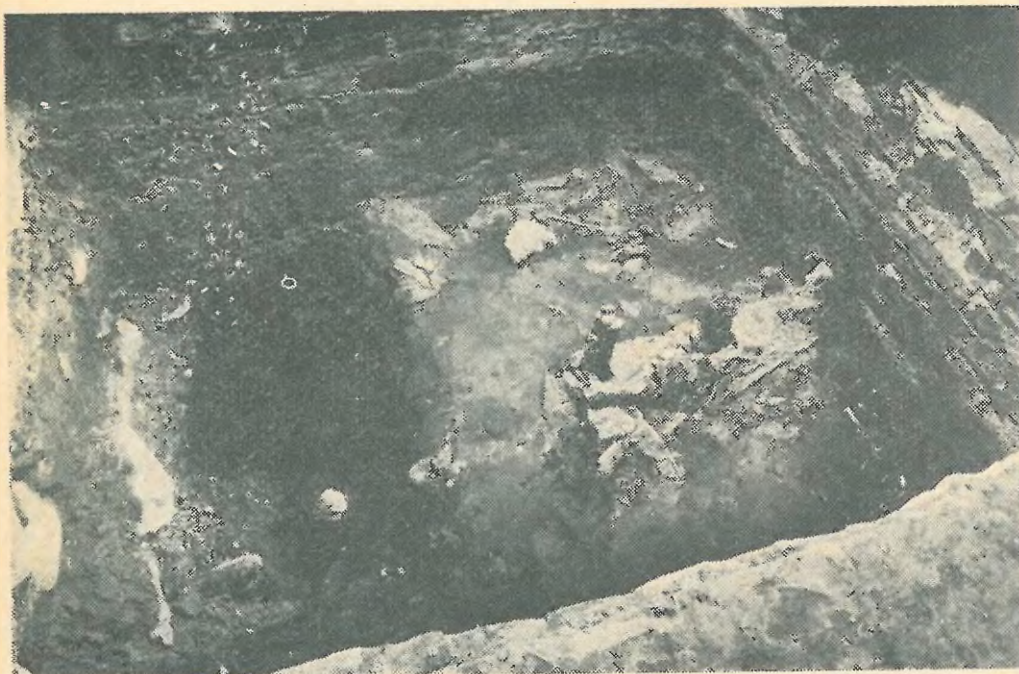
Tutaj mamy najstarszą fazę — zachowaną podłogę. Na tym jest warstwa pożarowa, ona mogła mieć podłogę, ale ta mogła ewentualnie spłonąć, albo została zerwana. Potem jest trzecia faza, związana już z tym najmłodszym balem. Tamta toczona na kole misa drewniana, ta podbudowa ceglana być może pod piec — są związane z najmłodszą fazą budynku. Druga faza — to jest poziom pożarowy, a więc m.in. ta belka działowa, która ma rowki prawdopodobnie po konstrukcji pionowej ścianki działowej; wchodziła ona oczywiście w większą budowlę zniszczoną przez ten fundament i przez te dalsze elementy fundamentowo-budowlane, zniszczone również przez fundament renesansowy. A więc krótko mówiąc ta budowla była znacznie obszerniejsza, my jesteśmy we

fragmentie z elementem ściany działowej, należącej do tego właśnie budynku.

— *Wniosek stąd, że była to jakaś specjalna budowla?*

— Nie możemy budować pojęcia o wielkości i znaczeniu tej budowli na podstawie odkrytego fragmentu. Są jednak sugestie, że to nie był zwyczajny budynek, bo kiedy weźmiemy pod uwagę budynki z XIV wieku, które znamy ze Starego Miasta, to one są zbudowane z takich nie okoronowanych, albo słabo obrobionych pni drzewnych, łączonych na zrąb. Natomiast tutaj mamy do czynienia z budowlą o charakterze innym, mianowicie tu mamy taką belkę nośną z deską okładzinową i zastosowaną już cegłą, która trwa przez wszystkie trzy fazy budynku, przetrwała nawet fazę pożarową, bo ma ona ślady opalenia. Teraz nie wiadomo, czy ta cegła była stosowana od początku istnienia budowli, czy dopiero od fazy trzeciej.

Co jeszcze potwierdza nam tę fazowość budowli? Mianowicie kadź drewniana, która została odkryta pod tym balem. To jest duża kadź, 83 cm wysoka, wkopana do minus 18 cm poniżej poziomu morza, zbudowana z klepek połączonych drewnianymi obręczami. Kadź ma u góry opalone klepki i wchodzi pod ten bal już trzeciej, najmłodszej fazy budynku. Ona jest związana z drugą fazą, pożarową.



WYKOP II W PIWNICY POD SIENIĄ. POD WARSTWĄ POŻAROWĄ WIDOCZNE SŁUPKI PO ŚCIANIE PLECIONKOWEJ POMIESZCZENIA DLA TRZODY CHLEWNEJ (FOT. K. KAMIŃSKI)

— Jakie mogło być przeznaczenie tej kadzi?

— Wydaje się, że był to albo zbiornik wodny, albo mogła być kadzią kąpielową. Po prostu nie było żadnych śladów fekaliiów, jak to nieraz występuje w tego rodzaju zbiornikach. Dała nam ona wypełnisko już popożarowe, które składało się ze żwiru, piasku, węgla drzewnych pochodzących z pożaru. Kadź przestała pełnić swoją funkcję po pożarze. Trzecią fazę budynku zbudowano również na tej kadzi. Kadź była dla nas dodatkowo ciekawa, bo znaleźliśmy w niej grzebień, który jest bardziej bezwzględny datownikiem. Ma on analogię w znalezisku z drugiego poziomu osadniczego grodu gdańskiego, który datujemy na lata 1275—1295. To jest już coś. Oczywiście trzeba być ostrożnym, bo tego typu grzebień mogą wchodzić i w wiek XIV. Niemniej grzebień jest wykonany z kości, a nie z rogu, z którego były wykonywane grzebień słowiańskie. A więc to był już jakiś datownik...

— Wspomniał Pan, że ten datownik ma odpowiednią analogię...

— Na stanowisku drugim grodu gdańskiego znaleziono bodaj pięć tych grzebień, ale w niezbyt dobrze datowanych warstwach, w każdym bądź razie znajdowano tego typu grzebień i na terenie *castrum* i *civitas* gdańskiego.

— Co możemy jeszcze powiedzieć o elementach ścisłej datujących tę budowlę?

— Tam, gdzie jest wbita ta szpila, w tym rowku działowej belki znaleziono brakteat krzyżacki — monetę, która występuje na Pomorzu od r. 1290. Ale z brakteatami trzeba uważać, ponieważ nie mają one ścisłej datacji. W każdym bądź razie brakteat ma prawo występować od 1290 r. Ważne, że w tej chwili mamy dwa datowniki: grzebień i brakteat. Pochodzą one na pewno sprzed 1378 r. Jeżeli zwiążemy je z odkrytą budowlą, to by zaczynała powoli ze sobą harmonizować chronologia względna i bezwzględna, ale wskazywałoby też, że ta budowla mogła być wieloletnia, mogła trwać nawet kilkadziesiąt lat. Oczywiście nie chcę sugerować tym pożarem, ale pożar jest zawsze interesujący w Gdańsku, zwłaszcza jeśli występuje na większych przestrzeniach. Dość na tym, że ta budowla pochodzi kto wie czy nie z końca XIII i początku XIV wieku, a pożar może pochodzić z 1308 roku.

— Tutaj mamy jeszcze jakieś belki, o których Pan nie wspominał...

— To są legary uliczne, one są najciekawsze... Ich układ jest zupełnie inny, niż by to mogło się nam wydawać. One są ukośnie nawiązane w stosunku do odkrytej budowli. Jeśli tę belkę — proszę spojrzeć —

uważamy za ścianę gotycką obecnej budowli, a jest ona już ukośna do osi ratusza, to te legary są jeszcze bardziej ukośne, czyli widać stopniowe przeplanowania urbanistyczno-przestrzenne na tym obszarze miasta. Nie można więc wykluczyć, że legary uliczne tworzą układ przestrzenny związany z lubeczanami (1261—1262). To są dębowe legary, obrobione ręcznie. Odsłonięto dopiero fragmenty, trzeba więc odsłonić dalsze ich odcinki, co zresztą uczynimy. Legary występują na głębokości około 20 cm nad poziomem morza. Ze znakiem zapytania wskazuję, że zostały położone w latach 1261—1263. Warto wspomnieć, że oś tej pierwotnej ulicy jest niemal równoległa do osi ulicy rekonstruowanej przez dr. Stanisława Bobińskiego na planie IV w pracy „Gdańsk wczesnodziejowy”.

— Teraz może przejdziemy na drugi wykop, gdzie pokażę Panu zaplecze gospodarcze — odkryty chlewik i wyraźne zabudowania gospodarcze, ewentualnie też z czterema, czy nawet pięcioma poziomami osadniczymi. Bo jeżeli przyjmujemy, że tutaj mamy trzy fazy budynku i legary uliczne, to na wykopie na zapleczu pojawia się to samo. To byłby dalszy ciąg zabudowy na tym terenie, ale jeszcze przedtem chcę pokazać Panu Redaktorowi przejście pod ul. Długą, mały loch odkryty przez nas. Przejście zostało wyrąbane w tym fundamencie gotyckim, ale chyba jeszcze w późnym średniowieczu były już jakieś zaczątki dalszego ciągu lochu — widać bowiem cegłę gotycką i takie zamurowanie otworu drewnianej rury wodociągowej... Tu było doprowadzenie wody do ratusza, niewątpliwie bardzo ciekawie rozwiązane. Nie jest wykluczone, że przekucie nastąpiło jeszcze w gotyku.

Spójrzmy jednak teraz na wykop gospodarczy. U samej góry mamy warstwę pożarową w tym wykopie, a później, pod nią, odsłonił chlewik z plecionkową ścianą z gliną w środku. Dalej warstwa naważu trzody chlewnej i odwrócony fragment korytka. Natomiast później, poniżej poziomu tego chlewika, są jeszcze konstrukcje drewniane idące ukośnie i potem prostopadłe. Czyli tutaj też trzeba się liczyć z czterema, czy nawet pięcioma warstwami osadniczymi (na wykopie I czwartą warstwę stanowią legary). Oczywiście to wszystko jest starsze od budowli Ungeradina. Warstwa pożarowa może być ewentualnie tą warstwą pożarową, która występuje na wykopie I w budynku w poziomie drugim, czyli w drugiej fazie jego istnienia. Wobec tego mielibyśmy jakieś nawiązanie tego osadnictwa, które mamy tutaj na zapleczu, z tym, które mamy na wykopie pierwszym.

— W jaki sposób można krótko i zrozumiale sformułować znaczenie odkrycia w ratuszowym podziemiu, oczywiście na podstawie aktualnego stanu prac wykopaliskowych?

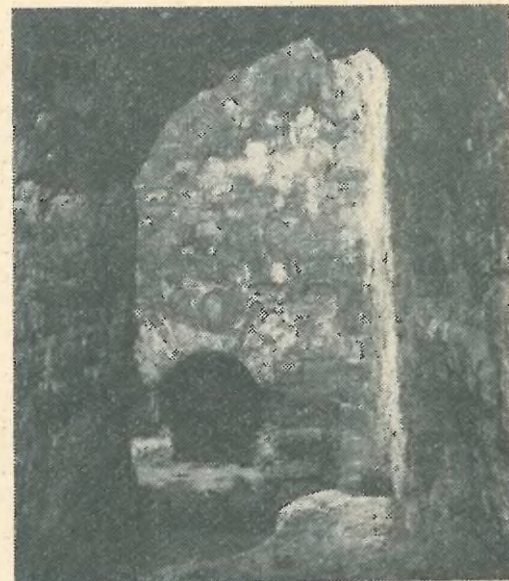
— Wydaje się, że już nawet wstępne odkrycia archeologiczno-architektoniczne w gdańskim Ratuszu Głównego Miasta posiadają duże znaczenie dla kilku dyscyplin, które zajmują się historią naszego miasta:

1. Archeologii dają one zupełnie nowy zespół źródeł ruchomych w postaci ceramiki, przedmiotów z drewna i kości, pięknych paciorków z bursztynu, kości zwierzęcych i ości różnych gatunków ryb, łupin orzechów włoskich i laskowych oraz zupełnie nowego w swoim typie budynku o konstrukcji ryglowej drewniano-ceglanej, być może zbudowanego na przełomie XIII i XIV wieku;

2. Architektura przyniosła odkrycia zupełnie nowe materiały z zakresu historii budownictwa średniowiecznego. Musimy sobie zdać sprawę, że został odkryty fragment najstarszego z dotychczas znanych nam budynków o konstrukcji ryglowej w Polsce, wraz z wbudowaną w jego wnętrzu kadzią — zbiornikiem wodnym;

3. Urbanistyce dotychczasowe wyniki badań przynoszą zupełnie różne trzy założenia urbanistyczno-przestrzenne, na terenie tej partii Głównego Miasta występujące prawdopodobnie od połowy XIII, do pierwszej połowy XIV stulecia.

4. Historii przedstawiają dodatkowe argumenty dla poparcia poglądów tej grupy badaczy, którzy początki Głównego Miasta datowali na połowę XIII wieku. Szczegółowo, dla historii kultury, badania potwierdzają nasz punkt widzenia uwzględniający współwystępowanie na terenie Gdańska XIII—XIV wieku różnych zespołów osadniczo-kulturowych; mamy gród i Stare Miasto, potem od 1340 r. zamek krzyżacki na dawnym grodzie, a obok słowiański Osiek i nadal Stare Miasto o tradycjach słowiańskich, Główne Miasto lokowane na prawach obcych i wreszcie od 1380 r. nowo założone z inicjatywy Krzy-



PIWNICA POD BIAŁĄ SALĄ, LOCH I PIWNICZKA JUŻ POD UL. DŁUGĄ. WIDOCZNY OTWÓR Z DREWNIANĄ RURĄ WODOCIĄGOWĄ

żaków Młode Miasto. Poza tym jest wysoce prawdopodobne, że odkryty fragment budynku drewniano-ceglanego jest częścią dużego obiektu związanego z działalnością władz municypalnych Gdańska średniowiecznego.

— Dziękuję Panu Doktorowi za pokazanie mi wykopów, udzielenie szczegółowych informacji i ich skomentowanie. Sądzę, że do tematu metryki Głównego Miasta wrócimy jeszcze na łamach „Liter”, ewentualnie po przeprowadzeniu dalszych badań archeologiczno-urbanistycznych w podziemiach ratusza.

Rozmawiał: TADEUSZ BOLDUAN

Ewa Moskalówna

„Zakładnik” i „Thermidor”

Gdańskie przedstawienie *Zakładnika* zdumiewa swoją wiernością wobec tekstu. Jest to przedstawienie „aktorskie”, wysmakowane, nastrojowe. Każdy szczegół zostaje wydobyty, cień znaczenia podkreślony. Nie poprzez skomplikowane chwytły formalne. Przez mistrzostwo i precyzję wykonania. Rzeczywistość sceniczna jest zbudowana w sposób realistyczny, a przecież nie staje się płaska; niepostrzeżenie osiąga rangę symbolu. Tak jest z białym kredowym kołem, w którym Pat (Jerzy Łapiński) zamyka Zakładnika (Leslie — Jerzy Dąbkowski). Pamiętajmy, że to Pat, który ostrzega go, że jeśli przekroczy linię, umrze — rzeczywiście zabija chłopca. Co oznacza ten symbol — magię (białą, zmieniającą się w czarną — śmierci), zagubienie jednostki wobec sił nadrzędnych, wyłamanie się z konwencji społecznych, ludyczną grę, zemstę Pata, robiącego okrutny zakład ze śmiercią, nienawidzącego chłopca za jego młodość, jak to sugeruje Teresa?... To wszystko. A także wszystko inne, co jesteśmy w stanie w tym dostrzec, opierając się na własnej wiedzy i doświadczeniu. I kiedy Pat rysuje białą linię, a Leslie ją przekracza, powoli rośnie napięcie, a potem ogarnia nas groza.

Okazuje się więc, że nie ma jedynie słusznej metody, według której należałoby „robić teatr” dla nas, współczesnych. Może należałoby to po prostu robić dobrze?

Atmosfera drugorzędnego burdelu nie została na scenie stonowana. Przewijają się przez nią barwne typy o wiadomej profesji, a i ta może być nieoczekiwanie zmieniona. W tych rolach bawią zwłaszcza: Zbigniew Bogdański (Pan Mulleady), Zofia Bajuk (Colette), Alina Lipnicka (Bobo), Księżniczka Gracja (Zbigniew Grochal), Lech Grzmociński (Rio Rita). Jerzy Kreczmar, reżyser przedstawienia, uniknął szczęśliwie stylizacji w duchu komedii muzycznej, nie epatuje nas również egzotyką. Barwność obyczaju wynika tu z sytuacji, niejako z zawodu, który dla postaci jest naturalny. Gra pozorów zostaje obnażona; konwencjonalność i dobre maniery osób wyżej postawionych w hierarchii społecznej, moralność pobożnych, poezja patriotyzmu (chciałoby się powiedzieć — „ułańskość”) — wszystko to w zetknięciu z goryczą doświadczonego życia Pata i instynktowną dobrocią Meg (Teresa Kaczyńska) niknie, odsłania swoje zakłamanie. Pat i Meg to dwie wielkie role prowadzące przedstawienia. Bohater opowiadania Borgesa *Blizna* mówi: „Irlandia była dla nas nie tylko utopijną przyszłością i dotkliwą teraźniejszością; była także gorzką i serdeczną mitologią...”. Świadomie wybraną irlandzkość, stosowaną z logiką, doprowadzoną do absurdu, reprezentuje w sztuce Messje. Rola tę gra Andrzej Szalawski, z komizmem, który zyskuje przychylny widowni. Postać ta scharakteryzowana jest środkami głównie zewnętrznymi; w scenie nostalgicznej piosenki o dobrej, starej Anglii charakterystyczna „pocziwa” maska, zastęga we władczą twarz Anglika, czyniąc wiarogodną uwagę Leslie o zdumiewającym podobieństwie Messje do jego angielskiego pułkownika.

Inną irlandzkość reprezentuje Pat — wykończony właśnie poprzez swój udział w „ruchu”, znający więzienia „pełne irlandzkich patriotów” i niewdzięczność tych ostatnich. Gorycz, zmęczenie, znajomość praw życia, ale nie cynizm, kompleks wobec Meg — to motywy na jakich Łapiński zbudował swoją rolę. Zmęczoną twarz rozświetla uśmiech w rozmowie z Teresą (Matylda Szymańska). Zna chwałę i... nędzę walki za ojczyznę. Jeżeli ją kontynuuje to nie z przyzwyczajenia,

tchórzostwa, tym bardziej nie dla pieniędzy. Meg mówi: „Tak jak ty kiedyś, tak oni dzisiaj mają prawo do swojej musztry i maszerowania, swoich rewolwerów, i generałów, do swoich poświęceń i do białych koni, i do ran, i do ostatnich słów konającego, i do chwały”. Pat jest tym, który zna prawdę o brudzie wojny, także tej partyzanckiej, o niepodległość. Postać, którą stworzył Łapiński, jest konsekwentna — jeżeli trwa przy irlandzkości, to dlatego, że patriotyzm nie jest dla niego obcym, nieprawdziwym pięknem białych koni, ale nim samym. Wie, że walka o ojczyznę jest walką o własne ja „tutaj, teraz”. Kiedy światła się zapalają, wyprostowany, bez śladu fizycznej słabości Pat trzyma jeszcze karabin.

Meg Teresy Kaczyńskiej jest patriotką, tak jak okazuje dobroć, jak trwa obok Pata — instynktownie. Mimo wszystko, co przeszła w życiu, jej ufności dziecka, zaufanie i życzliwość do ludzi pozostało nietknięte. Ta rola wygrywa nie tylko możliwości aktorskie Teresy Kaczyńskiej, ale i jej „warunki”, typ urody. Skontrastowanie jej delikatnej urody, subtelności wrodzonej z nabytą krzykliwością reakcji, zamaszystością gestów, sprawia, że jej Meg nie jest tylko tragicznym typem prostytutki. „Kurwa o złym sercu” jest dzieckiem, które się broni

— przeciw życiu, tak jak potrafi. Powtarzający się w sztuce motyw sieroctwa jest w sztuce nieprzypadkowy. Są nimi także Zakładnik i Teresa. Matylda Szymańska w tej roli nie tylko dobrze śpiewa, w scenie wspomnień z sierocińca umie przekazać nie tylko liryzm, ale i istotny sens przesłania, jakim jest opowiadanie o małym chłopcu, „majowym królu”.

Stanisława Przybyszewska jest pisarką tyleż mało znaną, co znakomitą. Łatwo się o tym przekonać idąc na jej sztukę *Thermidor* w Teatrze „Wybrzeże”. Jest to przedstawienie, które wymaga od widza wielkiego skupienia, aby w pełni odsłoniły się związki między osobami sztuki, a także waga intelektualna problemów, jakie autorka podejmuje i rozstrzyga. Jeśli chodzi o realia historyczne, niezbędne dla pełnego rozumienia tekstu (i przedstawienia), przypomina je starannie opracowany program teatralny („Litera” przypominały postać i dorobek związanej z Gdańskiem autorki w numerze lutowym 1972 r. — „O Stanisławie Przybyszewskiej. Fakty i opinie” — s. 22) Reżyseria Marka Okopińskiego jest oszczędna, chciałoby się powiedzieć — ascetyczna. Rezygnuje całkowicie z piorunujących efektów — a taka potencjalna pokusa jest w



TEATR „WYBRZEŻE”. STANISŁAWA PRZYSZYSZEWSKA, THERMIDOR. SCENA ZBIOROWA
FOT. T. LINK

tekście sztuki ukryta — na rzecz wydobycia napięć między osobami, myśli przewodniej, i cel ten osiąga. Przypomnijmy, że jest to sztuka o Robespierre, w szerszym sensie o Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Głos autorki (Halina Winiarska) prezentuje nam występujące na początku postaci. Krag światła zatrzymuje Fouché (Florian Staniewski), Carnota (Stanisław Dąbrowski), Billaud-Varenne (Jerzy Kiszki), Collota (Ryszard Jaśniewicz), Vilate'a (Krzysztof Gordon). Jedność miejsca w *Thermidorze* zostaje zachowana. Niedawni zwolennicy i przyjaciele Robespierre'a czuwają — Fouché powodując umiejętnie ich lękiem, ambicjami, sprawia, iż dojrzejają do spisku. Jest on skierowany przeciw temu, kto ich przeraża, zagraża im poprzez swoje oddanie sprawie rewolucji, którą oni chcieli się tylko (świadomie lub nie) posłużyć, dać się unieść na fali przemian. Na scenie widzimy ludzi nienawidzących się między sobą. Łączy ich lęk i... fascynacja Robespierrem. Obserwując ukazaną nam ich grę, uświadamiamy sobie, że chwyt łowienia ich w światło reflektorów nie był przypadkowy. W istocie są w pułapce. Nie jest to pułapka zamku Alicji, jak z Albee'ego, chociaż gęsta atmosfera niewiadomego, ale nieuchronnego niebezpieczeństwa może taką asocjacje nasunąć. Jest to pułapka historii; ci, którzy na początku wydawali dekrety nie mogą jej cofnąć. Przełamuje się historia świata, ofiary terroru przestają być bezosobowe, właśnie wtedy, kiedy jest ich już tyle, krew przelewana

zbyt łatwo zaczyna płamić wszystko; zbrodnie polityczne, nieuczciwość osobista, jeżeli nie porusza sumienia, to budzi lęk przed odpowiedzialnością. Sytuacja u Przybyszewskiej jest uwarunkowana historycznie, ponadto nosi piętno stylu i obsesji autorki. Tworzy ona postaci prowadzące wobec siebie nieustanną grę, zmieniającą zależność między nimi, o skomplikowanym, bogatym życiu wewnętrznym. Każda z nich warta jest dużej roli.

Krzysztof Gordon jako Vilate nie stara się bynajmniej swojego bohatera uczynić sympatycznym. Postać, jaką tworzy, ma tiki i brzydkie maniere dzikiego wyrostka, znieprawionego przez nędzę. Ten dziennikarz, specjalizujący się w pamfletach, jest jednak pewny siebie — sytuacja polityczna pozwala mu wygrać niedomogi swojej sytuacji społecznej, swojego upośledzenia używa jako argumentu. Nad tymi, którym się sprzedaje, góruje inteligencją. Młodość go zawodzi — niewinność i wrażliwość biorą górę nad cynizmem, który chce sobie narzucić. Jest niezgrabny, zuchwały i nieśmiały — i wiedzący o tym wszystkim. Ma samoświadomość i chwilami zdumiony jest sam sobą.

Thermidor; „teatr Przybyszewskiej”; nie jest teatrem, który pozwalałby nam, usadowionym wygodnie, śledzić prawdę przedstawionych racji. Przybyszewska nie ograniczyła się do napisania historycznej sztuki o Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Zafascynowana nią, widzi jej przełomowe znaczenie dla historii; analizuje przyczyny jej upad-

ku — jednocześnie zwyrodnienie rewolucji, która zwycięża, niszcząc dawne ideały, o które walczyła. Bezpośrednio problematyka ta dochodzi do głosu w dialogu Saint Justa (Jan Sieradziński) i Robespierre'a (Henryk Bista). *Robespierre: Skoro powstanie zorganizowana potęga pieniądza, ona rozstrzygać będzie o losach narodów. Od razu kupi całą ekipę rządową od stóp do głów, zamiast po kramarsku smarować łapy poszczególnym jej członkom. Z chwilą, kiedy w ten sposób opanuje się rząd, będzie dzieciinną igraszką zaopatrzyć go w nazwę, zasady i program.* — *Saint-Just: Zgadza się. Ale dla kupienia rządu byłoby potrzebne miliardy, jakich nie ma na ziemi.* — *Robespierre: Jak zwykle przeceniasz ludzi. Przypatrz się tylko naszemu własnemu rządowi. Henryk Bista w roli Robespierre'a jest licyferyczny jak z „Tragedii człowieka”, zimny, o precyzyjnych, odmierzonych gestach jak z „Maleńkiej Alicji”. Ale, mój Boże, ten tylko nie wpada w manierę, kto nie posiada stylu.* ■

Brendan Behan *Zakładnik*; premiera 4. III. 1972 r. w Teatrze Kameralnym w Sopocie; przekład: Maria Skroczyńska i Juliusz Zuławski; reżyseria: Jerzy Krecmar; scenografia: Jan Kosiński, Barbara Jankowska (kostiumy); muzyka: Zbigniew Turski; kierownictwo muzyczne: Jerzy Michalak; układ tańca: Zygmunt Kamiński.

Stanisława Przybyszewska *Thermidor*; premiera 11. III. 1972 r. w Teatrze przy Targu Węglowym w Gdańsku; przełożył z niemieckiego Stanisław Helesztyński; opracowanie tekstu Jerzy Krasowski; reżyseria: Marek Okopiński; współpraca reżyserska: Stanisław Hebanowski; scenografia: Ali Bunsch.

Michał Misiorny

KAPITAN LAURENT

Schyłek wieku XIX był dosyć życzliwy dla portowej Marysli; dwa nazwiska niech wystarczą za rekomendację: urodzili się tam — niespokojny duch teatru, Antonin Artaud oraz wybitny (i chyba wciąż niedoceniany) prozaik, Edouard Peisson. Staroświeckie podręczniki uniwersyteckie (np. P. H. Simon, VII wyd. 1963) traktowały o marynistyce Peissona jak o kryminalistyce Simenona czy alpinistyce Josepha Peyré: ot dobry autor, rzetelnie traktujący o środowisku, będącym przedmiotem jego obserwacji, zwolennik „czystej akcji”, propagator obowiązkowości i dobrej roboty, itp. Był więc Peisson w pewnym sensie ofiarą etykiety „marynistycznej”: i w Polsce znamy bowiem sytuację, gdy krytycy, słysząc hasło „marynista”, często słusznie domyślają się „literatury pasażerskiej” i co rychlej, z przerażeniem, odkładają książkę na stos rzeczy nie czytanych. Tymczasem Peisson, autor „Parti de Liverpool” i „Gens de Mer”, jest przede wszystkim psychologiem i moralistą, a dobrze znane środowisko morskie stanowi jedynie tło dla jego wnikliwych analiz. I jest to przy tym (lub raczej: był) autor, który — inaczej, niż większość polskich autorów marynistycznych — żył także intelektualnym treściami swej epoki. W każdym razie małeńka powieść „Le Pilote” — która ukazała się ostatnio w polskim przekładzie jako „Mroczny kurs”) — pozwala domyślać się, że pisarz znał przynajmniej problematykę XX-wiecznych odmian personalizmu i egzystencjalizmu francuskiego i że korzystał z ich inspiracji, aczkolwiek nie bezkrytycznie.

Nie ma w „Mrocznym kursie” żadnych marynistycznych rodzajowości. Jest tylko człowiek, postawiony wobec problemu. Człowiek ginący, człowiek w upadku — dosłownym i metaforycznym. Jego problemem jest właśnie nieuchronność zbliżającej się klęski. Pierwotnie walczy o odwrócenie widma, o unieważnienie go — w imię zachowania dotychczasowego statusu brutalnego, pozbawionego życia wewnętrznego a nie pozbawionego rządzący władzy bydlaka — to znaczy osoby nieświadomej i moralnie nieodpowiedzialnej. Dopiero chwila, w której uświadamia sobie nieuchronność upadku, stwarza w nim człowieka. Kapitan Laurent dojrzuje w swym ostatnim rejsie do wolności do odpowiedzialności

moralnej, staje się nawet w pewnym sensie twórczy — gdy już oślepi, ale jeszcze wyposażony we władzę, ocali załogę, pasażerów, statek. „Utraciwszy wzrok, widział jasno po raz pierwszy w życiu...” — powie o nim autor.

Rodzi się pytanie, czy wartości, jakie ujawni w końcu Laurent, tkwiły w nim od początku jako pewna możliwość, jako — zgodnie z ojcem personalistów, Tomaszem z Akwinu — swoisty potencjał duchowy i moralny? Tego pisarz nie mówi, ale sama okoliczność, że prozą swą wywołuje tego rodzaju pytania, stawia go na szczelnie wysokim i odpowiedzialnym. Co do mnie, zadowolam się prostszą (i nieproszą zarazem) konkluzją o życiu, formującym człowieka: bo co w końcu po potencjale moralnym, który nigdy się nie zaktualizuje?

Powieść Edouarda Peissona ukazała się w dobrym przekładzie Very Soczewińskiej; pretensję zgłaszaam jedynie do tytułu: „Mroczny kurs” mówi wiele o książce, ale obiecuje trochę nie to, co wypada; może skromne francuskie „Le Pilote” byłoby jednak lepsze w postaci — choćby — „Sternika”, kierującego tyleż statkiem, co i samym życiem, swoim i cudzym, fizycznym i duchowym?... ■

*) Edouard Peisson, *Mroczny kurs*. Przekład Very Soczewińskiej. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1972, s. 140, cena 15 zł.

Ewa Borkowska

MORZE I O MORZU

Miłośników marynistyki zainteresuje wydana przez „Wydawnictwo Morskie” antologia szwedzkiej prozy morskiej. Tłumaczem zamieszczonych w publikacji tekstów, autorem aneksu biograficznego oraz słowa wstępnego jest Zygmunt Łanowski.*

W antologii przeważają formy nowelistyczne, ale nie brak w niej i fragmentów form powieściowych. Najstarszy z prezentowanych autorów, August Strindberg, urodził się w roku 1849, najmłodszy, Per Olof Sundman w roku 1922. Jak na to wskazują daty urodzenia pisarzy, Łanowski zapoznaje nas bardziej z klasyką, aniżeli literaturą dopiero torującą sobie drogę na wyżyny akademizmu. Dwadzieścia jeden tekstów, szesnastu autorów — to wybór stosunkowo niewielki, toteż trudno jednoznacznie stwierdzić jaki jest profil

szwedzkiej literatury morskiej, oddańnośne metody twórczej.

Łanowski sugeruje, iż jest to realizm. — „Ciężka praca na morzu uczy realizmu, każde odrzucenie to co jest tylko pozorem, a nie prawdą życia. Pisarz, który rzetelnie zna się na morzu i jego sprawach, to niemal zawsze realista.” I rzeczywiście, nawet znany dotąd polskiemu odbiorcy A. Strindberg w temacie morskim okazuje się realistą. Jego, utrzymane w tonacji cienkiej ironii i subtelnej humoru „Ślubowanie”, w detalach, a i w ogólnej wymowie, jest przecież jakąś odmianą weryzmu.

W „Drogach na głębinie”, spotykamy prozę „wilków morskich”, takich jak Evert Taube czy Ragnar Holmström. Jeśli jednak chodzi o wykazywanie się znajomością morza, laik między tekstami Taubego i Holmströma, a tekstami „grypiopórków z za biurka”, wielkich różnic nie dostrzeże. Czyżby więc każdy Szwed morze miał we krwi? Znaczący spraw morskich, okazuje się być syn samiego króla Gustawa V, Prins Wilhelm, autor opowiadania „Wybrzeże skał”.

Wszystkie teksty mówią o ludziach związanych z morzem. O trudnej pracy rybaka, pisał Ludvig Nordström w opowiadaniu „W porze wiosennych sztormów”, Artur Lundkvist w „Dorsach i wojnie” czy też Per Olof Sundman w reportażu „Ludzie nad morzem”. O pracy marynarza czytamy w „Wegiel kamienny — para” Harry'ego Martinsona i w „Bramie morskiej do Europy Północnej” Svena Barthela. Oczami dziecka patrzymy na morze i jego sprawy w utrzymanych w klimacie romantycznej przygody i fantazji, opowiadaniach Fritiofa Nilssona-Piratena i Everta Taubego. Razem ze szwedzkimi chłopami — emigrantami, wędrującymi w poszukiwaniu urodzajnej ziemi aż do Nowego Świata — przeżywamy trudy kilkumiesięcznego rejsu, w przypominającym „Pana Balcera w Brazylii” fragmentcie powieści Vilhelma Moberga.

Nie sposób omówić wszystkie teksty. Jak w każdym wyborze, tak i w tym, są teksty, które bardziej zwracają uwagę treścią i tematem, bądź też formą literacką. Do ciekawszych, jeśli chodzi o treść, obok wspomnianego już fragmentu Moberga, zaliczyłabym i Nordströma „W porze wiosennych sztormów” i Holmströma „Storpedowanie”. Nordström pisze o tragedii fińskich drobnych handlarzy-rzemieślników, z których jednego sztormu pozbawił życia, a dwóm innym odebrał ciutę latami mienia. Holmström opowiada o storpedowanym podczas wojny statku, z którego uratowało się tylko dwóch, wrogich sobie, ludzi. Treść różna, temat podobny — solidarność

ludzi morza. Fińskim rozbitkom przychodzi z ratunkiem rybak szwedzcy, zaś w „Storpedowaniu” człowieczeństwo bierze górę nad osobistymi urazami — krzywdzony, ratuje swego dawnego, ciężko rannego, prześladowcę. Morze, rozpina pomosty między ludźmi, przypominając, że wszyscy są z jednej, jakże kruchej, gliny.

Kilka słów chcę poświęcić fragmentowi większej całości, pióra Artura Lundkvista, zatytułowanemu „Dorsie i wojna”, nie tyle może ze względu na skądinąd ciekawą treść, ile na wybijający się na tle innych tekstów, a zauważalny szczególnie w pierwszej części, naturalizm przedstawienia. Autor opisuje port i wioskę rybacką — ośrodek „przemysłu” rybackiego, nastawionego na połów i przerobkę dorsza. Modernistyczno-naturalistyczne opisy okresu „rui”, dorszowych ławic, dosadne i turpistyczne opisy procedury dokonywanego w tej — wedle słów autora — „rzeźni morza”, kreślenie portretów ludzi odbiegających od przeciętnej normy, bogata secesyjno-barokowa metaforyka i wreszcie atmosfera fatalizmu, lekkim mistycyzmem zabarwiona — to najbardziej narzucające się formalne rysy powieści.

Zygmunt Łanowski, pisząc we wstępie o realizmie szwedzkiej literatury marynistycznej, za chwilę dodaje — „... morze w tysiącu swych zmiennych i przemijających kształtach, barw, fal i nieba pobudza fantazję pisarzy i poetów (...) Groza, rodzida fantazję i wciąż ją jeszcze pobudza. Żeglarze starożytni wierzyli w syreny, średniowiecze rysowało monstra tam, gdzie kończyły się karty geograficzne, folklor morski naszych jeszcze czasów każe pływać po morzach latającym Holendrom i zapelnia wrakami statków Morze Saragossowe”. Choć w prezentowanym wyborze mało odnajdziemy owej baśniowej fantastyki, zrodzonej w wyobraźni karmiennej starożytności, to jednak pierwiastek irracjonalno-fantastyczny jest w innej postaci. Najpełniej objawia się on w „Time charter” Josefa Kjellgrena. Autor zaznacza nie tylko — jak to ma miejsce i w innych tekstach — ponadczasowość morza, jego obojętność wobec małych i przemijających spraw ograniczonego czasem człowieka. Kjellgren mówi o samotności, zagubieniu i odwiecznym spleeniu ludzi morza, o ich trudnych do racjonalnego wytłumaczenia mrocznych teskotach, mówi o irracjonalnym, mistycznym niemal, wpływie morza na ludzką duszę. „Cóż to takiego jednak jest tam w głębinie — i jakie to silne i niejasne uczucie w nas samych kusi nas czasem niemal nieodparcie do wyskoczenia za burtę i zaginięcia w morzu? (...) Pragnienie by oddać się morzu —

garnia jak zawrót głowy i musimy mocno zaciskać garści na jakimś twardym przedmiocie by przywołać z powrotem rozsądek i nie ulec natychmiast chwilowemu popędowi — czytamy. Jakież to dalekie od zdroworozsądkowego realizmu, tu już dochodzą do głosu jakieś tajemnicze atawizmy, mistyczne archetypalne rojenia o morzu — kolebce wszelkiego życia i ostatecznej przystani — uczucia drzemią w głębokich złożach podświadomości, do posiadania których klucza, rościć pretensje może jedynie psychologia głębi. W opowiadaniu, mroczne popędy duszy ludzkiej znajdują spełnienie. Sixten, ten o którym koledzy marynarze mówili jako o kimś obcym, dobrowolnie wraca na łono pramki — morza. Dlaczego to czyni? O tym autor nie mówi wprost, albowiem jest to sfera niewiedomego. Pełne tajemniczości i niedomówień opowiadanie kończy się pytaniem: „Któż z nas nie stawiał przy relingu wpatrzony w dół, w przemykającą obok wodę, przenikany tajemnym pragnieniem wdziania na siebie ogromnego płaszcza morza?”

Czyżby więc należało zaprzeczyć wstępnej konkluzji, iż morską literaturę szwedzka zdominował realizm? Zamieszczone w antologii teksty, z których większość nosi znamiona realizmu, nie upoważniają do tego. Ale jest to przecież tylko dokonany pod pewnym kątem widzenia, wybór.

* * *

Sądze, że tytuł książki Leszka Proroka „Szkice bałtyckie i inne”^{*)}, jest adekwatny do prezentowanych w niej form. Właśnie szkice. Eklektyczny metodologiczny wychodzi im na złe i dobre. Na dobre, gdyż pozwala na zamieszczenie maksymalnej ilości popularnie podanej wiedzy oraz na przysłowiowe upieczenie wielu pieczeni przy jednym ogniu. Na złe, ponieważ zbyt nie zagęszczenie problematyki i treści, bez zastosowania surowych rygorów kompozycyjnych, wprowadza zamęt, w którym nierzadko gubi się myśl wiadczą. Niejednokrotnie trafne spostrzeżenia, fakty nieznanne laikowi, sąsiadują z truizmem, z dygresją czasami bardziej zaciemniającą problem, niż go objaśniającą.

Książka Proroka zawiera osiem szkiców. Spójny tematycznie jest jedynie trzon zbioru, na który składa się pięć szkiców dotyczących problematyki morskiej w literaturze morskiej. Trzy pozostałe zawierają tematycznie odrębną. Charakterystycznym rysem metody twórczej Proroka jest projekcja wiodącego wątku tematycznego na szersze, kreślone skrótowo i popularnie, tło historyczno-kulturowe. Otwierające zbiorok „Tradycje marynistyczne literatury polskiej” również od tej zasady nie odbiegają. Zawarty tu krótki przegląd polskiej literatury morskiej — począwszy od utrwalonej po łacinie przez Galla Anonima pieśni, a skończywszy na współczesnej marynistyce — opatrzone jest komentarzem odnośnie polskiej polityki morskiej, w przekroju historycznym. Autor dochodzi do mienownego wniosku, że temat morski nie jest bogato reprezentowany w polskim piśmiennictwie, że stanowił zawsze margines literatury narodu oracy. Już w tymże szkicu zarysowuje się problem, który przewija się przez inne „szkice bałtyckie”, a który doczekał się najszerszego omówienia w „Głębiach i mieliznach”. To regionalizm marynistyki polskiej. Prorok zdecydowanie opowiada się przeciw twórcom zaniżającym loty, dostrzegającym w problematyce morskiej jedynie egzotykę i rodzajowość, opowiada się przeciw uprawianiu „małego realizmu”. Autor słusznie stawia postulat uniwersalizmu, rzutowania spraw związanych z regionem na szersze tło problemów ogólnoludzkich. Toteż nie dziwi fakt, iż dalszą konsekwencją rozważań będzie opowiedzenie się za romantyką i uniwersalizmem literatury, podejmującą doświadczenia Conrada, a to ze względu na wysokie walory artystyczne i wychowawcze. Pewnych rysów tak właśnie pojętej literatury dostrzegamy się Prorok w twórczości Borchardta, Wasilewskiego i Krzyżanowskiego. Tematyce tej, a także recepcji marynistyki w środowisku marynarzy jest poświęcony szkic, noszący tytuł „Wspominki o mostkach kapitańskich”.

Wypada jeszcze parę słów wspomnieć o „innych” szkicach, zamieszczonych obok „bałtyckich”. Najbardziej przystaje tematycznie do „bałtyckich” szkic „O lutni kaszubskiej wspomnienie”. Dotyczy literatury

pisanej przez Kaszubów. Uwaga autora koncentruje się na genezie tej literatury, a w szczególności na dwóch przeciwstawnych sobie koncepcjach tej literatury, Ceynowy i Derdowskiego. „Zacharyasz Werner i jego dramat bałtycki” informuje o dramacie niemieckiego romantyka, a wielkiego sympatyka Polski, który swój „Krzyż nad Bałtykiem” poświęcił trzynastowiecznej Polsce, nadbałtyckim Prusom i Zakonowi Krzyżackiemu. Trudno doszukać się zasady, na jakiej dostał się do książki szkic „Junker Thaddäus, czyli niemiecka drama o Tadeuszu Soplicy”, skoro ani postać Engelberta Rehbronna nie ma nic wspólnego z morzem, ani Pomorzem, ani jego niemiecka przeróbka „Pana Tadeusza”. Szkice Proroka w sumie stanowią zapewne lekturę zdolną zainteresować miłośnika marynistyki a może i studenta filologii polskiej. Prorok pisze przystępnie i lekko, przy czym podaje sporo ciekawostek. Odbiór poszczególnych szkiców utrudnia kompozycja, niekiedy zaciera ją główny wątek myślowy.

*) *Drogi na głębiny — antologia szwedzkiej prozy morskiej*. Wybór i tłumaczenie Zygmunta Łanowskiego. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1971, s. 323, cena 30 zł. Projekt graficzny Tadeusza Ciesiulewicz.

**) *Leszek Prorok, Szkice bałtyckie i inne*. Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław—Warszawa—Kraków—Gdańsk 1972, s. 233, cena 20 zł. Projekt okładki Zbigniew Zebracki.

Bogusław Pomorski

GROMADA LUDZI ODWAŻNYCH

Kasubi rzadko spisują wspomnienia — swoje dokonania uważają po prostu za spełnienie obowiązku niegodny reklamy. Czują też wstręt do pióra, które miałyby obnażyć ich wewnętrzne przeżycia, troski, odkryć ich prywatne sprawy. To, że spłatały się one ze sprawami publicznymi, że ich prywatne losy jakże często były losami narodu — nie zawsze docierało i dociera do świadomości tych odważnych, zdol-



nych do najwyższych poświęceń ludzi. I dlatego tak mało mamy pamiętników, względnie wspomnień, które by objaśniały losy rodzin kaszubskich w latach zaboru pruskiego, czy okupacji hitlerowskiej — w tych okresach zwłaszcza, bo zaznaczyły się one największą ofiarą, były gorzką próbą obywatelskich postaw.

Wspomnienia Władysława Knosala^{*)}, opublikowane przez olsztyńskie „Pojezierze”, stanowią jedną z nielicznych prób spisania wspomnień z okresu „burzy i naporu”, z lat międzywojennych i okupacji hitlerowskiej. Autorka była nauczycielką polską w b. Rzeszy niemieckiej, zaangażowaną w Związek Polaków w Niemczech. Wywodzi się ze znanej rodziny Styp-Rekowskich w powiecie bytowskim, jednej z najbardziej doświadczonych krwawym terrorem rodzin polskich w brunatnej Rzeszy. Stutthof, Dachau, Gusen, Ravensbrück, więzienia kosałskie, olsztyńskie i berlińskie — to droga cierpień członków tej rodziny, z której niektórzy nigdy nie wrócili w rodzinne strony.

Knosala zaczyna swoją opowieść od domu rodzinnego, z którego wyniosła wiarę w Polskę — ojczyznę i surowe przykazanie, by jej służyć na każdym kroku na obczyźnie. Polskie książki i gazety, nauki rodziców i otoczenia polskiego kształtowały w dojrzewającej dziewczynie poczucie narodowej godności i pragnienie służenia swej ojczyźnie w przyszłości. Stosunek niemieckich szowinistów do Polaków, którymi gardzili i ich poniżali, hartował tylko młodych ludzi, wzmagając ich upór.

Autorka wspomnień wyszła z domu, w którym pielegnowano tradycje narodoowe i na równi z nimi tradycje regionalne, kaszubskie. Znano dzieła kaszubskich pisarzy, śpiewano kaszubskie koledy (jedną z nich autorka cytuję), szczególnie popularny był znany marsz Derdowskiego „Tam gdzie Wisła...”. Ten kaszubski dom był solą w oku Niemcom. Jedenastoro ludzi czynnie zaangażowanych w walkę o polskość było przykładem dla wielu innych rodzin polskich, jak należało pracować, aby nie utracić z narodowego stanu posiadania — i owszem, poszerzać go nawet.

W książce śledzimy losy nie tylko rodziny Styp-Rekowskich, nie tylko samej autorki, lecz wielu Polaków wywodzących się z ziem należących wówczas do Rzeszy, a także przybyłych na te tereny z głębi Polski, by wspomagać polskie inicjatywy, zwłaszcza w szkolnictwie. Autorka wspomina ludzi, którzy po pierwszej wojnie światowej podejmowali w powiecie bytowskim starania o włączenie go do odradzającego się państwa polskiego, a gdy to się nie udało, urwali na swoim posterunku. Przytaczająca większość z nich w konsekwencji została osadzona w obozach koncentracyjnych i tam zakatowana, wielu też, jak np. rolnika z Kłaczna, Antoniego Szredera, ścieto w berlińskim więzieniu Plötzensee.

Najwięcej miejsca poświęca autorka swojej pracy i działalności w Olsztynie, w którym przebywała od 1935 do 1939 roku. Nowe środowisko i nowe sprawy, najważniejszą jednak była walka o duszę polską, zaznaczająca się przede wszystkim staraniami o polską szkołę, którą ostatecznie uruchomiono i zapewnił jej bardzo wysoki poziom nauczania. Przed wybuchem wojny autorka wyjechała do Warszawy, gdzie zresztą nie spotkała się z życiowością mieszkańców, musiała więc wrócić do Olsztyna, prosto w ręce gestapo.

Osobne rozdziały poświęca autorka rodowi Knosala — zasłużonej rodzinie śląskiej, z której wywodził się jej mąż, również nauczyciel i działacz polonijny, zakatowany w obozie koncentracyjnym. Opis ostatnich dni wojny i wyzwolenia oraz refleksje snute, wokół przebytej drogi, już w wolnej Polsce zamykają te interesujące wspomnienia. Aneks zawiera spis szkół polskich na Warmii i ich nauczycieli w 1935 r., wykaz uczniów szkoły polskiej w Olsztynie w dniu jej otwarcia w 1934 r. i rozkład zajęć szkolnych olsztyńskiej szkoły polskiej.

Książkę Władysława Knosala trzeba koniecznie przeczytać, bo jest to z jednej strony lektura frapująca, z drugiej zaś strony — i to jest najważniejsze — stanowi ona raport z przebytego życia, w którym więcej było spraw publicznych, niż prywatnych, w którym odwaga i poświęcenie traktowane były jako obowiązki każdego świadomego Polaka w Niemczech. Książka ta wzywa nas też na apel poległych za polską sprawę.

*) Władysław Knosala, *Była nas gromadka spora*. Pojezierze, Olsztyn 1972, s. 296 + tabl. ilustr., cena 25 zł.

Tadeusz J. Żółciński

JAŁOWCOWE ŻNIWA

Mało komu znana jest poezja Marii Czerkawskiej^{*)} — nestorki polskich poetów. Urodzona w 1881 roku w zapadłej wsi Bezmiechowa w Bieszczadach, prowadziła życie samotnicze, nie przynależąc do żadnych grup poetyckich, nie ogłaszając żadnych manifestów, jedynie od czasu do czasu publikując po różnych czasopiśmie swoje wiersze, z

których powstawały później tomiki poezji. Debiutowała „Poezjami” w 1908 roku. Debiut ten przypadł na okres działalności Młodej Polski, na lata, kiedy działały już w poezji skodyfikowane kanony estetyczne nowego pokolenia poetyckiego. I jak słusznie zauważa Jerzy Kwiatkowski, autor wstępu do „Wyboru wierszy” Czerkawskiej, była to epoka znakomitej poezji, ale równocześnie epoka poetyckich koturnów. Mimo to Czerkawska potrafiła z miejsca wypracować swój własny styl poetycki, nieskonformizowany, wyróżniający ją od dziesiątków ówczesnych młodopolskich poetów, których czas podał całkowicie zapomnieniu. A może Czerkawska od młodopolskiej sztampy trzeciorzędnych poetów uratowała fakt, że żyła na uboczu ówczesnego życia artystycznego, koterijnych walk i że jej poetycki debiut przypadł już na schyłek tej epoki, pozwalając przełamać barierę ówczesnej poetyckiej umowności? Nie bez znaczenia są w poetyckim rozwoju Czerkawskiej wpływy Leopolda Staffa.

Samotnicze uprawianie poezji, życie na uboczu również i towarzyskim, zachowała Czerkawska do dnia dzisiejszego, mimo iż od lat wojny zamieszkuje stale w Krakowie. Nawet niechętnie uprawia podróż i chyba jedną większą eskapadą poetycką, która zakończyła się totem poetyckim „Sieci na wietrze”, był wyjazd nad polskie morze. Tomik ten uległ zapomnieniu, a przecież wydany w 1931 roku wnosił nowe spojrzenie naszej poezji na żywioł morski. Czerkawska jest poetką liryczną, poetką chwili, jednorazowego nastroju, ale równocześnie głęboko ludzkiej, filozoficznej zadumy. Ten ostatni element zaczyna szczególnie ostro dominować w jej późniejszych wierszach, zamkniętych w cyklach „Kraj lat dziecinnych”, „Kraków” i wierszach publikowanych po czasopiśmie, a nie objętych żadnym tomikiem.

Czerkawska będąca jakby poetką wsi, rozkochana w większym pejzażu, szukająca w nim natchnienia do swoich poetyckich obrazowań, przenosił się do miasta, z całą ostrością dojrzała okrucieństwo ludzkiej cywilizacji. Wystarczy zajrzeć do takich wierszy jak „Ptaki”, „Cisza”. Zdając sobie sprawę z przepływającego czasu, dokonując obrachunku ze swoim poetyckim życiem, z iscie franciszkańską pokorą zapytuje w wierszu „Siwa młodość”:

Dobłą noc mi podaje książkę z za-
teatru,
nie zawsze ją wraz z ciszą
sennych ulic biorę,
teka lat leży przy mnie — nie
wiem, czy w porządku
i czy ją oddam w porę.

To wyznanie swojej poetyckiej wiary w nieprzemijalność artysty, który jednakże odczuwa całą znikomość swojego trudu, skreśliła Czerkawska w 1945 roku. Z czasem do poczucia obawy niemożności zdążenia na czas, doszedł element lęku przed zatraceniem ciszy, jakże potrzebnej artyście w tworzeniu:

Nie zanie ciszy tej tagodnej pami-
skazanej dzisiaj bezmyślnym
wyrokiem
na śmierć wygnanie.

O zmroku była jeszcze w moim
domu
wyszła przed pierwszym
uderzeniem gromu
nie powróciła.

Jak skrócić linię trudnego
czekania —
czym zedrzyć zniszczyć kłótni
krzyków żądę —
cisza nie wróci. Zgubiłam jej
adres.

Lecz wróćmy do jej przedwojennego tomiku „Sieci na wietrze”, jako, iż śmiało można go zaliczyć do poezji marynistycznej, której śladów i rodowodu od lat tak chętnie szukamy. Na tomik ten złożyło się dwadzieścia osiem wierszy — relacji — odczuć poetki z zetknięcia się z morzem i jego ludźmi. Niestychająca skrótość myśli, kontrastowanie zdarzeń faktów z odczuciami, konfrontowanie żywiołu morskiego jako elementu przyrody z ludzkimi poczynaniami, wyznaczącymi w efekcie dzieje ludzkiego losu, jakże zależnego od przyrody. Dla przykładu wiersz otwierający ten tomik:

Dni twe to geste, szare oka sieci
Z mocnej przędzy, twardą ręką
wiązane.
Dzieje twoje od spłowiutych
stuleci
Były na wodzie pisane.

Świeci przez nie, jak spod powieki
oka,
Głębia morza szmaragdem
ciemnym, chłodnym—
Otacza je szafirowa zatoka
Szukaniem cichym, łagodnym.

Czasem się oka rwą w własnej
przystani,
Czasem je burza chwyci
i zagarnie —
A ląd odwota je z mrocznej
otchłani
Na jasny cmentarz w Jastarni
(Rybacy)

Nieco inaczej ten sam problem
mierzenia się losu ludzkiego z mor-
skim żywiołem przedstawił w wiers-
zu „Boja”:

Wola boja chraptliwym, ponurym,
rozpacznym głosem:
Uciekajcie, uciekajcie — nie
mierzyć się wam z losem.
Macie bezkres i brzeg, macie
życie i śmierć w odmetach —
Kogoś, co nienawidzi, kocha albo
tylko pamięta.

Płynięcie w którąkolwiek stronę,
jakakolwiek bądź drogę —
Omijajcie mnie, co tonię i utonąć
nie mogę.

Na tym tle zupełnie inny charak-
ter posiada wiersz bez tytułu, w
którym poetyckie obrazowanie opar-
te jest na zasadzie sonetu ballado-
wego:

Gwiazdy bledną — —
Morskiej latarni tuk się złoci — —
Łódź i woda zlaty się w jedno,
Gną się jak gładki grzbiet koci.

Odlóż wiosła — —
Z objęć wtru, z pieśzcot kipieli,
Sama fala będzie nas niosta
Do brzegu — — co nas rozdzieli.

W wierszu tym można by się do-
szukać dalekiego powinowactwa z
sonetami krymskimi Mickiewicza. I
jeszcze jeden wiersz, warty przyto-
czenia, pisany przez poetkę najpraw-
dopodobniej pod wpływem zwiedza-
nia budującego się wówczas portu
gdyńskiego:

Czy też biogostawiona jest ci
twoja praca?...
Zelazne naprawdę masz zdrowie...
Jeden ciężar złożyłeś, już po
drugu wracasz,
Jak człowiek, jak szary człowiek.

Stękaś czasem i zgrzyłas, krząc
bez wytchnienia —
Co kazano, czynisz
najsprytniej — —
I nie masz czasu spojrzeć, jak w
stońca promieniach
Jaskrawo śliczny port kwitnie.

(Żuraw portowy)

Niestety „Sieci na wietrze” były
wynikiem jednorazowej fascynacji
Czerkawskiej morzem. Nigdy też póź-
niej w swojej poezji nie wracała
do tej tematyki, w żadnym jej póź-
niejszym opublikowanym wierszu nie
znajdziemy morskich reminiscencji.
Lecz kiedy sięgniemy do tomu jej
wierszy wybranych „Jatowcowe żni-
wa”, zajrzyjmy również i do cyklu
wierszy morskich „Sieci na wietrze”,
cyklu, który na pewno nie jest naj-
lepszym w jej całej poetyckiej twórczo-
ści, niemniej jednak ciekawym
ze względu na odmienną poetyc-
ką obrazowania tej tematyki, do
której przywykli nas inni poeci,
szczególnie spod znaku futurystów
i awangardystów.

Maria Czerkawska, *Jatow-
cowe żniwa*. Wiersze wybrane. Wstęp
i wybór Jerzego Kwiatkowskiego.
Wydawnictwo Literackie, Kraków
1972, s. 260, cena 35 zł.

Bogusław Pomorski

„LITERY” NA TLE CZASOPISM REGIONALNYCH

Wszystkie województwa posia-
dają już własne czasopisma
społeczno-kulturalne, z wyjątkiem
może Krakowa, gdyż wydawane tam
„Życie Literackie” ma charakter
czasopisma ogólnokrajowego. W więk-
szości są to miesięczniki wydawane
przez RSW „Prasa”, powstałe na
gruncie regionalnych periodyków o
różnej częstotliwości ukazywania się
i niejednokrotnie wydawanych przez
towarzystwa kulturalne i inne. Przy-
pomnijmy, że poprzednikiem „Liter”
były „Kaszëbë” — dwutygodnik
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Niektóre czasopisma wojewódzkie
wychodzą już dziesięć i więcej lat,
jednak głębszej charakterystyki do-
czekały się dopiero teraz, dzięki ba-
danom przeprowadzonym przez O-
środek Badań Prasowych w Krako-
wie. Wyniki tych badań omawia
Władysław Masłowski w artyku-
le „Typologia i poczynność wojewódz-
kich czasopism regionalnych”. Ba-
dania przeprowadzono pod kątem
„porównawczej analizy 15 tytułów
pod względem tematyki, gatunków
dziennikarskich, stopnia trudności
języka, nasycenia treściami regional-
nymi, poziomu przystępności tekstu”.

Co można krótko i tym samym
schematycznie powiedzieć o poszcze-
gólnych czasopismach, w tym zwi-
szcza o „Literach”? Przede wszyst-
kim wyłoniły się grupy czasopism
do siebie zbliżonych pod względem
zawartości i popularności. „Nurt”
i „Odra” i „Litery” zostały zakwalifi-
kowane do pism elitarnych, nauko-
wych o zainteresowaniach humani-
stycznych i społecznych. „Warmia i
Mazury”, „Poglądy”, „Opole”, „Pro-
file”, „Kontrasty” zaliczono do pism
niezdecydowanych, to znaczy nie po-
siadających wyraźnie sprecyzowane-
go profilu. Największą grupę, bo
siedem pism z „Pomorzem”, „Kame-
ną”, „Pobrzeżem” i mazowieckimi
„Barwami”, zalicza się do pism po-
pularnych. Interesująco przedstawia
się stopień regionalności poszczegół-
nych czasopism. Tak np. materiały
wskoregionalne preferują wyraźnie
„Kontrasty”, „Barwy”, „Profile” i
„Pobrzeże”, natomiast „Litery”, „Po-
glądy”, „Nadodrże”, „Opole” i „Prze-
miany” odznaczają się dużym pro-
centem materiałów regionalnych, ale
mogących budzić zainteresowanie
czytelnika w całym kraju. Materiały
ponadregionalne preferują takie cza-
sopisma jak „Pomorze”, „Nurt” i
„Odra”.

Preferowana tematyka, gatunki
dziennikarskie i język decydują nie-
wątpliwie o charakterze czytelnika.
Jak już wspominałem, „Litery” pre-
ferują tematykę naukową (z tym
można oczywiście polemizować), pro-
blematykę twórczości i kulturalną,
podobnie zresztą jak poznański
„Nurt” i częściowo wrocławski
„Odra”. Podstawowe gatunki dzien-
nikarskie stosowane w „Literach”,
to wykład, recenzja i artykuł. Język
„Liter” zakwalifikowano jako trud-
ny (to samo dotyczy „Nurtu”,
„Odry”, „Opola” i „Pogładów”).
Łatwy język mają „Przemiany” i
„Barwy”, reszta pism wyróżnia się
językiem średnim. Poziom wykształ-
cenia adresata „Liter” określono ja-
ko wysoki (przygotowanie uniwersy-
teckie), ale nie specjalistyczny. Naj-
wyższy poziom publikacji zawiera
„Nurt”, a następnie „Odra” i na
trzecim miejscu znajdują się „Lite-
ry”. Mniej więcej ten sam układ za-
chowuje się przy określeniu trudności
języka.

W tej sytuacji można postawić
pytanie: jak układa się poczynność
poszczególnych pism regionalnych?
Oczywiście nie tylko zawartość, je-
zyk, charakter decydują o poczyn-
ności, ale i cały spłot uwarunkowań
społeczno-demograficznych, charak-
terystycznych dla danego wojewódz-
twa. Najbardziej poczytne są cza-
sopisma zaliczone do grupy popu-
larnych, w mniejszym stopniu
elitarnie, najmniej poczytne są
jednak te czasopisma, które mają
niezdecydowany charakter.
Na czele listy najbardziej czytanych
czasopism jest „Pomorze” (wskaź-
nik 20), następnie „Przemiany” (47)
i „Pobrzeże” (57). Najgorzej rocho-
dzą się rzeszowskie „Profile” (700),

katowickie „Poglądy” (502), „Nurt”
(252), „Odra” (166), „Warmia i Mazu-
ry” (156). „Litery” zajmują miejsce
pośrodkie ze wskaźnikiem 139 (im
wyższy wskaźnik, tym mniejsza po-
czynność).

Autor artykułu szeroko analizuje
przyczyny poczynności lub niepoczyn-
ności poszczególnych czasopism, by
stwierdzić, że „...największe szanse
powodzenia wśród czytelników ma-
ją czasopisma regionalne wychodzą-
ce na danym terenie od wielu lat,
poświęcające dużo miejsca problema-
tyce społeczno-politycznej (ale nie
tylko własnego regionu) i ogranicza-
jące problematykę kulturalno-literac-
ko-naukową, wystrzegające się pozy-
cji informacyjnych i recenzji oraz
wszelkich pozycji dużych, a zamie-
szczające wiele reportaży i pozycji
krytycznych, pisane przystępnym ję-
zykiem”.

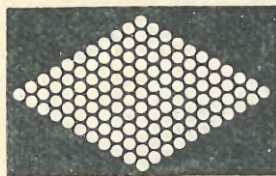
Czy taki model powinny przyjąć
wszystkie czasopisma regionalne, aby
zyskać większą poczynność? Autor
artykułu odpowiada: „Wydaje się...
że do tak nakreślonego modelu po-
winni dążyć te tytuły, które mają
charakter popularny, cieszą się już
w tej chwili względnie wysoką po-
czynnością: *Przemiany*, *Pobrzeże*,
Odłogi, *Nadodrże*, *Kamena i Barwy*”.

A co z pismami elitarnymi, jak „Li-
tery”, „Nurt” i „Odra”? Masłowski
uważa, że są one potrzebne i nie
powinny gonić za czytelnikiem ko-
sztem ogólnego poziomu. Pisze: „...nie
wydaje się celowa zmiana elitarnego
charakteru *Nurtu*, *Odry* i *Liter*. Na-
leżałoby raczej postulować rozsze-
rzenie zasięgu ich oddziaływania
również na inne województwa nie
posiadające własnych pism o tym
charakterze. Należałoby też rozwa-
żyć możliwość powołania w Gdańku
i Poznaniu... pism regionalnych o
charakterze bardziej popularnym,
lub rozszerzenie zasięgu *Pomorza* na
te dwa województwa”.

W związku z niską poczynnością
„Warmii i Mazur”, „Opola”, „Kontra-
stów” oraz „Profilu” autor postulu-
je zmianę ich profilu i zbliżenie do
pism popularnych typu „Pomorze” i
„Przemiany”.

Artykuł Masłowskiego jest bardzo
ciekawy, dostarcza bowiem redak-
cjom nieco rozeznania na regional-
nym rynku wydawniczym, pozwala
zastanowić się nad sposobem redag-
owania czasopism, a i zaintereso-
wanym czytelnikom daje sporo ma-
teriału do refleksji.

*) Władysław Masłowski,
*Typologia i poczynność wojewódz-
kich czasopism regionalnych*. Zeszyty
Prasoznawcze, Kraków 1972, nr 1,
s. 17—32. Ośrodek Badań Prasoznaw-
czych RSW „Prasa”. Cena zeszytu
20 zł.



OBSERWACJE METEOROLOGICZNE W GDAŃSKU

Kultura Oświecenia wcześniej
przeniknęła do Gdańska,
wcześniej, niż na inne ziemie Rzecz-
ypospolitej. Kontakty handlowe i
naukowe z zachodnią Europą, oży-
wiony handel księgarski i wiele in-
nych czynników sprzyjało rozwojowi
nauki i kultury w nadbałtyckim
mieście i ich oddziaływaniu na pol-
skie życie intelektualne.

W Gdańsku wcześniej niż w War-
szawie (1776) i Wrocławiu (1791) za-
częto prowadzić stałe obserwacje me-
teorologiczne, mianowicie już w
1730 roku prowadzono tutaj stałe ob-
servacje nad stanami pogody. Temu
problemowi — stałym obserwacjom
nad stanami pogody — poświęcił in-
teresujący artykuł Małgorzata i
Jerzy Szukalscy. „Pod wpły-
wem hasła Oświecenia — piszą autorzy
— mieszczaństwo gdańskie podjęło
ceną inicjatywę kolekcjonerską ob-
jemującego przede wszystkim książ-
ki, a później również atlasy i mapy
geograficzne, atlasy przyrodnicze i
astronomiczne oraz minerały i ska-
mieliny. Zbiory te pomagały nie tylko

poznawać nieznane przedtem proble-
my, ale pobudzały myśli w kierunku
prowadzenia badań naukowych”.

Już w 1720 roku powołano w Gdań-
sku towarzystwo naukowe p.n. „So-
cietas Litteraria”, a nieco później,
bo w 1742 roku założono Towarzyst-
wo Przyrodnicze, które odegrało
bardzo ważną rolę w podejmowaniu
inicjatyw badań przyrodniczych. W
drugim tomie prac towarzystwa, o-
publikowanym w 1754 roku, umiesz-
czono interesującą publikację G.
Reygera na temat obserwacji pogo-
dy w Gdańsku, opartą na codzien-
nych spostrzeżeniach meteorologicz-
nych, prowadzonych przez autora w
latach 1730—1749.

Małgorzata i Jerzy Szukalscy szcze-
gółowo analizują wyniki pierwszych
stałych obserwacji w Gdańsku, pro-
wadzonych przez G. Reygera w okresie
dwudziestoletnim, zakres tych ob-
servacji, sposób ich interpretacji i
wniosków, jakie z nich wyciągnął
autor. W rekapitulacji Szukalscy
stwierdzają: „Mamy... do czynienia
z konsekwentnym rzetelnym syste-
matycznym i obejmującym coraz to
większe obszary obserwacji meteor-
ologicznych. We wszystkich swych
pracach G. Reyger wykazał doświad-
czalne podejście do zagadnień zwi-
ązanych z kształtowaniem się pogo-
dy na terenie Gdańska i szukał we
wszystkich zarysowanych się zmi-
nach przyczynowości. Cechował go
postęp i materialistyczne podejście w
wyjaśnianiu zjawisk zachodzących w
przyrodzie. Jego myśl teoretyczna
wybiegała znacznie ponad istniejące
możliwości techniczne dokonywania
pomiarów. Wiele natomiast stwier-
dzeń błędnych podyktowanych było
przede wszystkim całkowitym w o-
wym czasie brakiem wiadomości na
temat genezy i kierunku przemiesz-
czania się mas powietrznych, słabej
znajomości wpływu czynników geo-
graficznych na kształtowanie się lo-
kalnych warunków klimatycznych
oraz braku ujednoliconych metod
pomiarów w oparciu o precyzyjny
sprzęt pomiarowy”.

Artykuł Szukalskich jest ciekawym
i wartościowym przyczynkiem do
dziełowej nauki w Gdańsku XVIII-
wiecznym. (T. B.)

*) Małgorzata i Jerzy Szu-
kalscy, *O pierwszych stałych ob-
servacjach meteorologicznych w
Gdańsku w XVIII wieku*, „Przegląd
Geograficzny”, R. XVI, 1971, z. 3, s.
243—252.

Paweł Śpiewak

STRACONA SZANSA

Tom szkiców i esejów Tomasza
Burka „Zamiast powieści”
rozpoczyna się rozprawą „Nowe
dzieło? — czym miałoby ono być, co
nowego reprezentować? Odpowiedź
można ująć w kilku zdaniach, któ-
rym patronują najwybitniejsi współ-
cześni pisarze. Kult autentyczności,
„fascynacja prawdą osobiczą prze-
żyta i wyczerpana”, poszukiwanie
prawdy nagiej, odartej z wszelkich
komentarzy i spekulacji, albowiem
„literatura nie wytrzymuje już
konkurencji z rzeczywistością”. Nie
trzeba chyba dodatkowo komento-
wać tego założenia. Całe zadanie pi-
sarzy ma się skupić na opisanu
rzeczywistości, ogarnięciu jej, zro-
zumieniu. Ten typ literatury, „li-
teraturę faktów”, uprawiają lub u-
prawiali w Polsce między innymi
Tadeusz Borowski, Leopold Bucz-
kowski, Marek Hłasko, Bogdan W-
ojdowski i wielu innych. Każdy z
nich oczywiście reprezentuje inną
poetykę, ale wydaje mi się, że
wspólna jest im owa fascynacja fak-
tem, wyjęciem z najbliższej otacza-
jącej nas rzeczywistości w przeci-
wienstwie do literackiego zmyśle-
nia, fikcji niezależnie od tego, jak
wiele ogólniejszej prawdy kryje się
w tym zmyśleniu. Łączy ich nie-
chęć do ujęć systemowych, history-
zoficznych, poszukiwanie konkretn-
ego doświadczenia, „nagiego przeży-
tego faktu”.

Ten nurt na gruncie polskim ma
chyba być przede wszystkim bun-
tem przeciw takiemu obrazowi pol-
skiej prozy, jaki przedstawia Burek
w eseu „Przewlekła rewolucja”,
gdzie charakteryzując prozę polską
XIX wieku w opozycji do literatury
rosyjskiej mówi o jej liryzmie, któ-
ry „nie jeden raz służył nie swobod-
zie poszukiwaniu, lecz jest wybie-
giem przed dramatem myśli; wzięta

w całości, powieść ta jest ciągłym kompromisem, ciągłym układaniem się z przestarzałymi koncepcjami i ciasnymi pojęciami o świecie". Może właśnie jednym z objawów odwrotu od tego rodzaju powieści jest w Polsce olbrzymie zainteresowanie ruchem pamiętnikarskim, różnego typu biografiami. Ciekawe jest, jak mi się wydaje, że tzw. „literatura faktu” przeważnie skierowuje swoje zainteresowania na pewien typ marginesu społecznego, na środowiska drobnośleszczanskie, lumpowskie, jak gdyby tam miała znaleźć nagą prawdę o życiu.

W tym właśnie nurcie próbuje się umieścić Władysław Huzik^{*)} ze swoim debiutanckim tomem opowiadań „Te małe gnojki w nocy”. Biografia autora, która chyba jest ważna dla czytelnika tej książki, należy do nieprzeciętnych, jest można by rzec londyńska. Od trzynastego roku życia pracował zarobkowo w różnych zawodach ucząc się jednocześnie. Dwa lata spędził w Domu Dziecka. Huzik pragnie w swoich opowiadaniach odtworzyć aurę swego dzieciństwa, przedstawić przyjaciół i wrogów, których spotkał w czasie swojej łazgi po Polsce i w Domu Dziecka. Takie jest zamierzenie. Pozostaje stwierdzić, jak autor potrafił odtworzyć tę swoją rzeczywistość, na ile udało mu się wygrać dwa swoje największe atuty — świeżość i autentyzm osobistego doświadczenia.

Pod jednym dachem mieszkała kilkuletni „gnojki” i dwudziestoparoletni wychowankowie, już pracujący. Wielu to niedorozwinięty umysłowo. Są również, albo byli ludzie ambitni, pracowici. Niektórzy zostali naukowcami, dziennikarzami, inżynierami. Spotyka się tutaj najrozmaitsze typy ludzkie z przedziwnymi biografiami, związane jednym, wspólnym pobytom w Domu Dziecka. Autor próbuje niektórych sporettretować z osobna, czasami ujmuje ich jako większą grupę. Od państwa dostają dach nad głową, wyżywienie, ubranie i szanse zdobycia zawodu: możliwość nauki i pracy. Opiekunowie, dobrani często przypadkowo, nie zawsze potrafili ułożyć nawet poprawne stosunki ze swymi wychowankami. W sumie chłopcy zdani są przede wszystkim na siebie samych i na pomoc rówieśników. I to jest ich najpewniejszą i najtrwalszą ostoją ich indywidualnego bezpieczeństwa. Koleżeństwo, braterstwo tworzy najsilniejszą więź. Takie wydają się intencje autora i tak mniej więcej wygląda szkice konstrukcyjne książki. Przemawia za nim bogate, życiowe doświadczenie. Sam był jednym z tych, którzy nie mieli łatwego startu. Otarł się o najróżniejsze środowiska, ma więc wspaniały materiał literacki i chce być pisarzem. Nie wystarczy mu więc wąsko pojęta autobiografia. Ma ambicję kontynuowania obrazu rzeczywistości.

Autor wie dobrze co ma opisać, jakie sytuacje są najciekawsze literacko i dające największe możliwości. A jednak odnosi się wręcz jakby odcierał się tylko o swój świat, nie potrafił poddać go rygorom swojej wyobraźni, wizji. Nie ma tu pogłębienia, brak moralnego czy choćby socjologicznego planu. Nie dają o sobie znać wartości porządkujące, nadrzędne. Stąd te obrazki, opowiadania są jakby luźnym zapisem. Nie ma tu tej warstwy pytań, problemów, jaka funkcjonuje między czytelnikiem i pisarzem. Bo rzeczywistość literacka musi stawiać pytania, tworzyć niedomknięty krąg, którego zamykanie pozostawia się czytelnikowi.

Zbyt dużo tu informacji, komentarza opatrzonego takimi sformułowaniami: młwi — złośliwie, śmieje się — szczerzo. Tworzy to raczej aurę gazetowego reportażu. Z dramatycznych sytuacji robi czasem tani oleodruk, sentymentalne historyjki, dydaktyczno-socjologiczne. To właśnie jest charakterystyczne, że proza Huzika nie ma wymiaru społecznego, lecz tylko społecznikowski. W najmłodszej poezji istnieje u nas nurt ekspresjonizmu, który przetrwał się w wyraźnym sentymentalizmie. To samo można by powiedzieć o prozie Huzika. Ma on tendencję do ekspresjonizmu, ale proza jego rozplywa się w płytki sentymentalizm. Wszystkie środki opisu dążą do tego, aby wzbudzić litość dla autora i jego biednych współtowarzyszy.

Szansa pisarska Huzika to fakt, że startuje on z pozycji grup marginalnych, w jakimś sensie dewiantnych. Ma możliwość dać najostrejszy obraz społeczeństwa, jego norm, zachowań, ideologii a choćby konkretnie me-

chanizmów, umożliwiających wyjście poszczególnym osobom z Domu Dziecka, wyjścia polegającego na pełnym usamodzielnieniu, wyrównaniu startu, rozwoju osobowości. Huzik pisze z pozycji, w której stopień i typ powiązania z poszczególnymi instytucjami społecznymi ma swoją wyraźną specyfikę i odrębność w stosunku do innych młodych ludzi. Startuje z gorszych pozycji. Stąd, o czym daje znać w swoich opowiadaniach, częściej jest pokrzywany, odrzucany. Ma jako pisarz za to większe szanse wejścia w sferę rzeczywistości ukrytej, niechętnie ukazującej swoje oblicze.

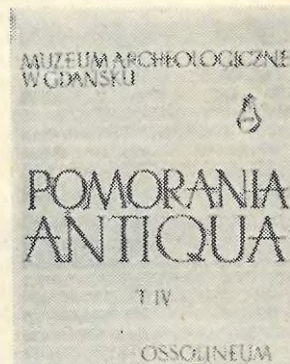
W sumie listniejsze w tej książce olbrzymi dystans między tym w jakiej sytuacji społecznej znajduje się autor i tym co proponuje w postaci ułatwionych i nieostreżonych rozwiązań.

*) Władysław Huzik, *Te małe gnojki w nocy*. Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1971.

ZAPISKI WYDAWNICZE

POMORANIA ANTIQUA, t. IV. Muzeum Archeologiczne w Gdańsku. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1971, s. 534, ilustr. + mapa na wkładce, cena 100 zł. Redaktor Leon Jan Łuka.

Znakomicie redagowane wydawnictwo gdańskiego Muzeum Archeologicznego zawiera artykuły m.in. Wandy Sarnowskiej „Związki Pomorza ze Śląskiem i Wielkopolską w I okresie epoki brązu”,



Leona Jana Łuki „Polskie badania archeologiczne na Pomorzu Gdańskim w okresie międzywojennym (1918–1939)”. Lecha Leciejewicza „Problemy morskie w badaniach nad polskim wczesnym średniowieczem”. Kazimierza Ślaskiego „Udział Pomorza Nadwiślańskiego w wymianie dalekosiężnej od VII do XI wieku” i Jana Żaka „Import zachodniostowiański do Skandynawii w IX–X–XI wieku”. W dziale *Materiały* umieszczono dziesięć publikacji, m.in. Barbary Wiącek „Z badań nad osadnictwem z wczesnej epoki żelaza na terenie Łuzina, pow. wejherowski”, Aleksandry Szymańskiej „Badania sondażowe na grodzisku wczesnośredniowiecznym w Bedargowie, pow. Wejherowo” i Mieczysława Haftki „Wczesnośredniowieczne topory z Malborka”. W dziale *Polemiki* na uwagę zasługują interesujące rozważania Mieczysława Haftki pt. „Uwagi w sprawie wczesnośredniowiecznego osadnictwa północnej Pomezanii i kwestia lokalizacji Santary”. Poza tym w tomie umieszczono sprawozdania i recenzje. W sumie wydawnictwo wartościowe i ciekawe. Niektóre pozycje omówimy osobno.

ZAPISKI HISTORYCZNE poświęcone historii Pomorza i krajów bałtyckich. Tom XXXVII, 1972, z. 1. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Wydział Nauk Historycznych. Toruń 1972, s. 160, cena 30 zł. Redaktor: Marian Biskup.

Ten zeszyt jest 750 publikacją Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Zawiera kilka wartościowych publi-

kacji, m.in. drugą część artykułu W.B. Willinbachowa „Ruś a niemiecki podbój Inflant”, Magdaleny Roman „Osadnictwo i stosunki własnościowe w Pomezanii biskupiej od końca XIII do połowy XV w.”, Zygmunta Szulki „Rola i znaczenie społeczno-polityczne ludności napływowej Torunia w świetle ksiąg przyjęć do prawa miejskiego z lat 1703–1793” i Kazimierza Frontczaka „Powstanie i rozwój Polskiej Marynarki Wojennej w latach 1945–1947”. W dziale *Dyskusje i polemiki* Antoni Czacharowski w artykule „Posiadłości kapituły kamińskiej w średniowieczu” polemicznie omawia pracę Ryszarda Marciniaka „Dobra kapituły kamińskiej do połowy XV wieku”, a Maria Bogucka w artykule „Spór nie tylko wokół apogeu gdańskiego handlu” ustosunkowuje się do artykułu Czesława Biernata opublikowanego w „Zapisach” nr 4 z ub. roku. Poza tym w zeszycie Recenzje i omówienia oraz Kronika naukowa.

LITERATURA LUDOWA. Dwumiesięcznik naukowo-literacki. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1972, nr 1, s. 72, ilustr. + tabl. barwne, cena 8 zł. Redaktor: Czesław Hernas.

Literatura ludowa 1972



Po wieloletniej przerwie ukazał się kolejny numer cennego pisma ludoznawczego, którego redakcję objął Czesław Hernas. Zmieniono szatę graficzną i profil czasopisma, wyznaczając mu nowe zadania sformułowane we wstępie redaktora naczelnego. W numerze opublikowano nstp. artykuły: Julian Krzyżanowski — „Nasza nowoczesna nauka o literaturze ludowej”, Ludwika Słęk — „Postać Wandy w średniowiecznej prozie historycznej”, G.L. Piermiakow — „Przysłowia i zwroty przysłowowe”, Czesław Hernas — „Listy miłosne z Łąki”. Numer wypełnia pięć recenzji.

ROCZNIK STATYSTYCZNY MIASTA GDAŃSKA 1971. Miejski Urząd Statystyczny w Gdańsku. Gdańsk 1971, s. 410, cena 20 zł. Przewodniczący zespołu redakcyjnego: Karol Waluszewski.



Jest to druga tego rodzaju publikacja wydana przez Miejski Urząd Statystyczny, zawierająca podstawowe dane liczbowe o rozwoju gospodarki w minionym pięcioleciu. W porównaniu z poprzednim rocznikiem rozszerzono tematykę. „Dane statystyczne większości działów zaprezentowano w nowych grupowaniach; zamieszczono nowe tablice przeglądowe... utworzono nowy dział... a ponadto szereg danych liczbowych przedstawiono w postaci kartogramów”. W „Roczniku” umieszczono też wstępne wyniki Narodowego Spisu Powszechnego z 1970

r. w zakresie stanu i struktury ludności, gospodarstwa domowych itp. Nowe tablice przeglądowe, które umieszczono w tym wydawnictwie, ukazują nam m.in. Gdańsk i jego miejsce wśród niektórych miast w kraju w 1970 r. i niektóre dane o rozwoju społeczno-kulturalnym dzielnicy w latach 1960–1970. W sumie bardzo potrzebne i pouczające wydawnictwo.

MARIAN PAWLAK: *Dzieje gimnazjum elbląskiego w latach 1535–1772*. Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego w Olsztynie. Pojezierze, Olsztyn 1972, s. 226, ilustr., cena 75 zł.

Na terenie Prus Królewskich trzy gimnazja słynęły z rozwoju oświaty, nauki i kultury, mianowicie gimnazja w Gdańsku, Toruniu i Elblągu. Rozprawa Pawlaka, poświęcona okresowi nieprzerwanej działalności gimnazjum elbląskiego, jest pierwszą polską pracą na ten temat, skróconą wersją rozprawy doktorskiej. Autor wnikliwie omawia organizację i przemiany w działalności gimnazjum w XVI–XVIII wieku, kadre nauczające, uczniów, nauczanie i wychowanie oraz stosunek gimnazjum do społeczeństwa elbląskiego. Omówimy osobno.

ANNA SZYFER: *Przemiany społeczno-kulturowe na wsi warmińskiej w latach 1945–1970*. Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego w Olsztynie. Pojezierze, Olsztyn 1971, s. 118, ilustr., cena 50 zł.

Rozprawa poświęcona przemianom kultury wsi regionu warmińskiego w ostatnim dwudziestolecioleciu. Książka jest niezwykle ciekawa, gdyż ukazuje jak postępowała na Warmii społeczna i kulturowa stabilizacja i w rezultacie integracja różnych grup ludności. Autorka wprowadza czytelnika w temat, uzasadniając jego podjęcie — założenia metodologiczne, określa badany teren i czas obserwacji, omawia źródła i literaturę. Następnie rozdziały poświęcone są analizie badanych wsi warmińskich na tle regionu, dynamice i mechanizmowi przemian kulturowo-społecznych, czynnikom determinującym przeobrażenia w tradycyjnej kulturze wsi oraz różnicom w dynamice i kierunku przemian w zależności od typów wsi. Liczne ilustracje, wykresy i zestawienia statystyczne.

LEONARD TURKOWSKI: *Ziemia i niebo. Powieść o życiu i pracy Mikołaja Kopernika*. Pojezierze, Olsztyn 1972, s. 326, cena 30 zł.

Powieść oparta na autentycznych wydarzeniach. Drugoplanowi bohaterowie są nam dobrze znani z opracowań naukowych, np. Retyk, Wojciech z Brudzewa, Dantyszek. Oczywiście powieść rządzi się własnymi prawami, stąd też autor nie stroni od „nadbudowy historycznej”, konstruując własne wizje i korzystając z prawa do fikcji literackiej, co szczególnie zaznacza się w przypadku Anny Szyling, którą Kopernik poznał na łamach powieści już w Krakowie. Autor wykorzystał bogatą literaturę. Akcja wartka, zajmująca.

DZIEJE NAJNOWSZE. Kwartalnik poświęcony historii XX wieku. Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk, R. III, 1971, nr 4, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1971, s. 160, cena 30 zł. Redaktor: Czesław Madajczyk.

Ostatni ubiegłoroczny numer cennego kwartalnika przynosi m.in. artykuł Henryka Batowskiego „Podpisanie układu polsko-brytyjskiego z 25 sierpnia 1939 r.”, Zofii Boda-Kreżel „Likwidacja skutków niemieckiej listy narodowościowej na Górnym Śląsku w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu” i Doroty Jabłońskiej „Integracja przesiedleńców w Szlezewiku-Holsztynie po II wojnie światowej”. W dziale *Dyskusje i polemiki* na uwagę zasługują artykuły Jana Borkowskiego „Ludowcy a sprawa niepodległości. Uwagi na marginesie sesji naukowej zorganizowanej przez ZHR (Zakład Historii Ruchu Ludowego — T.B.) z okazji 50 rocznicy odzyskania niepodległości przez państwo polskie”. W dziale *Przeglądy* Krzysztof Dunin-Wąsowicz omawia „Wydawnictwa Muzeów Walki i Męczeństwa”, a więc m.in. i Stutthofu. Poza tym recenzje, kronika i listy do redakcji. (T.B.)

Angielska pisarka Brigid Brophy urodziła się w 1929 r. Po ukończeniu studiów w Oksfordzie debiutowała powieścią, która otrzymała pierwszą nagrodę na Festiwalu Literackim w Cheltenham. W roku 1964 ukazała się jej piąta powieść, „Bal noworoczny”. Państwowy Instytut Wydawniczy wydał tę książkę w 1966 roku; przełożył ją Tadeusz Jan Dehnel. W tej znakomitej powieści, w ciągu jednego wieczoru bohaterowie stają oko w oko z siłami, o których istnieniu zapominamy zwykle, dla własnej wygody. Tutaj, jak gdyby przywołane atmosferą niebezpiecznej zabawy, przebrania grożącego utożsamieniem się z postacią — zjawiają się miłość i śmierć, jak w Mozartowskiej operze. Wydawca pisze o książce:

„Akcja rozgrywa się w domu londyńskich milionerów, gdzie na tle rokokowej scenarii przed oczami czytelnika pojawia się barwny korowód współczesnych nam bohaterów przebranych w kostiumy z Mozartowskich oper. Spod zewnętrznej powłoki peruk, masek i sztucznej dziecięcej wesołości przebija w pełni dojrzała melancholia i zaabsorbowanie myślami o miłości, przeznaczeniu i śmierci.”

Bez maski

— Poczekaj — szepnęła Anna, która głaszcząc twarz Don Giovanniego musnęła palcami skraj maski. — Nie ma sensu, żebyś to teraz nosił.

Podparł się łokciem, uniósł i wolną ręką usiłował zrzucić maskę.

— Pozwól, niech ja to zrobię — powiedziała Anna. — Słusznie należy ci się taka przysługa.

Pochylił głowę, wsparł czoło o jej pierś, a ona podźwignęła się trochę, by widzieć własne palce, którymi rozluźniała czarne tasiemki związane na tyle głowy.

Don Giovanni zwrócił twarz w bok, chcąc ułatwić zadanie, a następnie, gdy maska padła obok łóżka, dotknął znów czołem piersi Anny.

Ujęła go za skronie mocno, niemal konwulsyjnie, zarazem jednak ostrożnie, jak gdyby zamiast głowy miał wielkanocne jajko. Na włosach potylicy Don Giovanniego został ślad po tasiemkach, wąski, podobny do rowka charakterystycznego dla kogoś, kto stale nosi kłapkę na oku.

— Teraz — szepnęła nie wypuszczając jego głowy z dłoni — niech cię obejrzę.

Don Giovanni uniósł się lekko. Przy świetle padającym z okna widziała jego twarz stosunkowo wyraźnie. Była to zwyczajna męska twarz. Dwie połówki — jedna znana Annie, druga nie znana — pasowały do siebie, tworzyły logiczną, raczej sympatyczną całość. Oczy wydawały się teraz ładniejsze, niż gdy połyskiwały przez otwory maski, ale sprawiały dziwne wrażenie. Może była to iluzja, może skutek słabego światła, lecz osłonięta do niedawna góra twarzy jak gdyby nosiła ślady maski. Nie przypominało to odbarwienia skóry w miejscu, z którego dopiero co zerwano plaster. Nic podobnego. Nasuwało raczej wspomnienie nagości oczu kogoś, kto stale używa szkieł i nagle zdejmując okulary.

— Twarz jak trzeba? — zapytał Don Giovanni tonem niemal żalonym.

— Cudowna.

— Ee... Chyba nie...

— Nie — przyznała. — Bynajmniej nie jest piękna. Ale wydaje mi się bardzo dekoracyjna.

Cytatę własnych słów pokwitował cieniem uśmiechu.

— Widzisz — podjęła Anna — oglądałam po raz pierwszy twarz mężczyzny z różnych dziwacznych punktów i w roz-

maitych dziwacznych warunkach, nigdy jednak w podobnej sytuacji...

Jego twarz zeszytywniała, przybrała wyraz jak gdyby zgorszenia, który uprzednio Anna widziała tylko przez maskę. Następnie pojawiła się nikiła zapowiedź uśmiechu. Twarz drgnęła lekko, utraciła surową nieruchomość. Obudziło to w Annie falę wewnętrznej wesołości.

W oczach Don Giovanniego roztopił się karcący chłód. Jego głowa opadła, twarz zniknęła z pola widzenia Anny. Nie pragnęła jej teraz widzieć, wołała nawet nie pamiętać, że coś takiego istnieje. Zmysły Anny odpowiadały poruszeniom jego ciała, póki nie wyłoniły się na przeciwnym krańcu tego samego łuku wzruszeń, który rozpoczął się nikiłą zapowiedzią śmiechu. Anna uprzytomniła sobie, że jej odczucia minęły punkt, skąd można wrócić do nich świadomością, że obecnie wolno jej znowu myśleć, bo dalszą podróż ku rozkoszy odbywa bezwiednie i bezwolnie. Musiała tylko czekać, więc cała lub jej część — może dłoń na jego głowie, może usta na jego ramieniu — pieściła ciało Don Giovanniego konwulsyjnie, miarowo, a wreszcie, jak wydało się Annie, obronnie.

Było w tym nagłe i odpychające zniecierpliwienie, jak gdyby skrzypek pilował nieskończone rytmy Bacha. Anna miała wrażenie, że gdyby szarpała jego mięs-

Tekst pokazuje jasno, do czego prowadzi zapamiętanie się w sztuce i literaturze. Uczciwa kobieta nie powinna nigdy zapominać niczego, a tym bardziej zapominać się. Dostatecznie dramatyczne byłoby już zdjęcie mężczyźnie maski, ale posuwanie się jeszcze dalej, w jego mieszkaniu! Gdyby chociaż udawała pijaną, że niby nie wie, co się z nią dzieje. A tu jeszcze te żarciki.

A zaczyna się niewinnie, od chodzenia do opery. Tym bardziej powinna wiedzieć, czym się kończą spotkania z Don Juanem. Najbardziej dziwni są w tym wszystkim ci bogaci ludzie, którzy zamiast dobrze trzymać swoje pieniądze, urządzają jakieś przebranie bale. I tak potem trzeba wrócić do rzeczywistości. A porządną człowieka powinien mocno stać na ziemi; obydwoma nogami.

nie, zapuszczała w nie paznokcie lub zębami, zdołałaby rozwikłać paradoks, który wymaga, by tak wiele myśli i strategicznych zabiegów w świecie pionowym wiodło jedynie ku tej sytuacji poziomej, gdzie przyjemność polega na czymś narzuconym, posuniętym dalej niż możliwość powrotu, równie bezwolnym jak kichnięcie, pograżenie się we śnie albo spotkanie śmierci. Wreszcie ciało Anny — szarpane konwulsyjnie, wezbrane, spoczone — uległo fali powstałej w jej wnętrzu. Na krańcach zarysował się wyraźnie, lecz biernie pierwszy obraz — utrwalone bezwiednie wspomnienie rokokowego kartusza z sypialni Anity, który nieustannie a sucho topnieje na białym atlasie, jak gdyby ronit kropie gliceryny lub potu.

Anna leżała zasluchana w echa wrażeń. Dolną częścią jej ciała wstrząsał głęboko, przenikliwy dreszcz, tak jak górna mogłyby wstrząsać szlochaniem. Ale była to antyteza szlochania, wzruszenie spowodowane falami przeżytej rozkoszy, dalekiej uczuciom wywołującym burzę płaczu. Taka burza — nie inaczej niż każda inna — przynosi ulgę, wyzwolenie, ma w sobie dziwaczne ciepło i radość. Natomiast obraz rozkoszy najbardziej intensywnej, najmniej dobrowolnej i dlatego najbliższej pokrewnej śmierci, zawierał nawet w o-wym rozładowaniu jedynie dziwaczny smutek.



Stańczyk po raz dziewiąty

Tradycyjnie w rocznicę wyzwolenia Gdańska w Sali Czerwonej Ratusza Głównego Miasta odbyła się uroczystość nadania „Orderów Stańczyka” — dorocznego honorowego wyróżnienia naszej redakcji przyznawanego za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kultury, nauki i sztuki, szczególnie znaczące dla rozwoju ziemi gdańskiej.

Uroczystość, w której uczestniczyli: sekretarz KW PZPR Tadeusz **Fiszbach**, przewodniczący Prezydium WRN Henryk **Śliwowski**, wiceprzewodniczący Prezydium WRN Łukasz **Balcer**, kierownik Wydziału Propagandy KW PZPR Mirosław **Demichowicz**, kierownik Wydziału Kultury Prezydium WRN Mieczysław **Preis**, dyrektorzy Gdańskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa” Marian **Gregorek** i Zakładów Graficznych w Gdańsku Bolesław **Szmidt** — zgromadziła liczne grono czytelników i współpracowników „Liter” ze wszystkich środowisk twórczych Wybrzeża. Laureatów i ich wyróżnione prace przedstawił redaktor naczelny „Liter” Edgór **Milewski**, dokonując następnie, wspólnie z zastępcą redaktora naczelnego i członkiem Kapituły „Orderu Stańczyka” Tadeuszem **Bolduanem** aktu dekoracji. Toast

na cześć laureatów wraz z serdecznymi gratulacjami wniósł przewodniczący Prezydium WRN Henryk **Śliwowski**, podkreślając m.in.: „Fakt, iż „Order Stańczyka” jest wyróżnieniem honorowym, nadaje mu, wysoką rangę moralną, sprawia, że ten publiczny wyraz społecznego uznania, jaki co roku, od dziewięciu już lat, redakcja „Liter” składa gdańskim twórcom i działaczom kultury i sztuki, spotyka się z tak wielkim zainteresowaniem mieszkańców Gdańska i całego województwa, wywołując także szeroki rezonans w kraju. Naszą ambicją jest — dodał przewodniczący — aby region gdański stał się prężnym ośrodkiem kultury i gospodarki zarówno w skali ogólnokrajowej, jak i na obszarze nadbałtyckim.

Cenne dary książkowe otrzymali także współpracownicy „Liter” dr Konrad **Ciechanowski** — nauki społeczne, dr Lech **Mokrzecki** — humanistyka, dr Andrzej **Romanow** — historia gdańska, Czesława **Tarchala** — poezja, Michał **Herman** — proza, Alojzy **Nagel** — poezja, Barbara **Skuratowicz** — publicystyka kulturalna, Bogusław **Żyłko** — krytyka literacka, Jerzy **Hajdul** i Krzysztof **Kamiński** — fotografia artystyczna oraz



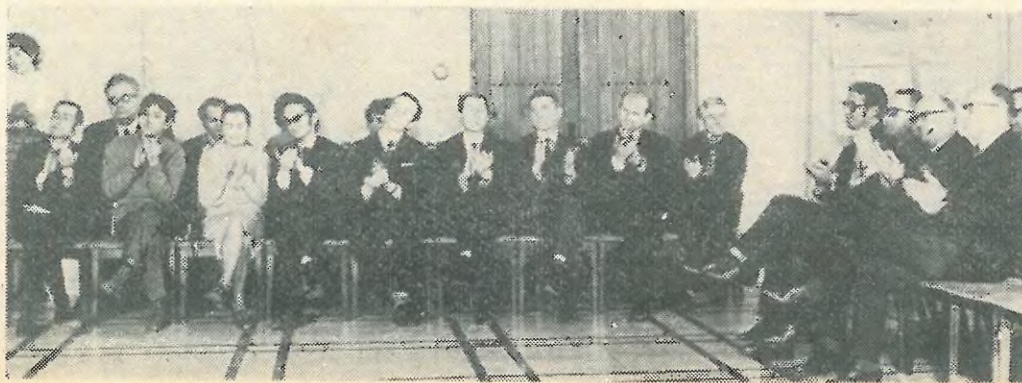
zespół drukarzy „Liter” — Bolesław **Szmidt**, Bolesław **Miklikowski**, Regina **Meyera**, Roman **Orłowski**, Henryk **Ciechanowicz**, Jerzy **Skorzyński** i Gerard **Leśko**.

W części artystycznej uroczystości, zainscenizowanej w Sali Białej Ratusza, wystąpili pierwsi soliści baletu Państwowej Opery Bałtyckiej Alicja **Boniuszko**, Zygmunt **Jasman** i Gustaw **Klauzner**, prezentując adaggio z „Jeziora Łabędziego” Czajkowskie-

go i fragment z opery Bartoka „Sinobrody” oraz znakomitą śpiewaczką, jeszcze studentką Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Gdańsku, lecz już laureatką międzynarodowego konkursu wokalnego w Tuluzie, Stefania **Toczyska**, która wykonała m.in. pieśń R. Straussa.

Dziękując artystom za ich piękny społeczny wkład do naszej uroczystości, pragniemy również podziękować za społeczną pracę dyrektorowi

Zenonowi **Głowczykowski** z Okręgu Poczty i Telekomunikacji oraz kierownikowi Sekcji Radiofonii Zbigniewowi **Berezowskiemu** z Rejonowego Urzędu Telekomunikacyjnego, a także Dyrekcji Gdańskich Zakładów Gastronomicznych oraz uroczym kelnerkom, z kawiarni „Pod Wieżą”, w oryginalnych strojach regionalnych. Mamy nadzieję, że następnej uroczystości lepiej od słów utrwala ją publikowane zdjęcia. (e.m.)



Fot:
Jerzy Hajdul
Krzysztof Kamiński

W konsulacie ZSRR

W Konsulacie Generalnym ZSRR w Gdańsku odbyło się spotkanie redaktorów naczelnych gdańskiej prasy, czasopism, radia i telewizji oraz członków Zarządu Oddziału Morskiego SDP z pracownikami konsulatu. W czasie spotkania Konsul Generalny Fiodor E. Szarykin podkreślił doniosłą rolę środków masowej informacji i dziennikarstwa, a także czasopism i publiczności w umacnianiu socjalistycznej wspólnoty i pogłębianiu przyjaźni polsko-radzieckiej. Informując o aktualnych problemach Kraju Rad konsula F.E. Szarykin omówił szerzej zbliżającą się rocznicę 50-lecia powstania Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, która przypada w dniu 30 grudnia 1972 roku.

W Moskwie i Leningradzie, we wszystkich stolicach republik radzieckich, w czołowych zakładach pracy, w kołchozach, uczelniach i szkołach na terenie całego Kraju Rad, trwają już od dłuższego czasu intensywne przygotowania do tej historycznej rocznicy, które obejmują coraz szersze kręgi społeczne. Przygotowania podjęły między innymi – Instytut Marksizmu-Leninizmu, Akademia Nauk Społecznych i Wyższa Szkoła Partynia przy KC KPZR oraz Akademia Nauk ZSRR, Ministerstwo Kultury, Szkolnictwa, Oświaty, Państwowe Komitety Rady Ministrów ZSRR do Spraw Prasy, Telewizji i Radia, Kineematografii, Kultury Fizycznej i Sportu, a także środowiska twórcze, zarządy Związku Pisarzy ZSRR, Związku Filmowców, Kompozytorów, Artystów Plastików, Architektów i Związku Dziennikarzy ZSRR. Program obchodów, poza bogactwem uroczystości i imprez jubileuszowych, takich jak akademie, sesje, wystawy, festiwale, spartakiady oraz publikacje i wydawnictwa, obejmuje prace największego formatu i nieprzemijającej wartości, dokumentujące w sposób naukowy bądź artystyczny rewolucyjne przeobrażenia i historyczne osiągnięcia ZSRR we wszystkich dziedzinach budownictwa socjalistycznego, ich znaczenie dla światowego pokoju i postępu oraz międzynarodowego ruchu robotniczego i komunistycznego. Przygotowuje się też plenarne posiedzenia wszystkich związków twórczych, na których przedstawiony zostanie dorobek ZSRR w poszczególnych dziedzinach kultury i sztuki. Ogłoszone zostały konkursy na najlepsze prace naukowe oraz utwory literackie i dzieła sztuki związane z powstaniem i historią Kraju Rad.

Spotkanie w Konsulacie Generalnym ZSRR w Gdańsku dopełnił pokaz nowych radzieckich filmów dokumentalnych – „Nad mapą ZSRR” i „Lunochod”. (em)

Wejherowski festiwal

W dniach od 16-18 czerwca bieżącego roku już po raz czwarty z kolei odbędzie się w Wejherowie festiwal pieśni o morzu. Festiwal stanowi inspirację do twórczego działania środowisk literackich i muzycznych. Przyczynia się do powstawania nowych dzieł współczesnej literatury muzycznej.

Nieprzypadkowo impreza ta narodziła się w Wejherowie. Przypomnę, iż na ziemiach kaszubskich odbywały się wielkie zjazdy śpiewacze, z których pierwszy odnotowany w kronikach Wejherowa datuje się na rok 1900. Najważniejszy jednak jeśli chodzi o następstwa w działalności chórów kaszubskich był zjazd w Wejherowie w roku 1909, na którym to chór z Gowidlina, Sierakowic, Luzina,

Kartuz, Gdańska i Wejherowa powołał do życia Kaszubski Okręg Śpiewaczy. Od tej chwili datują się wielkie zjazdy śpiewacze w różnych miejscowościach Pomorza, które były nie tylko wielką manifestacją na rzecz polskiej pieśni, ale zarazem manifestacją polityczną zwłaszcza w czasach zaboru, kiedy kulturowanie w zespole chórów polskiej przyczyniło się do zachowania ojczystego języka na tych ziemiach, do przetrwania polskości. Do 1966 roku zjazdów takich odbyło się 25, w tym 13 w samym Wejherowie.

Myśl przekształcenia tradycyjnych zjazdów śpiewaczych, nadanie im programowości, narodzila się w Wejherowie w czasie obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego w 1966 roku. Organizator dotychczasowych zjazdów – Kaszubski Okręg Śpiewaczy – postanowił nadać im taki charakter, który w sposób szczególnie propagowałby w pieśni i muzyce tematykę marynistyczną. Chciano w ten sposób podkreślić morski charakter naszej państwowości, przez pieśń o morzu nie tylko je ślać, ale być dumnym z jego posiadania i dobrodziejstw z tego wynikających. Wejherowie, wprowadzając na stałe festiwal do swego kalendarza wydarzeń kulturalnych, pragnie przez jego kontynuację w sposób trwały rozwijać i szeroko propagować myśl zawartą w stwierdzeniu: „od morza jesteśmy”.

Festiwal pieśni o morzu przyczynił się również do organizacji działu muzycznego wejherowskiego Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, w którym gromadzone są wszystkie dokumenty, dotyczące życia muzycznego Pomorza i Kaszub. (MB)

Symposium literatur słowiańskich

We wrześniu br. Warszawa będzie miejscem międzynarodowego sympozjum organizowanego przez UNESCO i Instytut Badań Literackich PAN na temat „Humanistyczne i społeczne wartości literatur słowiańskich”. W sympozjum, które wzbudza zrozumiałe zainteresowanie także w środowisku literackim i uniwersyteckim Gdańska, wezwą udział badacze i naukowcy w dziedzinie literatur słowiańskich wielu krajów europejskich i pozaeuropejskich.

Proponowane do dyskusji tematy obejmują m.in. takie zagadnienia jak: rola literatury jako czynnika odróżnienia narodu; przetrwanie i znaczenie dorobku literackiego narodów słowiańskich na główne języki świata; znaczenie i reperkusje międzynarodowe folkloru słowiańskiego; ideaty osobowości ludzkiej propagowane przez reprezentatywne dzieła literatur słowiańskich; literatura jako dokument podstawowych aspektów świata słowiańskiego; udział autorów i dzieł słowiańskich w światowej serii utworów najbardziej poczytnych. (em.)

Koniec galerii

W ramach wykonywania planu rozwoju kultury w Gdańsku zlikwidowano ostatnio – niedawno uroczyste otwieranie – galerię sztuki współczesnej „Artus” w komorze palowej Ratusza Głównomińskiego. Na jej miejscu ma powstać kolejna kawiarnia.

W ten sposób Główna Miasto wysunęło się zdecydowanie na pierwsze miejsce w kraju pod względem liczby kawiarni na metr kwadratowy. Nie chcę wspominać o tym, że nadal nie można tu zjeść smacznie i tanio obiadu przy kolacji, bo boję się o istnienie

galerii „Sień Gdańska”. Nie chcę też zastanawiać się, na którym miejscu w kraju jest ten rejon miasta, najliczniej odwiedzany przez turystów, pod względem wskaźnika metrów kwadratowych, przeznaczonych pod wystawiennictwo plastyczne. (mk)

Cenne dary

21 marca w Muzeum Archeologicznym w Gdańsku odbyło się uroczyste otwarcie wystawy pt. „Dary i kolekcje archeologiczne”, na której zgromadzono w wielu przypadkach bardzo cenne eksponaty ofiarowane przez „archeologicznych społeczników”, którzy uratowali je niejednokrotnie przed zniszczeniem. Wśród ofiarodawców spotykamy nazwiska W. Formelli z Łoborka, kpt. żw. R. Chojnowskiego, mgr. A. Makowskiego z Chojnic, prof. dra F. Markowskiego z Gdańska, młodzieży szkoły podstawowej w Chmielnie i in.

W uroczystości uczestniczył sekretarz KW PZPR Tadeusz Fiszbach, kierownik Wydziału Kultury PWRN Mieczysław Preis i przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki Marek Konopka, który grupie ofiarodawców i pracowników muzeum wręczył odznaki „Za opiekę nad zabytkami”, natomiast dra Longina Malickiego udekorował odznaką „Zasłużony działacz kultury”. (b)

Koncerty jubileuszowe PWSM

Pierwszy z dwóch koncertów jubileuszowych PWSM, które odbyły się w marcu br., przedstawił popularną sopranistkę Krystynę Ingersleben-Borowską, solistkę Teatru Muzycznego w Gdyni oraz POiFB, obecnie pedagog Państwowej Szkoły Muzycznej II st. w Gdańsku. Artystka od wielu lat, poza występami operowymi oraz w koncertach symfonicznych i organowych, występuje często na koncertach dla szkół na terenie kilku województw. W tym samym koncercie wystąpiła pianistka Irena Skobar, aktualnie pedagog Państwowego Liceum Muzycznego w Bydgoszczy.

Na koncercie kameralno-symfonicznym z okazji 27 rocznicy wyzwolenia Gdańska, który odbył się w sali POiFB, wystąpili studenci: J. Czapor (obój), M. Schiller (klarnet), M. Stracewski (fagot), W. Cabański (waltonia) i Grażyna Tiroć (fortepian). Akompaniowała Krystyna Wawrykowska. Orkiestra symfoniczna pod dyktando Grzegorza Sutta wykonała Koncert fortepianowy W. Walentynowicza i Mini-Kaprioletę H. Jabłońskiego. Jako solista wystąpił pedagog uczelni Lucjan Galon. (R.G.)

W Sieni Gdańskiej

Galeria GTPS-u i ZPAP „Sień Gdańska” pod kierunkiem Czesława Tumielewicza, nowego komisarza, rozwija ożywioną działalność. Duża jest różnorodność ekspozycyjnych technik; bardzo np. interesującym eksperymentem była wystawa dokumentacji artystycznej tam bardzo ciekawy pokaz linoorytów barwnych artysty krakowskiego, Zygmunta Czyża. Kolorystyka tych dekoracyjnych prac, bardzo czysta i intensywna oraz niespokojny kontur plam barwnych mogły powstać tylko na gruncie krakowskim, przysługując na myśl sztukę Młodej Polski, pokrewieństwo (w dalekim stopniu) z witrażami Wyspiańskiego czy Mehoffera. Przy tym jest to sztuka w pełni współczesna choćby przez ekspresyjną, syntetyczną deformację postaci ludzkich. Mimo niewielkich na ogół formatów sztuka Czyża ma pewne cechy monumentalne, przypomina nieco malar-

stwo ścienne w formie dekoracyjnych paneau.

Następna wystawa w „Sieni” był pokaz tkanin Anny Fiszzer, docenta Gdańskiej PWSSP. Artystka uprawia malarstwo na tkaninie, wykorzystując czasem jej naturalną barwę i fakturę. Z geometrycznych elementów, czasem powtarzanych rytmicznie, czasem zestawianych na zasadzie symetrii, buduje spokojne w kolorze, abstrakcyjne kompozycje zbliżające się sztukę do malarstwa sztalugowego, lecz różniące się od niego zasadniczo dzięki stosowaniu przez autorkę tworzyw. Walory dekoracyjne, tak ważne zazwyczaj w tkaninie, stawiane są tu na dalszym planie. Dzięki tym cechom jest to twórczość na wskroś oryginalna. (mk)

Twórczość dziecięca

Z okazji 27 rocznicy wyzwolenia Sopotu (czy z ciekawą ekspozycją koniecznie trzeba czekać do jakiejś „okazji”?) Młodzieżowy Dom Kultury w Sopocie zorganizował w BWA pokaz prac swych podopiecznych w różnych dziedzinach twórczości artystycznej.

Bardzo udana ta wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem publiczności i zebrala wielką ilość pochwalnych, pełnych uznania tak dla młodych twórców, jak i dla ich opiekunów z MDK, wpisów w księdze pamiątkowej. Uznanie to należy uważać za w pełni uzasadnione. Zdumiewała już wielka ilość technik artystycznych i dyscyplin twórczych uprawianych czasem już przez siedmio- i ośmiolatków: malarstwo, rzeźba, grafika, tkanina, ceramika, metaloplastyka, fotografia, zabawkarstwo, haft itp. nie mówiąc o technikach mieszanych. Bardzo wysoki był też poziom artystyczny wielu prac, szczególnie w dziedzinie rzeźby, malarstwa i fotografii, jeszcze raz dokumentujący, że mamy bardzo uduchowioną plastycznie młodzież.

Za najlepsze uważam prace najmłodszej generacji twórców, stosunkowo najmniej „dorosłe”, czasem jeszcze niedojrzałe w pełni, ale zdumiewające bogactwem fantazji, instynktownym wyciuciem piękna, śmiałością i rozmachem. Duże brawo dla MDK w Sopocie! (mk)

Pamięci Józefa Dambka

11 marca nad Jeziorem Dąbrowskim w pobliżu Sikorzyna (pow. Kartuski) odsłonięto tablicę upamiętniającą miejsce śmierci jednego z najwybitniejszych dowódców Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, która w latach II wojny światowej aktywnie walczyła z hitlerowskim okupantem. W uroczystości uczestniczyli: żona, synowie i brat J. Dambka, przedstawiciele powiatowych władz partyjnych i administracyjnych, członkowie b. organizacji antyhitlerowskich na Pomorzu oraz młodzież, w tym głównie harcerze.

Tablicę pamiątkową wystawił J. Dambkowi dzięki inicjatywie i wytrwałości harcerzy z Gołubia, a zwłaszcza podharcm. J. Gdaniec i Z. Butowskiego. (b)

Kapitan Hornblower

Po „Szczęśliwym powrocie” Wydawnictwo Morskie udościło nam (po wygłoszonej cenie – 25 zł) drugą część trylogii C.S. Foreстера – „Okręt liniowy” w przekładzie Henryki Stepien. Wydawnictwo zaręcza, że: „Są to czasy napoleońskie, Hornblower na okręcie liniowym czeka wybrzeża francusko-hiszpańskie od strony Morza Śródziemnego”. Tymczasem Hornblower: „W dali, ponad

dachami magazynu prowiantowego dostrzegł Mount Edgcombe – Plymouth skryte za Diabelskim Cypłem było poza zasięgiem jego oczu; nie będzie miał satysfakcji spoglądania na dach, pod którym przebywa Lady Barbara. Wszelako jest tam i jutro ją zobaczy. Ogarnięty ekstazą ścisnął kurczowo poręcz, aż poczuł ból w palcach.” (EHM)



Recital brazylijskiego pianisty

Po pięcioletniej przerwie wystąpił już po raz trzeci w POiFB znakomity pianista brazylijski Arthur Moreira-Lima. Tak jak i poprzednio, występ laureata II nagrody VII Konkursu Chopinowskiego wzbudził wielkie zainteresowanie publiczności. Ilość sukcesów odniesionych przez tego pianistę na międzynarodowych konkursach jest imponująca. Moreira-Lima jest także laureatem czołowych nagród zdobytych na konkursach w Rio de Janeiro (1957 i 1962), Paryżu (1961) i Moskwie (1970). Gra obecnie we wszystkich największych krajach świata obu półkul. Program pianisty, wykonany na recitalu w Gdańsku, zawierał utwory Schuberta, Prokofiewa i Chopina. (R.G.)

Rok Wybickiego

W Wielkim Refektarzu Muzeum Pomorskiego w Gdańsku odbyła się 16 marca uroczystość inaugurująca Rok Józefa Wybickiego, na którą przybyli m.in. gospodarze województwa: I sekretarz KW PZPR Tadeusz Bejm i przewodniczący Prezydium WRN Henryk Siliwowski. Po przemówieniu przewodniczącego WK Frontu Jedności Narodu Floriana Wichlaczka, o szlachetnym i twórczym życiu gen. Józefa Wybickiego obszernie mówił sekretarz KW PZPR i wiceprzewodniczący WK FJN Tadeusz Fiszbach.

Zebrań na uroczystej inauguracji jednomyślnie przyjęli uchwałę głoszącą, że ogłasza się rok 1972 „Rokiem Józefa Wybickiego”; zaleca się zorganizować główne uroczystości w okresie od marca do końca września br., z tym że kulminacyjnie obchody odbędą się od 16 do 21 lipca, to jest w 175 rocznicę powstania naszego hymnu narodowego; postanawia się urządzić w czerwcu br. sesję naukową, a jej wyniki opublikować drukiem; z satysfakcją wita się z zapowiedzią ukazania się III tomu „Archiwum Wybickiego”, który wyda GTN i pracy Jana Pachofskiego „Jeszcze Polska nie zginęła”; apeluje się do władz szkolnych, organizacji społecznych, instytucji naukowych i kulturalnych, prasy, radia i telewizji o szeroką propagandę Roku Wybickiego; popiera się społeczną inicjatywę wybudowania w Kościerzynie pomnika Generała i projekt wzniesienia w Będominie szkoły im. J. Wybickiego; udziela się swego poparcia dla starożytności gdańskiego Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza o uznanie dworku w Będominie za pamiątkę narodową i stworzenie tam muzeum Józefa Wybickiego.

Na zakończenie posiedzenia WK Frontu Jedności Narodu Chór Akademii Medycznej im. Tadeusza Tytusiewicza wykonał „Mazurka Dąbrowskiego” i inne pieśni. (b)

Józef Mossakowski

W dwutygodniku „Pomorze” (nr 7) umieszczono wspomnienie Bogdana Gacy o zmarłym 23 lutego br. Józefie Mossakowskim, starszym wykładowcy Instytutu Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Dr Józef Mossakowski był postacią niezwykle popularną w Toruniu i szerzej — na Pomorzu, pamiętając go do brzo studenci historii, zwłaszcza z pełnych emocji wykładów z zakresu historii starożytnej. Zakochany bez reszty w kulturze antycznej, starał się przekazać studentom jej piękno, zwłaszcza w wykładach z historii Egiptu.

Dr Mossakowski urodził się w 1897 r. na Ziemi Chełmińskiej. Do gimnazjum uczęszczał w Chełmie, gdzie też w 1914 r. wstąpił do tajnego Towarzystwa Filomatów. Był uczestnikiem Powstania Wielkopolskiego i jako żołnierz wkroczył w 1920 r. do Torunia. W latach międzywojennych studiował geografii, historię i filozofię, od 1932 r. pracował w toruńskim Towarzystwie Naukowym i Instytucie Bałtyckim. Lata wojny spędził w Oflagu w Dobiegniewie (Woldenberg), gdzie włączył się aktywnie do prac oświatowych. Współtworzył jenieckiej niedoli wspominając dra Mossakowskiego z sympatią jako aktywnego współorganizatora życia naukowo-oświatowego w obozie i wielkiego miłośnika sportu. Długie spacerowanie samotności, pozwalające na rozmyślanie, były niejako specjalnością „człowieka z kłosem Słowackiego”. Po wojnie dr Mossakowski wrócił do Torunia, gdzie włączył się do prac przygotowujących, zmierzających do utworzenia uniwersytetu. Na UMK w 1959 r. obronił pracę doktorską nt. „Zasięgu lasów i zabiegów oraz rejonów zasiedlenia na wyspie Ranie na przełomie XII-XIII wieku”.

Za swoją pracę dydaktyczną i społeczną odznaczony był Złotym Krzyżem Zasługi i honorową odznaką „Za szczególne zasługi dla województwa bydgoskiego”. (b)

Raport o bibliotekach

Z inspiracji dyrektora Biblioteki Narodowej podjęte zostały prace nad niezmierzonym ważnym dla kultury polskiej i dalszego jej upowszechniania dokumentem — „Raportem o bibliotekach”. Wiadomo, że bibliotekarstwo rozwijało się w Polsce Ludowej na miarę nieznanej dotąd w historii naszej kultury, ale wiadomo także, że rozwój ten, zwłaszcza ostatnio, staje w coraz większej dysproporcji w stosunku do dynamicznie wzrastających potrzeb społecznych i rozbudowanych zainteresowań czytelników. Nikt nie dokonał dotychczas bilansu całokształtu bibliotekarstwa polskiego w okresie powojennym, a bez tego fundamentalnego dokumentu nie sposób ocenić osiągnięte rezultaty, trudno ustalić źródła niedowładów i hierarchie potrzeb, niepodobna precyzyjnie programować perspektywy rozwoju, kształtować nowoczesny, funkcjonalny, maksymalnie efektywny model przyszłościowy.

Państwowa Rada Biblioteczna powierzyła opracowanie raportu Instytutowi Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej. Trzydziestu wysoko wyspecjalizowanych fachowców z różnych ośrodków kraju przystąpiło już do zakrojonych szeroko opracowań tematycznych i problemowych, które ujmą całościowo stan organizacyjny i sytuację materialną poszczególnych typów bibliotek oraz wszystkich sieci bibliotecznych funkcjonujących

na terenie kraju, poddając zarazem krytycznej analizie podstawowe zagadnienia merytoryczne i kierunki rozwoju.

Raport zajmie się polityką biblioteczną, podstawami prawnymi bibliotek i aktualnymi warunkami ich pracy, pozwoli ustalić, jaki wpływ na działalność poszczególnych księżnic i rozwój całego bibliotekarstwa miała specjalna ustawa z roku 1968, gwarantująca każdemu czytelnikowi dostarczenie każdej potrzebnej mu książki oraz co najmniej istotne — udzielanie mu wszelkich informacji i pomocy w poszukiwaniu literatury; pozwoli ustalić, w jakim stopniu ustawa ta została zrealizowana. Raport dostarczy autorytatywnych materiałów dotyczących planowania i zasad budżetowania bibliotek, sytuacji lokalowej i wyposażenia bibliotek, stanu ich księgozbiorów, opracowania i udostępniania zasobów, systemu informacji bibliotecznej, perspektyw mechanizacji i automatyzacji w bibliotekach polskich oraz obecnego poziomu kwalifikacji i systemu kształcenia kadry bibliotekarskiej. Z zaawansowanych już opracowań warto, tytułem przykładu, wymienić następujące tematy i autorów: budownictwo biblioteczne i sytuacja lokalowa bibliotek — dr inż. arch. Jerzy Wierzbicki; biblioteki publiczne — dr Jadwiga Kolodziejka, kierownik Instytutu Książki i Czytelnictwa; specjalizacja zbiorów bibliotecznych — dr Jan Baumgart, dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej; badania bibliotekoznawcze — dr Karol Głębowski, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; o kształceniu bibliotekarzy — dr Helena Wieckowska, profesor Uniwersytetu Łódzkiego; o bibliografii — doc. dr Helena Kleb-Koszańska. Nasuwa się nam postulat objęcia analizą również stanu bibliotek okrętowych i czytelnictwa w środowisku ludzi morza, w specyficznych warunkach załóg pływających.

Oczekuje się, że raport będzie gotów w końcu 1972 r. i przedstawiony zostanie poza Ministerstwem Kultury i Sztuki i Ministerstwem Szkolnictwa Wyższego wielu innym zainteresowanym resortom, a także zespołowi autorów raportu o stanie oświaty. Jeśli dokument sprostą założonym tezę, będzie miał nie tylko ogromne znaczenie naukowe, ale znajdzie też kapitalne zastosowanie w praktyce życia społecznego i kulturalnego, służąc rozbudowie i unowocześnianiu bibliotekarstwa polskiego. (em)

Teatrologia?

W dn. 7. III. 72 r. odbyła się w KW PZPR narada (obecni byli przedstawiciele Uniwersytetu Gdańskiego i środowiska teatralnego), poświęcona powołaniu teatrologii na Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Jednocześnie poruszono sprawę kształcenia kadr pracowników kulturalno-oświatowych; rozważono projekt powołania w tym celu specjalnego kierunku studiów.

Powołanie teatrologii wydaje się rozwiązaniem połowicznym, a więc nieskutecznym. Należałoby się zastanowić nad tym, jaki model wyższej uczelni spełni najlepiej wymagania współczesnego życia. Jeżeli jest to zagadnienie, którego nie można (z różnych względów) rozwiązać w zastosowaniu do szkolnictwa wyższego w całej Polsce, to może dalszy się chociaż rozważyć ten problem w wypadku najmłodszego w kraju Uniwersytetu Gdańskiego. Przynajmniej, jeśli chodzi o humanistyczne kierunki studiów, konkretnie polonistykę. Alternatywa jest tylko jedna: albo dacydujemy się na specjalistyczne szkoły wyższe, kształcące wprawdzie fachowców,

ale mogących wykonywać tylko swój zawód, albo na tzw. wykształcenie uniwersyteckie. W tym ostatnim wypadku można wyobrazić sobie zreformowane studia polonistyczne, gdzie studenci mogą poznać językoznawstwo, historię lub teorię literatury, teatr, film w wybranym przez siebie zakresie (przy zachowaniu oczywiście dyscypliny studiów). Studia takie kształciłyby przyszłych nauczycieli, dziennikarzy, krytyków, pracowników kulturalno-oświatowych w szerokim znaczeniu. Późniejszy sukces zawodowy byłby uzależniony od zdolności i wiadomości. (EHM)

Prof. Biskup laureatem

W 27-lecie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy, Prezydium WRN przyznało 41 osobom nagrody wojewódzkie za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauki, techniki i kultury oraz nagrody za prace naukowe związane z województwem bydgoskim.

Nagrodę I stopnia w dziedzinie nauki przyznał prof. dr. Marianowi Biskupowi za całokształt pracy naukowo-badawczej i dydaktycznej. Prof. Biskup jest kierownikiem toruńskiej Pracowni Historii Prus Królewskich i Książących Zakładu Historii Pomorza Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, autorem cennych prac z zakresu historii Polski i powszechnej średniowiecznej, wydawcą źródeł, redaktorem wielu czasopism naukowych, m.in. „Zapisków Historycznych” i „Rocznika Elbląskiego”. Prof. Biskup jest autorem m.in. takich rozpraw i monografii, jak „Zjednoczenie Pomorza Wschodniego z Polską w połowie XV wieku” (1959) i „Trzynastoletnia wojna z Zakonem Krzyżackim 1454-1466” (1967) — ta ostatnia nagrodzona „Orderem Stańczyka” — oraz źródeł, np. „Akta stanów Prus Królewskich”, „Mikołaja Kopernika lokacje łanów opuszczone” i „Nowe materiały do działalności publicznej Mikołaja Kopernika z lat 1512-1537”.

W dziedzinie kultury nagrody I stopnia przyznał prof. dr. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej za całokształt osiągnięć w dziedzinie etnografii i muzealnictwa etnograficznego oraz Hugonowi Morycińskiemu za całokształt osiągnięć twórczych w dziedzinie teatru. Nagrody II stopnia w dziedzinie kultury otrzymali: Franciszek Beciński za działalność poetycką i upowszechnianie oświaty i kultury, red. Dariusz Czaplicki z „Gazety Pomorskiej” za działalność publicystyczną, red. K. Hofman z Polskiej Agencji Prasowej za osiągnięcia w twórczości literackiej i H. Minkiewicz za działalność w organizacji bibliotek i upowszechnianie czytelnictwa. Uroczystości wręczenia nagród odbyła się 31 marca w obecności sekretarza KW PZPR W. Saporowskiego, prezesa WK ZSL B. Owsińskiego, przewodniczącego WK SD W. Lassoty i wiceprzewodniczącego PWRN A. Majdzińskiego. W imieniu laureatów podziękował za wyróżnienie prof. dr. M. Biskup. (b)

Gdańskie Towarzystwo Naukowe

Na walnym zgromadzeniu Gdańskiego Towarzystwa Naukowego (21. 3. br.) prezes GTN prof. dr. Robert Sze-walski złożył sprawozdanie z działalności towarzystwa w minionym roku, w którym zaakcentował przede wszystkim realizację rozszerzonego programu, wyrażającego się m.in. w przeprowadzeniu cyklu odczytów z udziałem wybit-

nych badaczy polskich, poświęconych węzłowym problemom współczesnej nauki polskiej. Powołano też dwie nowe komisje — „Polska na morzu 2000” i zajmującą się problematyką ochrony środowiska. Gorzej natomiast przedstawiała się działalność wydawnicza, która napotykała na trudności niezależne od GTN (finansowe). Ważne jednak, że reaktywowano nareszcie redakcję wydawnictwa źródeł „Acta Poloniae Martima” i powołano redakcję słownika morskiego.

W bieżącym roku GTN obchodzi jubileusz 50-lecia swego istnienia (kontynuator założonego w 1922 r. Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki). Główne uroczystości odbędą się w grudniu, opublikowana zostanie też specjalna praca poświęcona historii GTN. W bieżącym numerze „Liter” drukujemy artykuł dra H. Stępniańskiego o międzywojennych dziejach Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki, w następnych numerach przedstawimy Czytelnikom wojenne dzieje GTN, pióra tego samego autora. (b)

Telewizory i radiodiodbiorniki

Według danych opublikowanych w „Informations UNESCO” (styczeń 1972), liczba telewizorów na świecie osiągnęła aktualnie stan 250 mln, podczas gdy ilość radiodiodbiorników oblicza się na blisko 700 mln aparatów. Pierwsze miejsce w tej statystyce zajmuje Ameryka Północna, na terenie której na 1.000 mieszkańców przypada 1.339 radiodiodbiorników, zaś ostatnimi w tabeli radiodiodbiorników są kraje Ameryki Łacińskiej — 167 radiodiodbiorników na 1.000 mieszkańców, Afryka — 45 i Azja południowa — 33. Jeśli chodzi o stan rozwoju telewizji w świecie, to w Ameryce Północnej przypada aktualnie 397 telewizorów na 1.000 mieszkańców, w Europie — 188, w ZSRR — 128, natomiast w Azji południowej — 2,3 i w Afryce — 3,2. (em.)

Groteskowy świat

Jedną z najbardziej interesujących, choć budzących u części widzów duże opory, wystaw marcowych był pokaz marzeń Eugeniusza Markowskiego w sopockim BWA. Artysta ten od lat konsekwentnie kontynuuje cykl prac złożony z figuralnych kompozycji, programowo antyestetycznych, składających się na bardzo specyficzny, odrażający i zabawny, groźny i warty współczesnego groteskowo brzydki lecz bardzo prawdziwy i żywoty świat.

Sylwetki ludzi i zwierząt, załudniające świat Markowskiego są jednakowo potraktowane: zdeformowane nagie ciała potworkowatych stworów są pełne energii vitalnej, kłębią się rozsadzając swym biologizmem płótno, agresywnie wystawiają na pokaz swą brzydotę, walczą ze sobą, gryząc się i kopiąc, to znów obejmują się i całują. Markowski upowazuje swe stwory w scenach mitologicznych, to znów każe im gimnastykować się, odpoczywać lub walczyć. Kilka zasadniczych schematów powtarza się w różnych odmianach, lecz jest to stale ten sam świat, ci sami ludzie, obserwowani pozornie z odrażą, ale i z pewną głębią ukrytą sympatią pełną politowania przez artystę-filozofa, w tej skarykaturowanej formie portretującego przecież otaczający go świat i współczesnych mu bliźnich. Szokujące, jaskrawe barwy w nowszych pracach zwiększając jeszcze ekspresję powodują jednak zarazem, iż bezlitosna ta satyra jest łatwiejsza do strawienia — odbiera się ją jak kłównadę, cyrk. Konsekwentnie przestrzegany zabieg obnażenia wszystkich aktorów tego wstrząsa-

jącego spektaklu symbolizuje zrzucenie masek, pokazanie ludzi takimi, jakimi są naprawdę, w najgłębiej skrywanym uczuciach.

Pokazane równocześnie abstrakcyjne kompozycje Markowskiego w zestawieniu z głównym nurtem jego twórczości wydają się na tym tle przerażające artystycznie, przeestetyzowane. (mk)

Medale Stolema — 1972

W dniu 25 marca w Białej Sali Ratusza Głównomijskiego odbyła się uroczystość wręczenia Medali „Stolema” roku 1972, przyznawanych ludziom szczególnie zasłużonym dla Pomorza przez młodych działaczy kaszubsko-pomorskich skupionych w Klubie „Pomorania”. Tegorocznymi laureatami zostali doc. dr hab. Stanisław Gierszewski z Uniwersytetu Gdańskiego, inż. Wojciech Kiedrowski, Alojzy Nagel i Julian Rydzkowski.

Milej uroczystości przewodniczyła Anna Kosznik, która też — po przedstawieniu sylwetek laureatów — wspólnie z prezesem „Pomorania” Mirosławem Ciechanowskim dokonała aktu dekoracji. W imieniu „starych” stołomowców przemówił dr Józef Bruski, jak zawsze ze swadą i dowcipem. W drugiej części uroczystości wystąpiła z recitalem Zofia Janukowicz — Pobłocka (akompaniament Ewy Pobłockiej), która wykonała m.in. pieśń Henryka Jabłońskiego do słów Alojzego Nagla. (t)

Krytyka telewizyjnej Panoramy

Telewizyjny program lokalny pn. „Panorama”, emitowany z Gdańska dla województwa: gdańskiego, koszalińskiego, bydgoskiego i olsztyńskiego, jest z reguły nudny, schematyczny, powtarzający informacje wcześniej i obszerniej znane z dzienników. Program ten doczekał się krytycznego omówienia na łamach dwutygodnika „Pomorze” (nr 7) w artykule Janusza Rulki pt. „Panorama Gdańska czy Ziemi Północnych?”.

Rulka zestawia przykładowo trzy kolejne audycje, w których wyraźnie preferowany jest Gdańsk, natomiast pozostałe województwa traktowane są marginesowo. „U niezorientowanego telewidza — pisze Rulka — mogłoby powstać wrażenie, że interesujące imprezy, ciekawe inicjatywy społeczne i gospodarcze, wielki przemysł, to tylko Gdańsk. Przewagę mają inne województwa jedynie w nitelewizyjnej formie przekazu, jaką jest korespondencja dziennikarska”. Skutki takiego traktowania sąsiadnych województw mogą być nawet szkodliwe. „Rola informacji — pisze autor — w inspirowaniu życia społecznego jest niezwykle ważna. Jej brak, szczególnie w wypadkach niedostrzegania istotnych autentycznych osiągnięć może prowadzić do obniżenia aktywności środowisk pomijanych milczeniem, do odpływu jednostek szczególnie przynależnych do ośrodków dojących im możliwość „publicity”. Brak ten prowadzi do wreszcie do podświadomego powstawania przekonania o mniejszej roli danego regionu w organizmie państwowym...”.

Nie jest tajemnicą, że poziom redagowania „Panoramy” jest bardzo niski, różne komentarzy i niekiedy mini wywiady odstraszały swoim prymitywem. Rulka również uważa, że „Panorama” cechują „statyczność, brak nerwu, brak indywidualności „telewizyjnych”. Programowi „Panorama” poświęćmy w „Literach” osobny artykuł. (t)

Odczyt prof. Boguckiej

Staraniem gdańskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego odbył się w marcu odczyt prof. dr Marii Boguckiej, poświęcony przełomowi kulturalnemu w Polsce XVI wieku. Wiek ten charakteryzował się znakomitą, tymczasem kultury w Polsce, przede wszystkim jednak dokonał się wtedy przełom w zakresie życia codziennego i w mentalności przeciętnego Polaka, w przekroju różnych grup społecznych. Zważywszy, że najważniejszym tematem

historii jest człowiek, historyk powinien jak najwięcej wiedzieć, jak wyglądało jego bądź to bądź bogate i różnorodne życie. Tak się jednak złożyło, że dopiero od niedawna prowadzi się u nas badania nad mentalnością społeczną, nad życiem codziennym Polaka w przeszłości. Nie tylko zresztą u nas, na zachodzie Europy, z wyjątkiem chyba tylko Francji, tych badań w sposób zorganizowany też się nie prowadziło.

W interesującym odczycie prof. Bogucka najpierw ogólnie scharakteryzowała wiek XVI, a następnie szczegółowo omówiła życie codzienne i zwyczajnie społeczeństwa pol-

skiego. Był to wykład ciekawy, chociaż oczekiwaliśmy może bardziej całościowego, syntetycznego spojrzenia na mentalność Polaków w XVI wieku.

Spotkaniu przewodniczył prezes Oddziału PTH, doc. dr habil. Edwin Rozenkranz. (b)

Kalendarz kaszubski

W bieżącym roku Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie wydało w Wydawnictwach Artystyczno-Graficznych kalendarz ścienny dużego formatu, w którym przedstawiono wykonanie przez Wawrzyńca Sampa portrety pisarzy kaszubskich, od Szymona Krolefya i Michała Pontanusa do Stefana Biesza i Jana Rompskiego. Obecnie gdańskiej redakcji Wydawnictw Artystyczno-Graficznych zlecono wykonanie kalendarza kaszubskiego na rok 1973. Treścią jego będą rysunki oparte na motywach powieści Aleksandra Majkowskiego „Życie i przygody Remusa”, wykonywane aktualnie przez Janinę Śpiewak i Ryszarda Stryjca. Będzie to bardzo atrakcyjny kalendarz i w dodatku prawdopodobnie ukaże się w dwóch formatach (większym – biurowym i mniejszym – pokojowym). Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie (Gdańsk, Długi Targ 8/10) przyjmuje już zamówienia od osób i instytucji na kalendarz dużego (100 zł) i małego (60 zł) formatu. (b)

Enrico de Mori

Dyrygent Teatro alla Scala w Mediolanie, Enrico de Mori przyjechał do Polski w celu umocnienia więzów kulturalnych między Włochami i Polską oraz nawiązania współpracy opery mediolańskiej z Teatrem Wielkim w Warszawie. Gościł na zaproszenie dyrekcji POIFB w Gdańsku. Włoski dyrygent był obecny na spektaklu „Halca” Moniuszki i wyraził się z uznaniem o wykonawcach głównych partii solowych opery – Halki (Halina Wojtowicz) i Jontka (Jan Kusiewicz), pochlebnie oceniając także chór, orkiestrę i kostiumy sceniczne. Przedstawieniem dyrygował Zbigniew Bruna.

Enrico de Mori poprowadził również 26 marca br. w POIFB przedstawienie opery Rossiniego „Cyryl i Sewilski”, w którym wystąpili: Z. Czepielówna-Schiller, F. Kokot, F. Skulski, J. Gdaniec, J. Podsiadły, H. Wolnik, F. Lewandowski. Partię Różny wykonała gościnnie występująca solistka Teatru Wielkiego w Warszawie U. Trawińska-Moraz. Występ włoskiego dyrygenta z mediolańskiego Teatro alla Scala stał się wielkim wydarzeniem artystycznym sezonu. (R.G.)

Uwaga, na Trio !

W ostatnią niedzielę marca odbył się Gdański Wieczór Muzyczny poświęcony 27 rocznicy wyzwolenia Gdańska.



A. Cz. – Łódź

„Są wiersze – dla których nie ma sędziego, więc jeśli je piszę nie pytań dlaczego”. (z nadesłanego wiersza pt. „Są wiersze”). Nie będę pytał.

Marek P. – Toruń

Nadesłane „tekściłki” (wg terminologii z Pańskiego listu) nie nadają się jeszcze do druku. Największy błąd najlepszych wierszy – „Ankieta”, „Transatlantyk”, „Wymówienie” to widoczne epatowanie czytelnika efektami słownymi. Terminologia współczesnego świata jest jednak bezduszną, często przenoszona z kultur nam obcych, a często wywodząca się z nomenklatury produktu przemysłowego. Dział więc ona raczej poprzez sygnał obrazu, bardziej nadając się jako tworzywo dla plastyka, a nie dla pisarza, który obraca się w sferze języka pojęć, przeżyć...

Janina C. – Uńice, pow. Sztum

W nadesłanych wierszach znalazłem już miejsca, w których zaprezentowana została dość oryginalnie wrażliwość Autorki. Jednak obok dość śmiałych obrazów („jakbyś w mleku głowę moczyła”, to o starości) znajdujemy jednak „młki”, które są „pokaźnym” „...z każdej reki”. Takie fragmenty obniżają walor tych wierszy. Należy wiersze od nich uwolnić, „oczyszczyć” z tych łatwizn.

Sala Mieszczańska Ratusza Staromiejskiego tym razem nie była wypełniona po brzegi, a szkoda, gdyż program był interesujący i bardzo zróżnicowany. W pierwszej części wystąpił Jan Paterek, który w swoim minirecitalu na gitarze klasycznej przedstawił wybrane utwory z literatury gitarowej poczynając od XVI w. aż do czasów współczesnych. Następnie usłyszeliśmy w wykonaniu Aliny Kozłowskiej pieśni Schumanna, Brahmsa i Rachmaninowa; ekspresja i siła głosu zwała w tych ostatnich wywarła na publiczności duże wrażenie. Szczególną jednak uwagę chciałabym zwrócić na występujące w drugiej części koncertu Trio Gdańskie w składzie: Zbigniew Wytrykowski – skrzypce, Janusz Swiśło – wiolonczela i Jerzy Michalak – fortepian. Zespołowi temu, jeśli nie rozpadnie się przedwcześnie, wróże wiele sukcesów, nie tylko na ojczystym terenie. Bardzo in-

Stanisław A.K.E.T. – Gdańsk-Wrzeszcz

Ilość nadesłanych wierszy wskazuje, że pisanie wierszy jest dla Pana zajęciem ważnym, trwałe, wyzwalającym Pańską potrzebę wypowiedzenia się. Czasem jednak wypowiedź jest obsceniczna („Retrospekcja z pierdła”, „Przygoda”), gdzie indziej jest ona nic nie znaczącym obrazkiem („Ochodzenie”), ale w pliku wierszy można już znaleźć utwory, które zasługują na uznanie. („Noc II”, „Podaję w ziemię”, „Do dziewczyny”, „Poranny”). Sądzę, że określony wybór sposobu wypowiedzi poetyckiej i stałe jej doskonałowanie powinno w przyszłości wyrażnie ujawnić osobowość twórcy. Łączę pozdrowienia.

„Bird” – Puck

Kiedy spotykam się z takim pseudonimem nie mogę się oprzeć refleksji, że wybór takiego (proszę wybaczyć to sformułowanie) snobistycznego pseudonimu ma związek z utworami. Nadesłane wiersze w zasadzie są bardzo sentymentalne, jak w cytacie z jednego z wierszy: „wysychają łzy woskowe w starym zakurzonego lichterza...”. W innych wierszach jest stara kanapa, jest bez, który zwiądl, leje deszcz i w ogóle jest smutno, bo „nici z naszej miłości”. Mogę sobie więc już wyobrazić grono osób, w którym wiersze Pani „cieszą się powodzeniem”. A więc wszystko staje się łatwe. Strzępy angielskiego, pewnie zaszywane z popularnych piosenek, słowa wyznań prosiutki, banalne, tak jak w większości piosenek. Namawiam Panią, by Pani przeciwstawiła się „modzie” panującej w tym gronie „równieśników”. Niech Pani swoimi wierszami spokój owego grona zburzy. Niech spór jaki rozgorzeje uskrzydli Autorkę, by rzeczywiście zasłużyła na miano „ptaka”, by Autorka nie wstydyła się nazwać siebie „ptakiem poezji”.

Maria S.U. – Kraków

Nie skorzystamy. (abf)

Sprostowanie

Do artykułu Wł. Zajewskiego „Józef Wybicki w epoce Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego” (Litera nr 4/1972) z winy chochlika wkraśli się błąd: chodzi oczywiście o ministra H. Mireta (ks. Bassano), a nie – jak omyłkowo wydrukowano bez winy autora – Murata, szwagra cesarza Napoleona. Nadto: gen. Kosiński (nie: Ksiński).

Sprostowanie

W artykule umieszczonym w nr. 12/71 czasopisma „Litera” pt. „Mój rzeczywisty udział w przełomowych wydarzeniach 1918–1919 r.” użyłem w pierwszym ustępie następującego zwrotu: „Najwięcej oburza mnie bezzelne twierdzenie autora, jakoby bezpośrednio zwracał się do mnie o wyjaśnienie w celu naświetlenia ówczesnych stosunków i że...”. W związku z tym otrzymałem od p. Władysława Wach oryginalne pismo moje z 19 VIII 1958 r., z którego wynika, że faktycznie na jego życzenie udzieliłem mu tych wyjaśnień. Wobec tego zarzut ten jako niesłuszny niniejszym cofam, a za rzekomą mu przez to wyrządzoną krzywdę go przeproszam.

Wspomniany list pisałem odręcznie w miejscu pracy, w pośpiechu i rozróżnieniu, o czym świadczy błędny adres p.W., gdyż zamiast Władysława W., pisałem Paweł W., a także dopisek do tego listu. Z nazwiskiem Wach spotkałem się wtedy po raz pierwszy. Było ono dla mnie zupełnie obce. Jest ono zresztą pseudonimem. Dlatego tak nazwisko p.W. jak i fakt wystosowania do niego listu rychło poszło w zupełne zapomnienie. Toteż czytając jego broszurę „Na kaszubskim szlaku” w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć tego nazwiska, jak i faktu udzielenia p.W. wyjaśnień dla naświetlenia ówczesnych stosunków w pow. bytowskim i człuchowskim. Nie mogłem uwierzyć w to, żebym miał w swoim liście do p.W. w tak poniżający i kompromitujący sposób przedstawić moją ówczesną działalność polityczną w tych powiatach, jak to uczynił p.W. na str. 67–71 swej broszury. Tym się tłumaczyła ostra moja reakcja, wywołana przekonaniem, że autor broszury celowo pisze nieprawdę, aby mnie zdyskredytować.

Wyjaśnienia moje w liście z 19 VII 1958 r., aczkolwiek mocno streszczone, pokrywają się z opisem mego udziału w tych przełomowych wydarzeniach, dokonanych w czasopiśmie „Litera”. Na str. 71 przyznaje p. Wach, że wyjaśnienia moje w liście z 19 VIII 1958 r. pokrywają się z materiałami publikowanymi przez historyków i publicystów, a zatem przyznaje, że informacje przeze mnie udzielone polegają na prawdzie. Mimo to p.W. z tych jemu także wiarygodnych informacji nie skorzystał, tylko na marginesie podaje za mną, że w skład Polskiej Komisji Granicznej wchodził p. Wiktor Kulerski i p. dr Aleksander Majkowski z tym, że przewodniczącym był p. Kulerski, a sekretarzem p. dr Majkowski. Z faktu tego p.W. nie wyciągnął logicznego wniosku, że mianowicie tym „gen. ambasadorem” i sekretarzem p. Kulerskiego mógł być tylko p. dr Aleksander Majkowski, a nie dr Aleksander Wysocki, że tylko p. dr Majkowski mógł być tym, który od pogranicznej ludności polskiej przyjmował i referował na naradach w Borowym Młynie postulaty tej ludności co do korekty wytycznej przez Traktat Wersalski granicy polsko-niemieckiej. Tylko dr Majkowski mógł rzekomo, nie ja, zgodzić się na decydujące zerwanie w Poznaniu, na którym miał rzekomo wygłosić zasadniczy referat. Wg p. Wach winę za niepowodzenie akcji w pow. bytowskim ponosi p. Kulerski i ja do tego stopnia, że działalność tych 2 ludzi ludność tego powiatu formułowała jako zdradę. Jest to zarzut ciężki i wysoce mnie krzywdzący, bo poniżający mnie w opinii publicznej.

Mimo woli odnoszę wrażenie, że p. W. zależało jakby na tym, aby zdyskredytować mnie w oczach ludności pow. bytowskiego. Jego stosunek w tej całej sprawie do mojej osoby jest wybitnie negatywny, bo słowem nie wspomina on w swojej broszurze o mojej działalności w pow. bytowskim i człuchowskim. Wg p. W. mnie w latach 1918–1919 w ogóle jakby nie było na tych terenach, a zjawili się na nich dopiero w 1920 r. jako rzekomy ambasador i sekretarz p. Kulerskiego. Nie pp. Styp-Rekowski, Wera i dr Grac zainicjowali w pow. bytowskim akcję zmierzającą do przywrócenia części pow. bytowskiego do Polski, lecz uczyniłem to ja wspólnie z ks. pow. Prądzynskim z Ugoszczy, urządzając w tym celu pierwszy wiec w Studzienicach w drugiej połowie listopada 1919 r. Bernard Wera i dr Szczepan Grac włączyli się do akcji dopiero na drugim wiecu w Studzienicach i na wiecu w Wielkim Tuchomiu. Natomiast p. Jan Styp-Rekowski w owym czasie publicznie w tej akcji nie brał udziału, chociaż z pewnością wspólnie z Bernardem Werą zbierał statystyczne dane w parafii niezabyszewskiej i tuchomskiej. Jestem przekonany, że bez moich starań nie byłaby wówczas przyłączona część pow. człuchowskiego (tzw. Gochy) do Polski, bo ja nadałem jej właściwy kierunek przez to, że na czas dostarczyłem poprzez Międzysojuszniczą Misję Wojskową w Berlinie memoriał w tej sprawie Konferencji Pokojowej w Paryżu.

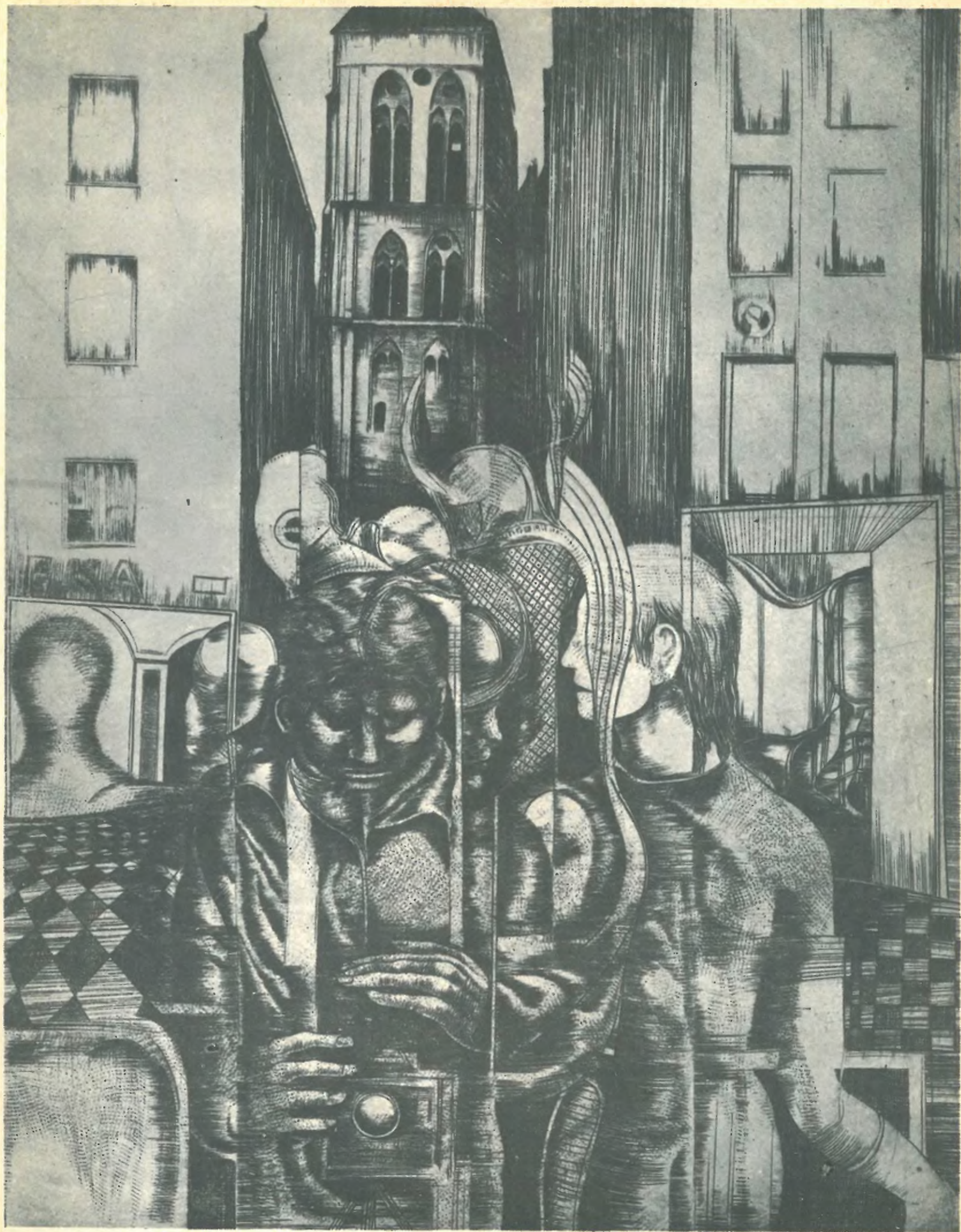
Dr Aleksander Wysocki

Czersk, dnia 11 marca 1972 r.



REDAGUJE ZESPÓŁ: EDGAR MILEWSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ BOLDUAN (zastępca red. naczelnego, sekretariat, dział nauki), BOLESŁAW FAC (poezja), STANISŁAW FLESZAROWA-MUSKAT (proza), MICHAŁ MISIORNY (dział krytyki), EWA MOSKALÓWNA (publicysta), STANISŁAW PESTKA (dział społeczno-kulturalny), RYSZARD STRYJEC (dział graficzny), TADEUSZ WOŹNIAK (publicysta).

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, telefon 31-18-25. Warunki prenumeraty: kwartalnie zł 15, półrocznie zł 30, rocznie zł 60. Zamówienia indywidualne przyjmują placówki pocztowe oraz listonosze do 10 każdego miesiąca na następny okres prenumeraty. Wszelkich informacji w sprawie warunków prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” i urzędy pocztowe. NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA. WYDAWCA: Gdańskie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa” Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. 1211. W-4.



Uliczka-sztých. Z teki grafiki gdańskiej, Oficyna ZPAP

Ryszard Stryjec



Fot Witold Węgrzyn